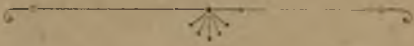




Powtórne życie.

<http://rcin.org.pl>

Klemens Junosza.



Powtórne życie

Wesele. „Curriculum vitae“. Taki sam.
Zmieniony projekt. Bez wyjścia.

NOWELLE.



**INSTYTUT
BADAŃ HISTORYCZNYCH PAN**
Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-280 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WILNO.

Józef Zawadzki.

1897.



Дозволено Цензурою, Варшава 9 Октября 1896 г.

Вдълна Тип. п. ф. Иосифа Завадзкого (Замк. пер. себ. д.)



Powtórne życie.

OBRAZEK.

I.

Zazwyczaj cicho i spokojnie było w Rudawce. Cicho we dworze, w folwarku, a wieś była w takim oddaleniu, że odgłosy kłótni wieśniaków nie dochodziły nigdy do uszu dziedzica.

Jużci nie bez tego żeby czasem Agata gospodyni nie wybuchnęła gniewem na dziewczkę, a ekonom Kulbacki na fornała; nie bez tego żeby parobcy nie powadzili się niekiedy ze sobą, żeby pachciarz Mordka Butterglanz nie przeklinał głośno swych wrogów, z powodu że pastuch nie dba o krowy, ale tego rodzaju hałasy nie zwracały na siebie szczególnej uwagi, nie robiły wrażenia, gdyż są zwykłe, powszednie, jak szum wiatru, turkot kół młyńskich, warczenie młocarni w stodole, pianie kogutów o północy. Po za tymi krzykami, któreby raczej zwykłymi objawami życia, mową dnia nazwać należało, panowała słodka, niczem nie zamącona cisza i spokój.

Ludzie chodzili pomaleńku, nie spiesząc, zwierzęta nie zadzierały łbów do góry, nawet ptaki miały ruchy poważne i spokojne.

Życie mieszkańców Rudawki płynęło spokojnie niby woda płytkiej rzeczulki, wijącej się wśród łąk. spokoju tego nie mącił nikt nawet dziedzic, gdyż gospodarstwem nie zajmował się prawie i więcej czasu w mieście gubernialnem, w sąsiedztwach, aniżeli w domu przepędzał.

W nieobecności dziedzica rządy sprawowane były: we dworze i gospodarstwie kobicem przez Agatę, w folwarku i na polach przez ekonoma, wreszcie w pilniejszych sprawach finansowych przez Mordkę.

Dobrze z tem było i Agacie i Kulbackiemu i Mordce, a widocznie nieźle i dziedzicowi, gdyż rzeczoną trójkę zaufaniem darzył, czynności jej akceptował, wymówek nigdy nie czynił.

Aż raz, nagle, niespodziewanie, bez żadnego widocznego powodu, bez określonej przyczyny, w cichej zazwyczaj Rudawce zrobiło się istne piekło; spokojna fala życia zaczęła się burzyć, kipieć, szaleć, grozić zerwaniem tamy.

Nie bez racyi mawiał Kulbacki, że są dni feralne i że wśród nich najgorszy jest poniedziałek. Nie dla tego, że wypada po niedzieli i przynosi z sobą bóle głowy, bo to

swoja rzecz, ale dla tego, że sprowadza nieszczęścia, najczęściej niespodziewane, nagłe, spadające na człowieka, jak grom z pogodnego nieba.

W niedzielę wszystko działo się dobrze, pocziwie, normalnie; dziedzic od trzech miesięcy nieobecny, Agata była w miasteczku na odpuszcie, Kulbacki u pisarza kancelaryi gminnej na preferansie. Mordka pojechał do swego familjanta na wesele. Wszyscy się zabawili, poszli spać dość późno, spoczywali dłużej niż zwykle.

Mordka przyjechał dopiero nad ranem, rozespany, ziewający i wyglądał tak, jak gdyby mu i pachciarstwo i wszelkie interesa i samo nawet życie obrzydło.

Wyprzągnął szkapę z biedki, a sam chciał się położyć i wypocząć -- gdy wtem wietrzyk na swoich lotnych skrzydłach, przyniósł mu dźwięki trąbki pocztowej. Drgały one w czystem powietrzu wrześniego poranku, coraz donośniej, brzmiąc jużto nutą pocztowego sygnału, jużto skoczną melodyą zawadyackiego krakowiaka.

Mordka drgnął, odrazu senność go odbiegła, wyraz znużenia i apatyi zniknął z jego twarzy i ustąpił miejsca zaciekawieniu. Bystre oczy pachciarza zwróciły się w stronę, z której dźwięk dochodził, umysł zaczął kombinować, snuć domysły, kto to nadjeżdża?

Mordka myślał w ten sposób: pocztyljon nie jest taki głupi, żeby dla byle kogo psuł sobie gębę i jeżeli tak ślicznie trąbi to zapewne jest przekonany, że ma do czynienia z porządnym pasażerem, który potrafi poznać się na rzeczy; pasażer zaś wzbudzający w pocztyljonie takie przekonanie z pewnością nie jest zwyczajnym pasażerem, ale osobą; zresztą już to samo, że jeździ końmi pocztowymi, świadczy o jego zamożności, albo też nagłości interesu, będącego powodem lub celem podróży.

Różne myśli przychodziły Mordce do głowy, różnych osób się spodziewał, ale nie dziedzica. — Ten napisałby przecież do Kulbackiego, z poleceniem, żeby konie na stację przysłał.

Chude, ale chodliwe szkapy pocztowe pędziły po drodze galopem, a pocztyljon przynaglał je jeszcze do pośpiechu; podnosząc tumany kurzawy, ekwipaż wtoczył się w dziedziniec i zatrzymał przed dworkiem.

Mordka pośpieszył ku dworowi i ujrzał człowieka, z wąsami podkreconymi zuchowato do góry, w eleganckim płaszczu podróżnym.

— Co wielmożny pan sobie życzy, zapytał, kłaniając się nisko. Naszego pana dziedzica niema w domu, on wyjechał, nie wiadomo kiedy powróci.

Podróżny zeskokczył z bryczki i położył dłoń na ramieniu Mordki.

— Czy wzrok straciłeś? zapytał groźnie.

Żyd cofnął się zdumiony.

— No cóż? — nalegał przybyły — nie poznałeś mnie?

— Wielmożny panie, niby głos pana, ale osoba... Czy pan sam?

— Ja jestem ja, Bolesław Michalski, właściciel tego folwarku.

— Wielmożny pan miał brodę!

— Teraz nie mam.

— Wielmożny pan był krzynekę grubszy.

— Teraz jestem cieńszy.

— Wielmożny pan był jakby starszy.

— Teraz jestem młodszy. Czy jeszcze masz jakie wątpliwości?

— Jakie wątpliwości? wielmożny pan pewnie potrzebuje pieniędzy?

— Naturalnie, zaraz o tem pogadamy.

— No, już teraz widzę, że pan dobrodziej jest ten sam; nasz wielmożny dziedzic, nasz kochany dziedzic, tylko cokolwiek odmieniony. Pan zapewne na kuracyi był, zapewne jeździł do góry, do ciepłe wody, do winogrono.

— Tak... tak... o tem potem, ale co tak cicho? Spią jeszcze wszyscy; śliczne rzeczy. Zaraz tu się wszystko odmieni, zaraz będzie inny porządek. Biegnij no Mordka po Kul-

backiego, żeby natychmiast tu przyszedł..
Ciekawym gdzie się ten dziad obraca.

— Pewnie na folwarku.

— Pewnie śpi.

— Nie wiem, wielmożny panie; ja tylko
co przyjechałem z drogi.

— Z drogi?

— Z wesela. — Pachciarz w Klepaczko-
wie wydawał swoją córeczkę za męż; on
trochę familjant mój jest.

— Niech poczytyljon zajedzie do stajni.

Mordka pobiegł do Klepackiego.

Drzwi dworku otworzyły się i wbiegł z
nich w wesółych podskokach piękny wyżeł;
skomlił, rzucił się panu Bolesławowi na
piersi, to znów do nóg przypadał, czekał,
skakał, ręce lizał i wszelkimi sposobami
okazywał swą radość.

— Medor, Medorek, mój psisko!

Medorek odpowiadał skomleniem.

We drzwiach ukazała się Agata, tylko co
ze snu zbudzona, narzuciła na siebie chust-
kę, włosy gęste jasne, w nieładzie spadały
jej na ramiona, oczy niebieskie, bleu faïence
wyrzały zdziwienie, przestrah i zarazem
radość.

— O la Boga!—zawołała—toć chyba pan.

— No, ja.

— Nie poznałabym, gdyby nie pies, że

się tak radował i skomlał. Taki pan teraz ładny jakby dziesięć lat temu.

Pochyliła się do ręki dziedzica, aby złożyć na niej pocałunek, ale pan Bolesław nie pozwolił na to.

— Dajże pokój... cóż za głupstwa wyrabiasz?!

W porcelanowych oczach Agaty odmalało się zdumienie.

— A toć witam pana grzecznie, cóż za dziwota... chcę spytać czy pan zdrów, mocny do nas przyjechał.. chcę powiedzieć co to było, jak żyliśmy przez te czasy. Toć pan do domu swego powraca, to pewnie ciekawy wiedzieć, co się dzieje... a pan powiada: głupstwa wyrabiasz.

— Bo wyrabiasz. Idź że już, zakrzętnij się, głodny jestem. Kawy mi daj, albo herbaty i ogarnij się bo tak...

— O!

— Mówię ci wyraźnie i proszę słuchać. Ja tu wnet inny porządek zaprowadzę. Tak jak jest dłużej być nie może.

Agata stała jak wryta, pulchne jej policzki zaczęły drgać i kurczyć się komicznie, niebieskie fajansowe oczy łzami zaszły, chciała odpowiedzieć, ale powstrzymało ją ostre spojrzenie pana Bolesława i krótki rozkaz.

— Idź i zrób, co kazałem...

Zrzucił z ramienia płaszcz podróżny, prze-

szedł się kilkakrotnie po pokoju, spojrzal w lustro. Musiało mu ono coś ciekawego powiedzieć, gdyż zatrzymał się przed niem dłuższą chwilę, marszczył brwi, pokręcał wąsy i kilkakrotnie powtarzał.

— Szkoda, szkoda, szkoda!

W sieni dały się słyszeć ciężkie kroki, do pokoju wszedł Kulbacki. Uprzedzony przez Mordkę o zmianie powierzchowności dziedzica, nie objawiał zdziwienia, ale przypatrywał mu się z podoka.

— Witamy wielmożnego pana, — rzekł.

— Ślicznie, bardzo ładnie, — odpowiedział z ironią pan Bolesław. — Przyjeżdżam, dzień jak wół, a cały folwark śpi! Pan Kulbacki jeszcze w łóżku, fornale i parobcy przewracają się na drugi bok, dom zamknięty.

— Wielmożny panie...

— Agata jeszcze spoczywa...

— Co do Agaty, nie moja głupia kompetencya, wielmożny dziedzicu, ale parobcy są na nogach; fornale na nogach i ja, jak wielmożny pan widzi, także oto nie siedzę, ani nie leżę.

— Widzę że jesteś na nogach panie Kulbacki, ale na jakich?

— Toć na własnych.

— Nie przeczę, ale nie na pewnych i

gdyby ci teraz przejść po wąskiej kładce nad wodą... skąpałbyś się niezawodnie.

— Wolno wielmożnemu panu przy dobrej zdrowiu żartować z biednego człowieka, ale od żartów do sprawiedliwości kawał drogi i niech spuchnę, jeżeli kłamie, że dziś jeszcze ani kropli, nie tylko jakiego trunku, ale nawet czystej wody w ustach nie miałem.

— No, no; znam ja się na tych kropkach i wiem, że je kwartami mierzyć można. Korzystacie z mojej nieobecności, aby próżnować i brać pieniądze darmo. Gospodarstwo zaniedbane, nieład, ludzie rozpuszczeni, jak dziadowskie bicze.

— Wielmożny dziedzicu, przepraszam...

— Co mi z tego.

— Do słowa pan przyjść nieda.

— Nie chcę słuchać żadnych tłumaczeń, od dzisiejszego dnia zaprowadzam zmiany, sam wszędzie będę i wszystkiego dojrzę.

— Owszem, panie dziedzicu.

— Za godzinę Kulbacki niech tu przyjdzie i przyniesie z sobą rachunki i kasę.

— Nie ciężar, panie dziedzicu... przyniosę.

— Porządek ma być taki począwszy od jutra.

— Słucham.

— Rano o godzinie czwartej przyjdzie Kulbacki po klucze.

-- Niby do kogo?

— Do mnie.

— Pan dziedzic będzie jeszcze spoczywał.

— Nie będę. Wyda Kulbacki obroki... O szóstej ma być przed gankiem koń osiodłany.

— Niby jak?

— Osiodłany, powtarzam, dla mnie.

— Trudno to będzie.

— Dla czego?

— Wielmożny dziedzic nigdy takich rozjazdów nie praktykował, siodło, co niby jest w spichrzu, angielskie, szelmy szczury zdezelowały, z puśliska zrobiłem naszelniki.

— Więc niema u nas siodła.

— Jest wielmożny dziedzicu, tylko gapa i też zdezelowana.

— Niech będzie gapa tymczasowo, dopóki nowego siodła nie sprowadzę.

— Dobrze tylko proszę pana dziedzica.

— Bez żadnego gadania. Tak chcę i tak ma być.

— No, niby owszem, ale konia takiego, żeby był podobny nie mamy.

— Konia nie mamy?!

-- Fornalne w robocie i prawdę mówiący, sama skóra i gnaty, a z wyjazdowych kasztan kuleje, a łysy mało co widzi. Chyba że

swoją źrebicę dla wielmożnego pana osiodłam.

— Niech będzie i tak. Codziennie objeżdżać będę pola, dopilnuję roboty, nie dam nikomu pić, ani spać. Rozumiesz, panie Kulbacki.

— Rozumiem, rozumiem.

— Za godzinę czekam, proszę przynieść rachunki. Tu wszystko musi być inaczej.

Ekonom wyszedł, i na dziedzińcu spotkał Mordkę.

— Ny, panie Kulbacki, — zapytał żyd — cóż nasz kochany dziedzic?

— Albo ja wiem. Odmienili go, czy urzekli, czy może szaleju się najadł.

Pan Bolesław pośpiesznie wypił kawę i przeszedł do drugiego pokoju, który mu służył za sypialnię i za gabinet zarazem. Przy oknie stało duże, staroświeckie biurko, na niem kałamarz bronzowy, przybory do pisania, nóż do rozcinania książek, lichtarze.

Wyjął kluczyk z kieszeni, otworzył szufladę biurka, wydobyl ztamtąd pudelko papieru i koperty, usiadł i z wielkim zamachem pogrążył pióro w kałamarz; ale wnet zerwał się z krzesła rozgniewany, kałamarz bowiem był pusty.

— A niechże was! — zaklął, — ładnie gospodarują; kropli atramentu w domu niema.

Zadzwoił tak gwałtownie, że przybiegła nie tylko Agata, ale jeszcze dwie dziewczyny z kuchni i zamorusany chłopak.

— Czegoż chcecie? Co za zbiegowisko, zawołał pan Bolesław, wynoście się, dzwoniłem na Agatę.

— Myślałam.

— Nie myśl nic, tylko odpowiadaj na pytanie, gdzie się podział atrament.

— Proszę pana, odrzekła Agata, ja nie pisarz, na atramencie się nie znam; nie był on tu nikomu potrzebny.

— Ale mnie jest potrzebny, do licha! szukać zaraz, może jest we fłaszce.

— Nie wiem, ale zkadby zaś, są faszki, ale z czem innym.

— To pójdź do Kulbackiego i przynieś, ale zaraz.

Agata pobiegła, pan Bolesław zaczął chodzić po pokoju i mówił sam do siebie.

— Jak ja mogłem tak żyć, jak mogłem? Nielad, nieporządek, rozprzężenie, wszystko licho wie po jakiemu, atramentu nawet nie ma w domu... Okropność...

Agata przyniosła wielki kałamarz drewniany i postawiła go na stole.

— Toć jest, rzekła z tryumfem, jest cała maźnica, a Kulbacki powiedział, że panowy atrament wziął i wysechł.

— No, no—idź już.

— Co mam się wdawać w długie wstępy, mruczał pod wąsem pan Bolesław, odrazu przystąpię do rzeczy. Ciotka jest dobra kobieta, zrozumie o co mi idzie.

List brzmiał tak:

«Kochana Ciociu! Już dawno miałem zamiar prosić, aby Ciocia raczyła zamieszkać w Rudawce i objąć zarząd mego domu, atoli różne okoliczności nie pozwalały mi zająć się zmianami, jakichby przybycie Cioci wymagało. Teraz powróciłem do Rudawki i już nie mam zamiaru wyjeżdżać, zajmę się więc natychmiast urządzeniem odpowiedniego apartamentu dla Cioci. Kochana Cioteczko, mam nadzieję, że jako osoba wolna, nie mająca obowiązków rodzinnych, nie odmówisz prośbie swego siostrzeńca. Upraszam o odpowiedź, a jeżeli ta będzie przychylną, natychmiast po Ciocię przyjadę. Przywiązany siostrzeniec».

Bolesław.

Skończywszy pisanie tego listu, właściciel Rudawki zaczął natychmiast drugi tej treści:

«Kochany Olesiu! Zawsze słyszałam od Ciebie, że źle robisz—otóż chcę Cię przekonać, że jesteś w grubym błędzie i w tym celu proszę, abyś raczył przyjechać do mnie na kilka tygodni.—Wyjednaj sobie urlop, co jak sądzę, nie jest niemożliwem—i przybawaj. Dłóżę starań, żebyś się nie nudził i żeby pobyt na wsi nie zapisał się źle w Twoj

Powtórne życie.

2

pamięci. Twoja obecność, Twoja dobra rada, jest dla mnie bardzo pożądana i potrzebna. Czekam wiadomości, kiedy mam przysłać konie na stację». *Twój Bolesław.*

Gdy pan Bolesław drugi list włożył w kopertę, w stołowym pokoju dało się słyszeć kasznięcie.

— Kto tam?

— To ja, Mordko.

— Bardzo dobrze, żeś przyszedł. Proszę wejść—zapewne wybierasz się do miasta?

— Ja się zawsze wybieram.

— Ale dziś zaraz?

— Oj, oj. Czy w naszym stanie jest czas na bałamuctwo? U nas, panie dziedzicu, zawsze dziś i zawsze zaraz. Dopiero człowiek śpi, już jedzie, dopiero jedzie, już handluje, ledwie ukończył handlować, znów wchodzi na biedkę.—Ciężkie życie, a mały zarobek. Czy wielmożny pan co potrzebuje z miasteczka?

— Trzeba te dwa listy oddać na pocztę.

— Za co nie. Ja i to potrafię. Nie pierwszyna mi, abym tylko się pokazał, to poczmajster zaraz szuka listów do Rudawki... Więc tylko oddać, więcej nic?

— Nic więcej.

— Dobrze, ja za godzinę jadę. A może jakie sprawunki potrzebne? Cukier, herbata, świece, cygary, może jakie trunki? Wszystko może być, co tylko pan każe.

— Zobaczymy później. Co słyhać w okolicy?

— Stara bieda, nie ma żadnej nowości. Zboże zawsze jednakowo, wełna wielmożny pan wie. Pewnie Kulbacki pisał, że musieliśmy sprzedać taniej niż zeszłego roku.

— Jednak w Warszawie stała drożej.

— Co wielmożny pan równa!! Warszawa co inszego, nasze miasto co innego. Niech pan na przyszły rok posyła do Warszawy. Owszem, ja nie będę miał przynajmniej zmartwienia.. Czy to łatwo sprzedać wełnę? Wcale nie łatwo. Zdrowie można stracić.

— Mniejsza o to, stało się już. Słuchaj no Mordku.

— Co wielmożny pan każe?

— Czy nie miałeś jakich wiadomości z Osin?

— Widziałem pachciarza tamtejszego temu tydzień... Spotkałem też i państwa z Osin, jechali do kolei. Pan, pani, panicz i panienska. Cała familia. Jechali dużą bryczką w cztery konie. Aj, jakie konie, bardzo ładne konie mają.

— Dawno to było?

— Temu tydzień.

— To zapewne już wrócili?

— Nie wiem, ale wiedzieć mogę, choćby dziś. Zapytam w mieście...

— Dobrze. Mnie potrzeba koni.

— Jakich?

— Do wyjazdu, choćby parę tymczasem i jednego pod wierzch...

— I to może być. Wszystko może być, co tylko potrzeba. Od tego moja głowa. Jak ja powiem, że będzie, to choćby ta rzecz wcale nie była, też musi być. Wielmożny pan mnie zna.

— Oczywiście, że znam,—zabierz że te listy i jedź—to pierwsza rzecz, o innych interesach będziemy mówili wieczorem. Nie zapomnij tylko o listach, są one bowiem ważne.

— Za pozwoleniem, pana, chciałem o coś zapytać.

— No?

— Gdzie wielmożny pan był i dla czego w panu taka odmiana jest?

— Nie ma o czym mówić... Byłem w Warszawie, chorowałem ciężko.

— Chorował pan?

— Tak. Jedną nogą byłem już na tamtym świecie.

— Aj waj. Niech nasze wrogi.

— No, ale jakoś wygrzebałem się. Naturalnie, że po takich przejściach musiałem się trochę zmienić. Nie ma w tem żadnego cudu, ani nadzwyczajności.





II.

Na drugi dzień pan Bolesław wstał o piątej rano, o szóstej wsiadł na żrebicę Kulbackiego i pojechał w pole.

Zwiedził szczegółowo całą swoją posiadłość, był na łąkach i w lesie. Nie zadowolnił go widocznie ten przegląd, gdyż powrócił do domu w najgorszym humorze, zawołał Kulbackiego, zamknął się z nim i konferował do samego południa.

O dwunastej Kulbacki nie wyszedł, ale wyleciał ze dworku, zirytowany, zły, czerwony na twarzy jak rak.

Wpadł do swego mieszkania, odtrącił żonę i przyskoczył do szafy. Tam w ogromnym gąsiorze znajdowała się wódka, nalewana na «siedmiorakie ziola». Był to wynalazek własny Kulbackiego, osobliwy trunek, miał on podobno tę własność, że pocieszał w utraconiu, leczył choroby już istniejące i zarazem zabezpieczał od nowych.

Kulbacki długo kombinował, przez wiele lat wysilał swój umysł, zanim tę wódkę wymyślił. Sam zbierał zioła do niej, sam układał proporcję, a składała się ta kompozycja z dzięglu, mięty pieprzowej, piołunu, tysiączniku, macierzanki, kwiatu lipowego, kwiatu nasturcji i z okowity.

Kulbacki wypił trzy kielichy, jeden po drugim.

— Co robisz Józiu, zawołała żona, upijesz się.

— Uratuję życie, bo mało brakuje, żeby mnie paralusz nie chwycił, odrzekł Kulbacki.

— Cóż to się stało, mój drogi?

— Ano widzisz Kasiu, krótko ci powiem. Wypiłem jeden kieliszek, żeby mi krew od głowy odeszła, drugi, żeby we mnie żółć nie pękła, trzeci żebym miał siłę wytrzymać, czwarty wypiję, żebym trochę usnął, a piąty, żeby naszego kochanego dziedzica dyabli wzięli! Przyrządź mi co do zjedzenia, jagodo moja, gdyż ze zmartwienia, z żalości, ze zgryzoty wszystkie wnętrzności się we mnie skurczyły.

— Ale powiedz-że co to takiego, co on ci uczynił?

— Powiem, powiem... tylko się trochę pokrępię, bo siły nie mam nic i żeby nie kropelka gorzalki.. to nie wiem, coby się ze mną stało.

Obiad był gotów, pani Kulbacka postawiła na stole misę kapuśniaku i drugą kartofli. Przez chwilę panowało milczenie, Kulbacki wzmacniał nadwątlone siły, kobieta zaś przeczując, że coś niedobrego się stało, nie mogła jeść, tylko niespokojnym, pytającym wzrokiem wpatrywała się w twarz swego małżonka.

— Nareszcie pan Kulbacki położył łyżkę, obtarł spocone czoło i rzekł.

— Teraz ci Kasiu powiem.. Nie mamy już co robić w Rudawce.

— O mój Boże, cóż będzie?

— A no, przedewszystkiem pójdę spać, żeby ze mnie doreszty zmartwienie wyszło.

— I będziesz mógł usnąć nie wiedząc co cię czeka, gdzie się podziejesz?

— Ma się rozumieć... Kiedyż mam spać, jeżeli nie teraz, jak obowiązku nie mam? Powiedział, że jestem próżniak, pijak, że go okradam, że znajdzie sobie innego człowieka.

— Takto powiedział?

— Jesze więcej.

— A ty?

— A ja mu w dubelt tyle.

— Bój się Boga, człowieku, trzeba było w pokorę, tłómaczyć się, że mu ktoś naga-

dał, że to wszystko plotki i fałsz, złe języki, zazdrość ludzka.

— Myślisz, że nie mówił. Mówiłem z początku, ale zobaczywszy, że się to wszystko na nic nie zda, powiedziałem mu słowa prawdy: że porządny oficjalista zawsze miejsce znajdzie i nie tylko w takiej głupiej Rudawce, ale w znacznych dobrach, gdzie jest robić czem, na czem i koło czego... Co on mi będzie wydziwiał?! Taki ja sobie dobry pan Kulbacki, jak i on pan Michalski. W końcu splunąłem, trzasnąłem drzwiami i poszedłem. Niech go marność!

— Józiu, Józiu, rzekła żona, tyś nie dobrze zrobił. Zasiedzieliśmy się tu, zagospodarowali i trochę w pierze porośli—zawszeć i żrebica jest i trzy krówki ładne i dwa wieprzaki i drób.—Gdzie indziej nie pozwolą tyle chować.

— O, akurat! będę o pozwolenie kogo prosił!

— A jakże?

— Moja kochana, bez grosza nie jesteśmy, albo to koniecznie trzeba się za służbą oglądać: Dzierżawkę weźmiemy.

— Masz tyle?

— A cóż to, nie pracowałem, nie zabiegałem, nie odejmowałem sobie od ust?! Diedzic powiada, żeśmy go kradli na wszy-

stkie strony. Falsz, nieprawda, że się czasem od jakiego kupca dostało parę groszy to swoja rzecz. Gdzieindziej rządcy tantyemy biorą, ja nie brałem, więc radziłem sobie inaczej. Złodziejstw żadnych nie było, czasem tylko porękawiczne, albo tak oto, za grzeczność, jako, że ręka rękę myje. Nie bój się, Kasiu, wszystko będzie dobrze, jak złe minie. Ot wiesz co, jeszcze wypiję kieliszek tej ziółówki i usnę. Niech go licho, niech się sam z ludźmi ujada, niech do dnia wstaje, parobków budzi, niech się piecze na słońcu. Co mi do tego. Odprawia mnie od kwartału, ja na złość, rzucam wszystko dziś zaraz w tej godzinie,—jeżeli przysyłał po mnie, powiedz że mnie nie ma, że jestem, że jestem chory... co chcesz, co uważasz. Jutro raniutko wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Trochę w świat, między ludzi, trzeba przecież pomyśleć o sobie, zawczasu co upatrzyć; przyrządź wcześniej śniadanie i na drogę w kobiałkę co włóż, bo może kilka dni zabawię, zreszta nie frasuj się o nic przez dziesięć lat zabiegało się, pracowało, to nie zginiemy.

Kulbacki rzucił się na łóżko i wkrótce usnął, ale przewracał się niespokojnie z bo-



ku na bok i mrucał jak niedźwiedź. Widocznie majaczyło mu się we śnie, że dziedzic przysyła po niego, że prosi, aby chociaż na jakiś czas dopóki się nowy oficyalista nie znajdzie, zechciał pilnować folwarku i pełnić nadal obowiązki.

Pan Bolesław nie miał tego zamiaru. Czynności Kulbackiego powierzył starszemu parobkowi i postanowił że nadal sam będzie rządził i ekonomował.

Był już prawie zmrok kiedy się Kulbacki obudził; ledwie oczy otworzył, zwrócił się do żony z zapytaniem.

— Cóż, Kasiu, przysyłali ze dworu?

— Przysyłali, odrzekła z westchnieniem kobieta.

— Widzisz, jagodo, że na moje wyszło! Ja mówiłem przyjdzie koza do woza—ale będę twardy jak kamień. Niech się pan dziedzic nauczy, że trzeba szanować uczciwych honorowych ludzi. Ma się rozumieć, powiedziałaś, że jestem chory, że sobie spoczywam.

— Nic nie powiedziałam.

— Co?

— A nic.

— Ej Kasiu, coś ty kręcisz. Dopiero mówisz, że przysyłali, że czegoś chcieli.

— A no juści przysyłali i chcieli, ale nie pytali co ty robisz.

— Jakże!

— Zapowiedzieli tylko, słowo w słowo powtarzam, żeby się pan Kulbacki z żoną i z całym swym dobytkiem wyniósł z Rudawki we dwadzieścia cztery godziny:

— Co?

— I żeby jutro do wieczora, mieszkanie nasze było puste.

— I nie wydrapałaś mu za to oczów.

— Komu!

— Temu kto przyszedł z takim głupim słowem.

— Agacie? ona sama zmartwiona jest, zboleła, zęby ją bolą, mało nie płacze. Zda je ci się, że ją co lepszego czeka? I ona tu nie wieczna. Dziedzic zły, ciągle się odgraża, że wszystkich porozpędza, nowych ludzi przyjmie, nowe porządki zaprowadzi, to ma się rozumieć i ją oddali. Biedna kobieta, ale cóż robić, jak komu do głowy złe przystąpi, bo juści nie co innego tylko złe. Teraz, kochanie, co zrobimy?

— Co zrobimy! Albo ja wiem.. Pójdę na wieś, furmankę zamówię.

— I wyprowadzimy się.

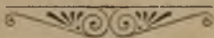
— Łaski prosić nie będę. Wyprowadzimy się tym, czasowo do miasteczka.

— Koszt duży.

— To jeszcze lepiej, jagodo, im większy koszt, tem lepiej.

— Jakto!

— Nie znasz ty się na rzeczy. Ja mu sprawę wytoczę, zapozwę go o stracone korzyści, o wszystko. Popamięta mnie on dobrze.





III.

Upłynęło dwa tygodnie od rozstania się z Kulbackim, pan Bolesław zawzięcie gospodarował, wstawał wczesnie, kładł się późno, pilnował roboty, wglądał w każdy szczegół i rzeczywiście zaprowadził ład lepszy... kupił kilka koni, kilka krów, kazał połatać dachy na budynkach. Sprowadzeni z miasteczka majstrowie wyporządkowali dwór, przestawiano piece, naprawiano podłogi, w gościnnych pokojach dano nowe obicia, pobielono wszędzie sufity, szyby łatane zastąpione zostały nowymi.

Mordka miał z tego powodu dość ambarrasu, musiał jeździć, sprowadzać rzemieślników, starać się o pieniądze, bo w gospodarstwie, jak wiadomo, czasem jest grosz, czasem go nie ma; częściej nie ma, niż jest, a gdy potrzebny na czas i w trochę większej ilości, to go nigdy nie ma.

Mordka był od takich słabości doktor, specjalista, a gdy się zdarzyło, że zaszła jakaś komplikacya, powikłanie, to nie poprzestawał na swem własnem zdaniu, lecz zwoływał konsyljum. Zapraszał swego brata, szwagra, wujaszka, zięcia, niekiedy dalszych krewnych i powinowatych; mężowie ci, wysilali swoją inteligencyę i wiedzę aż dotąd, dopóki nie wynaleźli lekarstwa.

Wśród tych czynności i kłopotów zajmowało Mordkę pytanie: — na co ten cały kram?

Tyle lat było dobrze przy dziurawych dachach, dychawicznych koniach i zaniedbanym domu; dziedzic coś miał, Kulbacki trochę miał i Mordka cokolwiek miał.

Nagle zachciało się nowości i zmian. Czy dziedzic będzie z tego co miał—to pytanie; Kubackiemu nie przyda się reforma na nic, gdyż został oddalony; jeden Mordka może liczyć na jaki drobny zysk, ale też on fatyguje się i dostarcza wszystko, co do zaprowadzenia zmian jest potrzebne.

Jako człowiek domyślny z natury, nie dzisiejszy i doświadczony, Mordka miarkuje, że bez kobiety ten interes nie jest.

Dziedzic jeszcze człowiek stosunkowo dość młody, może się ożenić i prawdopodobnie ma ten zamiar. Z kim? Mordka i tego się domyśla, przecież dziedzic pierw-

szego dnia po przyjeździe do domu zapytywał się o państwa z Osin, przecież przed kilkoma dniami jeździł tam.. I jak jeździł! Nowymi końmi, odświeżoną bryczką, a jak był ubrany! Mordka niby nie uważał, ale widział doskonale, jaki to był surdut, z jak drogiego materiału, jaki krawat, rękawiczki, kapelusz!

Takie paradne stroje może nosić tylko człowiek, który ma zamiar starać się o pannę.

Co prawda panna z Osin, warta, żeby się o nią starać, żeby nawet w tym celu ponieść pewne koszta na garderobę, kapelusz i rękawiczki, gdyż w razie pomyslnego skutku, zwróciłby się wydatek z sowitym procentem.

Osiny ładny majątek, długi na nim nie ciążyą, a gotówka podobno jest. Nawet na pewno jest, bo żydkowie o tem mówią, a skoro oni mówią, to nie bez zasady.

Chcąc się upewnić, że przypuszczenie jego jest trafne, Mordka delikatnie indagował pana Bolesława, ale ten odpowiadał niechętnie i nieszczerze, właśnie tak, jak potrzeba, aby Mordka mógł powiedzieć sobie w duchu, że ma słuszność i że się wcale nie myli.

— Pan dziedzic jedzie? pytał, gdy pan Bolesław miał siadać na bryczkę.

— Jak widzisz.

— Do Osin?

— Może.

— Pan dziedzic prędko powróci? Z pewnością koło północkska?

— Nie wiem.

— Życzę panu dziedzicowi szczęśliwej drogi.

Na wyraz «szczęśliwej» Mordka położył szczególny nacisk i spoglądał na pana Bolesława z uśmiechem. Nie wywarło to jednak pożądanego wrażenia, dziedzic kiwnął tylko głową i rzekł obojętnie.

— Dziękuję.

Wrócił do domu po północy. Nazajutrz humor miał trochę lepszy, ale robotników bardzo przynaglał, szczególnie tych, którzy pracowali przy odnawianiu dworu, obiecał im nawet poczęstunek, byle prędszej skończyli.

Mordka przywiózł z poczty dwa listy i z nich dowiedział się pan Bolesław, że ciotka zgadza się na propozycję objęcia zarządu domu, oraz że kochany Oleś ma obiecany urlop i przyjedzie do Rudawki w celu orzeźwienia się czystem powietrzem wiejskiem i spędzenia kilku tygodni w towarzystwie zanego i zawsze kochanego przyjaciela.

Przyjaciół odpisał krótko i zwięźle, ciotka, jako kobieta i życzliwa krewna, dłużej i serdeczniej.

«Jakże się cieszę, kochany Bolciu, pisała ta matrona, że nareszcie głupstwa wywie-trzały ci z głowy, że duch lepszy wstąpił w ciebie. Oby to tylko było trwale, bo wy-bacz mi, drogi siostrzeńcze, ale w siłę two-ich postanowień nie bardzo wierzę. Wypra-ktykowana to rzecz, że czem skorupka na-siąknie za młodu, tem traci na starość, że każdy mężczyzna, choćby się nawet z wierzchu ozłocił, osrebrzył i obrylantował, zawsze w gruncie rzeczy jest łotrem. Nie bierz tego do serca, gdyż za prawdę obra-zać się nie trzeba nigdy i na nikogo, a tym bardziej na ciotkę, która ci życzy, abyś raz nareszcie utemperował się, i do rozumu przyszedł. — Przyjedź po mnie i przyślij, je-żeli nie możesz trzech to przynajmniej dwa wozy drabiniaste, ale duże gdyż wybierając się do ciebie na czas dłuższy, muszę zabrać z sobą trochę niezbędnych drobiazgów. Nie wiele tego będzie i jako kobieta niemłoda, jako wdowa nie mająca już żadnych preten-syj do świata, nie wiele potrzebuje. Ciemna suknia na codzień, czarna od wielkiego dzwonu, parę czepeczków, siakie takie trze-wiczyny, książka do nabożeństwa, parasolka, rękawiczki — oto cała moja wyprawa! Juściż zgodzisz się na to, że nie mogę chodzić jak czupiradło choćby z tego względu, że jestem twoją ciotką, co jak mniemam po-

Powtórne Życie.

3

winieneś uwzględnić i uszanować. Oczekuję twego przybycia mniej więcej za tydzień, albowiem tyle czasu potrzebować będę, na uporządkowanie i upakowanie różnych drobiazgów. Całuję cię serdecznie, kochająca cię ciotka

Petronela.»

«*P. S.* Pamiętaj jednak, żebym nie zastała w domu nic podejrzanego, gdyż jedno z dwojga, albo bym umarła, albo wyjechała natychmiast, powiedziawszy ci przedtem słowa prawdy».

Przeczytawszy ten list, pan Bolesław zaczął szybkimi krokami chodzić po pokoju, nareszcie, jakby powziąwszy nagle postanowienie, zadzwonił.

Weszła Agata i zwróciła na niego swe duże, jakby porcelanowe oczy z niemym pytaniem.

— Słuchaj-no Agato, rzekł, chciałem się z tobą stanowczo rozmówić.

— Jeżeli według obiadu, to może być zaraz.

— Nie, o co innego idzie.

— Może według godziny.

— Ależ nie... przerwał niecierpliwie, daj że mi przyjść do słowa.

— Ja przecież.

— Znowuż! Otóż przyjedzie za tydzień moja ciotka i obejmie zarząd domu.

— A to niech przyjedzie. Cóż mi pańska

ciotka przeszkadza? ona sobie pani w pokojach, a ja sługa w kuchni i na folwarku.

— Tak widzisz nie może być.

— A dla czego? Pani nie będzie gotowała, nie pójdzie do obory, ani do chlewa, od tego są sługi.

— Proszę cię nie przerywaj, właśnie chciałem ci powiedzieć, że musimy się rozstać, zrozumiałaś?

— Nie, nie mogę zmiarkować, co pan odemnie żąda.

— Przynieś swoją książkę; obliczę ile ci się należy do końca roku, zapłacę, a jutro dam ci furmankę i jedź sobie dokąd chcesz.

— Niby kto?

— Ty.

— Ja?

— Przecież mówię wyraźnie.

Agata miała w ręku rąbek fartucha, oczy jej zasły łzami, głos drżał.

— To widać ekonomka prawdę mówiła, a ja jej rzekłam wtedy, że... lże.

— Co za związek ma gadanie ekonomki z tem co ja ci mówię.

— Powiedziała, że pan jest teraz odmienny, że w pana wstąpiło zło, że pana opętało i to wszystko jam sama teraz widzę; święta prawda. Kulbackiego pan wyrzucił sprawiedliwie, dawno mówiłam i nieraz po-

wtarzałam, że kradnie pońskie dobro, że pijak jest i próżniak, ale co ja panu złego zrobiłam? Niech pan powie tak uczciwie, po sprawiedliwości, co? Czy nie pilnowałam pańskiego, czy nie dbałam, jak o swoje własne, czy nie strzegłam domu, jak pies. Niech pan powie?

— Nic ci nie zarzucam.

— No to dla czego mnie pan odprawia?

— Bo widzisz, jesteś dla mnie za młoda.

— O la Boga! dziesięć lat temu nie byłam zamłoda, a teraz nagle odmłodziłam! Słonko zwaryowało, zamiast iść ze wschodu na zachód, to idzie od zachodu na wschód, woda w rzece zgłupiała i nie leci w dół bez stawidla, na koła młyńskie, jeno ucieka do góry, krowy idą ogonami naprzód, a tyłami po bokach się biją i od much oganiają. Młoda ja dla pana, za młoda, po dziesięciu latach! Żeby mnie pan jeszcze jaki czas nie odprawiał, tobym może zmałała całkiem i do kołycki wróciła.

— Ty tego nie rozumiesz.

— Dyć nie rozumiem, bo i nikt nie zrozumie takiej mowy.—Człowiek z każdym rokiem jest starszy, ale nie młodszy.

— Widzisz ja nie chcę, żeby była obmowa, ludzie mogą pleść różne rzeczy.

— Teraz, dziś, tak nagle? Co mieli pleść, to już wypletli, już i zapomnieli, a zresztą

cóż to, nie wolno panu mieć sługi, sam pan sobie ma jadło gotować, stanąć do balii, albo do żelazka do prasowania? Co mają pleść, a choćby pletli, to niech im języki popuchną i tyle!

— Ja z tobą nie mogę dojść do ładu— a jednak tak jak powiedziałem być musi. Zapłacę ci zaslugi do końca roku, oprócz tego, żeś była życzliwa i wierna dam ci wynagrodzenie oddzielne, ale tu dłużej być nie możesz i trzeba koniecznie, żebyś wyjechała, jeżeli nie jutro to w tym tygodniu koniecznie. Tak musi być.

— Musi?

— Tak.

Agata zwróciła się ku drzwiom.

— Zaczekajże—weź pieniądze.

— Nie wezmę.

— Dla czegoż to?

— Bo nie.

Rzekłszy to wyszła.

Pan Bolesław chodził długo po pokoju, potem kazał podać obiad. Usługiwała Katarzyna. Po obiedzie poszedł w pole, z kąd wrócił dopiero wieczorem. Na dziedzincu spotkał Mordkę.

— Co chcesz? zapytał z gniewem.

— Nic nie chcę, tylko mi trochę jest dziwno.

— Z jakiego powodu?

— Wracalem z miasta, na drodze spotka-
lem Agate,

— Cóż nadzwyczajnego?

— Nic... ma pan dziedzic racyę, to była
zwyczajna Agata, tylko na plecach miała
wielki tłomok i to mnie zadziwiło. Dla cze-
go ona niesie tłomok, dokąd ona go niesie
i co w tym tłomoku jest?

— Cóż cię to obchodzi?

— Nic, tylko lubię wiedzieć. Ja zapytałem ..
i dostałem odpowiedź.

— No?

— Powiedziała mi, żebym sobie poszedł
do wszystkich dyablów. Bardzo teraz ten
prosty naród ordynarny jest, nie ma w so-
bie delikatności, bez żadnej przyczyny zaraz
wyjeżdża z gębą.

— Ciekawym jednak, dokąd ona mogła
pójść?

— Ja miarkuję, ona ma krewnych w Wa-
lentówce, pewnie tam poszła. Pan jej chyba
pozwolił.

— Odpawilem ją.

— Pan dziedzic odprawił, to co innego...
Ona była dobra sługa, życzliwa... no, ale co
mnie do tego, wola pańska.

— Masz racyę. Jakże teraz krowy — wię-
cej dają mleka? Lepiej są dozorowane i
żywione niż za Kulbackiego.

— Pewnie, że lepiej, tylko proszę pana

dziedzica, żadne bydłę nie ma tyle fanaberyi, co krowa. Czy jej dać lepiej jeść, czy gorzej, ona zawsze tak kombinuje z mlekiem, żeby pachciarz był stratny.

— A więc porzuć pacht—któż cię przymusza.

— Ja jeszcze trochę poczekam, może się odmieni, może lepszy czas przyjdzie.





IV.

Ciotka Petronela przyjechała do Rudawki i objęła energiczną ręką ster gospodarstwa domowego.

— Jak doświadczony admirał przedewszystkiem zrobiła przegląd załogi i zaraz na wstępie spotkał ją zawód: przypuszczała bowiem, że znajdzie sposobność spełnienia pogroźki w liście zawartej—a tymczasem nawet cienia sposobności nie było.

Takt ten zrodził w niej podejrzenie, że cały garnizon żeńsko folwarcznego korabiu dobrany został umyślnie, dla zachowania pozorów, ale że w ukryciu musi jednak coś być. Wnet przyszło jej na myśl przysłowie o oliwie, która zawsze na wierzch wypłynie, o szydle nie dającym się ukryć w worku. To ją pocieszyło i na razie musiało wystarczyć.

Z chwilą przybycia ciotki zrobiło się nadzwyczaj gwarno w odnowionym dworku; roz-

kazy wydawała i cofała pani Petronela z zadziwiającą szybkością, trzy dziewczyny raz wraz przebiegały przez pokoje, jak gazelle przez pustynie, oczywiście z mniejszym pośpiechem i znacznie większym łoskotem. Zapytaniom nie było końca, a odpowiedzi przyjmowała ciotka z uśmiechem pełnym politowania i pobłażliwości zarazem, ale spojrzenie jej zapowiadało wielkie kataklizmy domowe.

— Jak ty mogłeś tak żyć, kochany Bolesłau, mówiła.

— Ha, żyłem jakoś.

— Wyborne, ale w tem nie było ani ładu, ani składu, ani sensu.

— Właśnie, kochana ciotko, przyszedłem sam do tego przekonania i dla tego ośmieliłem się Cię prosić.

— Nie pożałujesz tego. Ja jestem zwolenniczką zasady, że nikt darmo chleba jadać nie powinien i dla tego ja w przeciągu kilku dni cały ten dom przewrócę do góry nogami.

— Oj, ciociu, czy to nie będzie zbyt energicznie? zapytał pan Bolesław z uśmiechem.

— Ja wiem, że wy nie lubicie tego, co jest najważniejsze w życiu.

— Któż to my?

— Mężczyzni. Dla tego chciałem ci zapro-

ponować, abyś na kilka dni z domu wyjechał.

— Cioteczko, na żaden sposób!

— Ciekawam dla czego?

— Będę miał gościa.

— Co?

— Jutro przyjedzie z Warszawy mój dobry przyjaciel i kolega szkolny: zabawi trzy tygodnie.

— A wiesz co, Bolciu, że tego nie spodziewałem się po tobie. Sądziłam, że jesteś delikatniejszy.

— Ależ Cioteczko.

— Za pozwoleniem, jeżeli nie czujesz związków pokrewieństwa, to powinieneś przynajmniej być nieco uprzejmiejszym dla kobiety.

— Na miłość Boską—com zrobił?

— Jeżeli ja mam tu występować w charakterze pani domu, to nie wypada ci zapraszać gości bez mojej wiedzy. Inaczej dom przestanie być domem i będzie miał charakter zajazdu, kawalerskiej knajpy, koszar! Brakuje tylko, żebyście tu urządzili bufet, bilard i fajczarnię! A nie spodziewałam się, a nie.

— Niechże kochana cioteczka pozwoli mi przyjść do słowa.

— Czyż ci przeszkadzam mówić? Jesteś panem domu i z całą bezwzględnością dałeś mi to poznać odrazu. Dziś dowiaduję się,

że ma przyjechać kolega, jutro może się znajdzie dwóch, a za tydzień piętnastu.

— Przyjedzie tylko ten jeden, o którym wspominałem i zaprosiłem go pół roku temu, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że ciocia będzie łaskawa zaopiekować się moim domem. Jakim więc sposobem mogłem ciocię uprzedzić i po co?

— Po to żeby ów pan zastał dom zreformowany.

— Czy kochana cioteczka uważa, że dom mój potrzebuje reformy?

— Pani Petronela odpowiedziała mową mimiczną: wzruszyła ramionami, oczy wzniosła ku niebu i westchnęła ciężko.

— Czy ten dom potrzebuje reformy? — rzekła po chwili. — Boże miłosierny! ależ od podwalni do strychu, od piwnicy do wierzchołka komina, od ściany do ściany i od kąta do kąta! Tylko mężczyzna może tego nie widzieć.

— W istocie, kochana cioteczko, ja nie widzę.

— Bo jesteś mężczyzną.

— Żałuję bardzo, ubolewam nad tem nieszczęściem, ale ani go odwrócić, ani zmienić nie mogę. Żart na stronę, ciociu, lecz dom ten, przynajmniej moim oczom, przedstawia się bardzo przyzwoicie, a jest przy-

tem tak trwały, że jeszcze kilku pokoleniom służyć będzie.

— Zapewne, jeżeli mowa o trwałości ścian, przyznaję ci słuszność, ale duch domowy jest okropny i trzeba go zmienić koniecznie. Właśnie miałam się zabrać do tego, tymczasem nagle i niespodzianie dowiaduję się, że ma być jakiś gość i że zjeżdża na kilka tygodni.

— Ciociu, niech ciocia to uważa za zrządzenie losu już spełnione; faktu dokonanego cofnąć nie można, choćbym najszczerzej pragnął, gość mój albowiem jest już w drodze.

— Trudno, odrzekła z westchnieniem, całe moje życie było nieprzerwanem pasmem rezygnacyi, los nie oszczędzał mnie nigdy, przykrości, nieszczęścia, niepowodzenia i zawody znosiłam mężnie... Taka już moja natura i taką pozostanę do śmierci.

— Niech mi ciocia raczy wierzyć, że w danym wypadku nieszczęścia nie będzie: gość mój albowiem jest człowiek towarzyski, ma zawsze coś do powiedzenia i obecność jego urozmaici nasze monotonne życie. Spodziewam się także, że nie dostrzeże on tego okropnego ducha domowego, którego kochana cioteczka nie zdążyła jeszcze wypędzić za dziesiątą granicę.

— Mój kochany, ty sobie z ciotki nie żartuj.

— Skądże? tylko o owym duchu.

— No, no, zniknie on ztąd, a dopiero wtedy przekonasz się, że on był.

Przyjaciel pana Bolesława przyjechał ze stacyi kolei żelaznej późno w nocy; ciotka już spała, więc uroczyste przedstawienie go jej musiało być odłożone do następnego dnia. Pan Bolesław odprowadził gościa do przeznaczonego dla niego pokoju i miał zamiar życzyć mu zaraz dobrej nocy, lecz inaczej się stało, zaczęli gawędzić.

— Ja — mówił warszawiak, — wyspałem się w wagonie, więc do łóżka mnie nie zapędzaj, chyba że sam masz chęć udać się na spoczynek. W takim razie idź, a ja czytać będę książkę, którą kupilem na wyjeździe.

— Ani myślę, wolę skorzystać z okazji i rozmawiać z tobą, tyle mam do powiedzenia. Z niecierpliwością wyglądałem dnia twego przyjazdu, nareszcie nadeszła ta chwila. Szczęśliwy jestem, że cię widzę.

— Mnie również bardzo miło jest, że mogłem nareszcie wybrać się do ciebie, ale nie prawmy sobie komplementów nawzajem, jak chińczycy. Ty jesteś kontent i ja również i dość na tem.

— Ślicznie mówisz, Olesiu. Poczekaj, przyniosę butelkę wina, łatwiej gawędka popłynie.

— Lepiej wyjdźmy do ogrodu. Wszak zapewne masz ogród?

— Jeszcze jaki!

— Tem lepiej, wyprawisz mi ucztę z powietrza. Dawno już, dawno nie byłem na wsi, prawie dziesięć lat, to też jadąc od stacyi do ciebie upajałem się poprostu miłą wonią łąk i lasu. Tu się inaczej oddycha niż w mieście, inaczej się żyje.

— Więc porzuć miasto.

— Łatwo to powiedzieć. Nie wyobrażam sobie, jakbym mógł żyć bez mego biura, towarzystwa, partyi winta. Przyzwyczajenie to druga natura. Czasem dobrze jest oderwać się od zwykłego trybu życia, z początku sprawia to wielką przyjemność, ale po jakimś czasie ogarnia tęsknota za domem.

Wyszli do ogrodu, noc była piękna, księżycowe blaski przedzierały się przez gałęzie drzew, zapach kwiatów aż odurzał.

Usiedli na ławce pod lipą, pan Aleksander rzekł.

— Zaintrygowalesz mnie bardzo swym listem.

— Pod jakim względem?

— Pod wieloma, wszakże obiecalesz przekonać mnie, że jestem w błędzie, a raczej,

że byłem w błędzie, robiąc ci niegdyś pewne uwagi.

— Tak jest.

— O ile sobie przypominam, owe uwagi, a raczej nie uwagi, lecz życzliwe szczere przyjacielskie rady, odnosiły się do twego trybu życia.

— Tak. Wymawiałeś mi, że marnuję czas, że żyję jak motylek, czy jak konik pólny, nie wiele dbając o zdrowie, majątek, nie czyniąc żadnych starań, aby zostać człowiekiem istotnie pożytecznym społeczeństwu. Byłeś wtedy rozgoryczony i pełnymi garściami rzucałeś mi prawdę w oczy.

— Przyznaj jednak, że czynilem to w formie delikatnej.

— Masz rację; była ona delikatna tak dalece, że gdyby mi kto inny powiedział podobną reprimandę, to połamałbym mu wszystkie kości.

— Bardzo mnie cieszy, że nie jestem kto inny, odrzekł z uśmiechem Aleksander.

— Jak cię kocham nie żałuję. Od ciebie przyjąłem spokojnie.

— I postanowiłeś skorzystać z nauki?

— Na razie tak, ale niestety, nie miałem już na to czasu... Umarłem. No, kochany Olesiu, nie odwracaj się odemnie; mogę cię

zapewnić, że nie jestem obłąkany, nie rzucać się na ludzi, nie kąsam i nie drapię.

— Ależ.

— Przyłóż dłoń do mego czoła, policz uderzenia pulsu, a przekonasz się, że nie mam gorączki.

— W takim razie dla czegoż.

— Dla czego mówię, że umarłem? Bo rzeczywiście tak było. Nie dziw się i słuchaj dalej do końca, a nie spodziewaj się jakich nadzwyczajności, opowiem ci historję prostą, pospolitą, zwyczajną.

— Zaciekawiasz mnie coraz bardziej.

— Wiesz, że byłem ciężko chory. Odwiedzałeś mnie nieraz w szpitalu, przynosiłeś mi książki, gdy jeszcze mogłem czytywać. Widziałem cię pochylonego nad mojem łóżkiem, widziałem twoje oczy pełne współczucia i uśmiech nienaturalny, ten uśmiech, który mamy zwykle dla kandydatów do blizkiej podróży na cmentarz. Czasem widywałem cię dobrze: postać twoja rysowała się przed oczami mojemu, jasno czasem znów jakby przez mgłę, przez drobniutką i gęstą siatkę. Przypominam sobie te szczegóły i nieraz myślę o nich: śni mi się często szpital; słyszę jęki chorych, widzę pochylających się nademną lekarzy, biały kornet, otaczający łagodną twarz siostry miłosierdzia, czuję ostrą woń karbolu, słyszę stąpanie posłu-

gaczów, wynoszących szybko towarzysza mej niedoli, który tylko co przestał cierpieć.

— Są to zapewne przykre wspomnienia dla ciebie.

— Przykre, a jednak nieraz przywołuje je na pamięć. Przypominam sobie, że często-kroć podczas nocy bezsennych wpatrywałem się w blade światło lampki nocnej i widziałem. Czego ja nie widziałem wówczas! Sceny z mego dzieciństwa, lat młodzieńczych i późniejszych przesuwały się przed memi oczami. Widziałem siebie samego i otoczenie moje w różnych fazach życia: widziałem skarby, jakie mi dano i ogarnęła mię rozpacz, że m je tak głupio, tak nieopatrnie marnowałem. Bo nie zaprzeczysz chyba, że młodość, zdrowie, siła, majątek, jakie takie zdolności, to skarby nieoszacowane, a ja szedłem przez życie, jak szaleniec i rozrzuciłem je pełnemi garściami. Byłem pewny, że zbliża się kres, nadchodzi chwila, w której przestanę tu na ziemi istnieć. I jakież wspomnienie pozostawię po sobie? Czemuż nie mogę wrócić czasu, pozbierać tego, com roztrwonil i zużytkowałem inaczej! Okropne były chwile takich rozmyślań. Potem zapadałem w senność, w apatyę szczególnego rodzaju, przestawałem myśleć, zastanawiać się, obojętne mi było, czy istnieję, czy nie.

Niby spałem, niby czuwałem, ale nie było to ani czuwanie, ani sen.

— Najgorszy stan twój był w końcu marca.

— Nie wiem, ani zegar, ani kalendarz nie zaprzętał moich myśli, to tylko pamiętam, że jacyś ludzie mieli ze mną dużo kłopotu. Przenosili mnie jakby na marach, układali na stole.

— Do operacji.

— Wówczas nie wiedziałem, co ze mną robią i w jakim celu zadają sobie tyle trudów. Później znajdowałem się znowuż na łóżku; biały kornet pochylał się nademną, przyszedł ksiądz w komży, zapalono dużą świecę. Była to chwila bardzo uroczysta, a niedługo później umarłem.

— Człowieku! co ty mówisz?

— Pozwól mi dokończyć. Egzystencja moja została przerwana, przecięta, otoczyła mnie ciemność i chłód. W głowie trochę dziwnych majaceń, przed oczami jakieś mgliste obrazy, a potem już nic.

— Pamiętam, byłeś wówczas między życiem, a śmiercią. Nie robiono najmniejszej nadziei, ja cię oplakiwałem.

— Dziękuję w imieniu tamtego.

— Jednak w kwietniu zaczęłeś powracać do zdrowia.

— Źle się wyrażasz, ja w kwietniu zaczą-

łem się odradzać. Tamto, pierwsze istnienie minęło bezpowrotnie, tamten człowiek, któremu czyniłeś tyle zarzutów odszedł, pozostawiając następcy swemu trochę doświadczenia i mnóstwo przykrych wspomnień. Wedle twego wyrażenia powracałem do zdrowia, według mnie zaczynałem nowe życie. Siły fizyczne przybywały bardzo powoli, duch wzmacniał się prędkiej, zlorzeczyłem niemocy, która przeszkadzała mi rozpocząć powtórne życie zaraz, natychmiast.

— Powtórne życie?

— A tak, mój kochany. Zbroiłem postanowienie nieodwołalne. W pierwszym życiu marnowałem zdrowie, siły, czas, majątek, inteligencję, nie robiłem nic dla drugich—w powtórnem wszystko będzie inaczej. Zdrowie i siły będę pielęgnował, majątek podniosę z upadku, inteligencję zużyję na czytanie dzieł pożytecznych i na pracę dla ogólnego dobra. Przez czas powrotu do zdrowia, przez czas, który mi się piekielnie długim wydawał, obmyślałem wszelkie najdrobniejsze nawet szczegóły postępowania mego na przyszłość, a zaledwie pozwolono mi wychodzić, zaledwie mogłem ruszać się rażniej, natychmiast powróciłem do domu i rozpocząłem reformy.

— Jakie? zapytał pan Aleksander.

— Przedewszystkiem wypędziłem ekono-

ma, który był próżniak, pijak i miał za szerokie rękawy.

— To doskonale i zapewne przyjąłeś drugiego jeszcze doskonalszego.

— O nie, sam jestem u siebie ekonomem, we wszystko się wtrącam, robotników doglądam.

— Ślicznie, brawo, przyjacielu, pańskie oko konia tuczy, mówi przysłowie, chociaż jeżeli mam być szczerym, to muszę przyznać, że te konie, które przysłałeś po mnie na stację nie są zanadto spasione.

— Bo jeszcze za prędko, ale poczekaj kilka tygodni, a przekonasz się.

— I cóż więcej zrobileś?

— Odnowiłem dom i zarząd gospodarstwa kobiecego powierzyłem ciotce mej, Petroneli, o której słyszałeś zapewne.

— Ta z pewnością weźmie się do reform.

— Już się wzięła.

— A dalej?

— Dalej, chcę służyć społeczeństwu.

— W jaki sposób?

— Zacznę ubiegać się o wybór na sędziego, a w ostatnim razie, choćby na ławnika. Trzeba być czemś, nie prawda?

— Koniecznie.

— Wreszcie, ażeby spłacić dług jaki każdy człowiek zaciąga w obec.....

— A tu cię czekałem! Marzysz o ożeniu się?

— Istotnie.

— Nie zapóźno to trochę?

— Nie sędzę, znacznie starsi odemnie żenią się.

— I masz już upatrzoną przyszłą towarzyszkę życia?

— Mam. Jutro, lub pojutrze poznasz ją. Niedaleko ztąd mieszkają jej rodzice.

— Szczególna rzecz, że się tak prędko zakochałeś.

— Czym się zakochał — nie wiem, ale bardzo ją lubię i bardzo mi się podoba...

Niech ci się nie zdaje, że to nowa znajomość; od wielu lat bywam w Osinach, a pannę pamiętam, gdy jeszcze w krótkich sukienkach chodziła. Nieraz przychodziło mi na myśl starać się o nią.

— A cóż ci przeszkadzało?

— Wtenczas było co innego, a teraz jest znowuż co innego. Wówczas myśli tego rodzaju były daleko odemnie, obecnie zaś widzę przed sobą jasno cel, do którego dążyć powinienem.

Księżyc bladł i niknął w białych obłoczkach, gwiazdy pochowały się na niebie.

Pan Bolesław rzekł do swego gościa.

— Chodź do pokoju, dzień blizki, zasło-

nię okno, aby cię nie budziły promienie słoneczne i wypoczywaj choćby do południa.

— A ty?

— Za dwie godziny będę w folwarku, za trzy w polu... O dwunastej powrócę, ale jeżeli masz zamiar wstać wcześniej, jestem w każdej chwili do twej dyspozycji. Powiesz chłopcu, który ci będzie usługiwał, że chcesz mnie widzieć — a on potrafi mnie znaleźć.

— Wstanę koło dziewiątej, radbym zwiedzić twoje dobra i gospodarstwo.

— Dobrze, przyjdę więc po ciebie i przy kawie przedstawiony zostaniesz ciotce Petroneli. Wytrząśnij przed nią worek najświeższych nowinek warszawskich, mów dużo o polityce, daj do zrozumienia, że ze wszystkich gier znanych, najrozumniejsza i najbardziej kształcąca umysł jest «bezigue», a zjednasz sobie opinię arcy-miłego i myślącego młodzieńca. Przyda ci się to bardzo, gdyż jak się zapewne domyślasz, stanowisko ciotki Petroneli jest bardzo wybitne i poważne w tym domu.

— Dobrze, zastosuję się do instrukcyj w najdrobniejszych szczegółach.

— Po obiedzie pojedziemy w sąsiedztwo; poznasz osobę, którą pragnąłbym nazwać swą żoną, [poznasz jej rodziców i brata, a nie bez tego, żebyśmy nie zastali kogo z

obcych. Zamierzam też rozpocząć kroki w celu postawienia mej kandydatury.

-- Ciekawym, jak taka akcja w Rudawce czy koło Rudawki wygląda?

— Nazajutrz po obiedzie, pani Petronela zaprosiła siostrzeńca do swego pokoju.

— Siadaj, rzekła z miną tajemniczą, chciałabym z tobą pomówić.

— Jestem na rozkazy kochanej cioteczki, co mi ciocia raczy rozkazać?

— Twój gość jest o wiele «lepiej» niż się spodziewałam.

— Napelnia mnie to radością, że się cioci spodobał

— Nie mógł się nie podobać. Człowiek elegancki, miły, bardzo rozumny i wcale jeszcze przystojny.

— Czy ciocia ma zamiar swatać go?

— Nie mówię, że nie.

— Z kim-że?

— Sądzę, że panna Michalina z Osin nie zrobiłaby złego wyboru, oddając mu rękę.

Pan Bolesław zerwał się nagle z krzesła.

--- Cóż masz przeciw temu?

— Ciociu, o panie Michalinie ja myślę.

— Pani Petronela spojrzała na swego siostrzeńca ze zdumieniem.

--- Ty myślisz o panie Michalinie? I dla czego ja o tem nie wiem? Zapewne nie jestem godna zaufania. Czy tak?

— Ciociu!

— Więc dla czego tajemnica, z jakiego powodu sekret?

— Nie chciałem mówić przed czasem, myśl powziąłem niedawno, projekt nie jest jeszcze zupełnie dojrzały.

— Mój kochany, projekt nie jest śliwka, aby w stanie niedojrzałości mógł komu zaszkodzić. W każdym razie to przypadkowe wyznanie mnie zadziwia... ale prawda, żeby poznać człowieka trzeba z nim beczkę soli zjeść.

— Ciocia jest niesprawiedliwa względem mnie.

— Masz rację! Niby to zajmuję jakieś stanowisko, niby jestem czemś... tymczasem ma ktoś przyjechać na parę tygodni — ja o tem nie wiem; pan siostrzeniec zamierza się żenić — ja także o tem nie wiem, że zaś dziwię się temu, więc jestem niesprawiedliwa.

— Porozumiejmy się.

— Naco? Zawsze skryty byłeś, jesteś i będziesz. Taki już twój charakter.

— Ja właśnie pragnąłem nie tylko wtajemniczyć ciocię w moje zamiary, ale prosić o pomoc, tylko przedtem chciałem wyrozumieć co myśli panna.

— I cóż wyrozumiałeś.

— Dotychczas nic, nie miałem sposobności.

— Byłam tego pewna. Co do mnie, od pierwszego rzutu oka wiedziałabym co jest, jak jest, co myśleć i czego się trzymać.

— Więc niech ciocia jedzie z nami dziś do Osin i bystrem okiem oceni sytuację.

— Właśnie w podobnym celu zaprosiłam cię na rozmowę.—Przystąpię wprost do rzeczy. Gość nasz człowiek tak miły, elegancki, uprzejmy, że szkoda go trzymać w ukryciu. Niech pozna sąsiedztwa a może... Ponieważ dowiedziałam się niechcący, że masz widok na pannę Michalinę, więc możeby go zawieść do Czaplinka, panna Zofia jest ładniejsza i bogatsza od damy twego serca.

— To rzecz gustu.

— Zapewne.

— O ile wiem Oleś nie myśli się żenić.

— Co to nie myśli?! Musi. Do czego podobne, żeby taki człowiek marnował się

— Jeżeli mu tak dobrze.

— Ach Boże! Czyż wy możecie wiedzieć z czem wam dobrze, a z czem źle. Pojęcia żaden z was nie ma

— Ostatecznie, niech będzie i tak; niech go ciocia swata i żeni, ale mnie pierwiej i niech ciocia jedzie z nami dziś.

— Otóż nie.

— Dla czego?

— Dziś nie mogę. Są powody, których ty nie zrozumiesz, choćbym ci przez cały

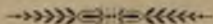
rok tłómaczyła. Po prostu nie zmieści się w twojej głowie, że coś trzeba do czegoś przyszyć, że coś ururkować—i że bez tego czegoś nie można. Jedźcie dziś sami, we dwóch, ja wybiorę się za parę dni — wpierw jednak dasz mi konie do Czaplinka.

— Kiedy?

— Jutro.

— A więc pomimo mojej prośby tam pierwej.

— Tak trzeba, mój kochany.





V.

Mordka Butterglanc miał takie przyzwyczajenie, że wieczorem siadywał w pobliżu swego domostwa na kłodzie i oddawał się rozmyślaniu.

Nikt mu nie przeszkadzał, Mordkowa zajęta była w stancyi rozlewaniem mleka do różnych naczyń, dzieci bawiły się za ogrodem na drodze, parobcy, fornale roznosili obroki w folwarku. Zapadał wieczór, była cisza, a że z oddalenia dolatywały odgłosy chłopskich pieśni, to nie przeszkadzało nic

Śpiewa ktoś — niech sobie śpiewa; płacze — niech płacze, byle Mordka nie potrzebował dołożyć do tego interesu, to mu wszystko jedno. Zresztą, w ogóle, gdy kto ma swoje rachunki, swoje myślenie, co go może obchodzić cudzy humor?

Wieczór jest najwłaściwsza pora do dumań, jest zakończeniem dnia, pamięć myślącego człowieka przebiega ubiegłe godzi-

ny, dodaje zyski, jakie one przyniosły, odejmuje straty — i jest rezultat.

Mordka przypomina sobie w jaki sposób dzień spędził... Rano o szóstej wstał: co robił po wstaniu? Trochę przeciągał się, trochę ziewał, nawet dużo ziewał, ale to się nie liczy.

Następnie umył ręce, odmówił krótką modlitwę, poszedł na wieś. Tam trafiło mu się kupić cielę. To jest dobry towar.

Potem Mordka przypędził cielę do domu, pacierz zmówił, śniadanie zjadł, zaprzągnął konia do wozu, zabrał cielę, kilka serów, parę funtów koszerne go masła i pojechał do miasteczka. Po drodze wstąpił do dworu, zapytać czy nie trzeba sprawunków. Akurat było potrzeba.

W parę godzin później był u celu podróży, sprzedał swoje produkty, na cielęciu zyskał rubla, zrobił sprawunki, na czem także nie stracił, dowiedział się co słyhać na świecie, assistował przy wielkiej dyspucie na rynku, widział fałszywą dziesiątkę, zanotował sobie w pamięci ceny targowe zboża, znalazł współnika do kupna dwudziestu czterech gęsi, kupił dla rodziny trochę obwarzanków i dwa śledzie, dla siebie paczkę tytoniu, na wszelki wypadek parę garnicy okowity, od przytrafunku kilkaset papierosów, a na każde zdarzenie pudełko landrynek.

Następnie zastanowił się, czy czego nie zapomniał, napił konia, żeby mu dodać siły do pośpiechu, upakował sprawunki na wozie, zabrał dwóch pasażerów, którzy mu się trafili i odjechał do Rudawki z powrotem.

To wszystko stało się bardzo szczęśliwie, porządnie, bez wypadku i bez nadzwyczajnych wydarzeń.

Taka jest historia dnia, taka treść rozmyślań; pamięć uporządkowała fakty dokonane, jako materyał, myśl zaś, w charakterze doświadczonego buchaltera, przystępuje do sporządzenia balansu, nie przewidując wszakże, że natrafi na przeszkodę.

A przeszkoda jest żywa, w miarę korpulentna i poważna—pani Petronela. Idzie ona ścieżką z folwarku i zmierza wprost do kłody, na której siedzi Mordka.

— Dobry wieczór.

Mordka zerwał się na równe nogi.

— Dobry wieczór. To wielmożna pani. Nie spodziewałem się.

— Właśnie, przechodząc tędy, przypomniałam sobie, że mam do was interes.

— Owszem, w każdej chwili. Co tylko trzeba załatwić mogę. Wielmożna pani mnie zna.

— Nie bardzo.

— Pani żartuje. Kogo można więcej znać niż mnie.

— Nie wiem, naprzykład, czy Mordka jest szczery.

Pachciarz nie mógł domyśleć się do czego to pytanie zmierza i odrzekł dopiero po namyśle.

— Wielmożna pani wie, że teraz czas ciężki, pieniądz drogi, a do interesu trudno kogo nawet kijem napędzić. Oni wszyscy się boją, nawet taki ryzykant, jak nasz Wulf, też nie ma chęci do wygodzenia komu.

— Nie potrzebuję pieniędzy i nie mam zamiaru udawać się do Wulfa, żądam tylko, żeby Mordka odpowiedział mi na kilka pytań, ale szczerze, bez wykrętów.

— Dla czego nie?

— Chciałabym wiedzieć, jak stoi w interesach mój siostrzeniec?

— Nasz dziedzic?

— Tak.

— Jak on stoi? Tak jak wszyscy panowie w okolicy, stoi jak może, który to dziedzic siedzi na pieniądzach? Może się znajdzie całej parady jeden albo dwóch.

— Radabym wiedzieć, czy ma długi?

— Kto nie ma długów? Największy bankier także potrzebuje czasem kredytu. Czy wielmożna pani ma chęć zapłacić za naszego dziedzica?

— Bynajmniej, pytam tylko z ciekawości, ile tam tego jest?

— Trochę.

— Trzy, pięć, dziesięć tysięcy?

— Proszę wielmożnej pani, ja nie rachowałem. Co mnie do tego? Ja jestem biedny pachciarz, ledwie się utrzymuję przy tych głupich krowach. Sprzedaję mleko, robię sprawunki, jak dziedzic każe załatwić jaki interes to załatwiam, a zresztą nie wiem nic. Co ja mogę wiedzieć i czy mi potrzeba wiedzieć.

— Ale mnie trzeba.

— Owszem niech się wielmożna pani dowie. Najlepiej niech pani zapyta dziedzica.

— Nie powie.

— No, jeżeli on nie powie, to jakim sposobem ja mogę?

— Widzi Mordko, zapytanie nie jest bez powodu.

— Ja też tak myślę.

— Siostrzeńca mego, o ile wiem, okradali na wszystkie strony.

— Może.

— Ekonom, który tu był przez wiele lat, zrobił majątek i teraz, jak słyszę, bierze folwark w dzierżawę.

— Podobno, ja też słyszałem.

— Więc zrobił duże pieniądze?

— Nie rachowałem, proszę pani. Jeżeli zrobił, to ich z pewnością nikomu nie pokazywał, a jeżeli nie zrobił, to nie mógł po-

kazać, choćby chciał. Czy tak, czy tak, to proszę wielmożnej pani przepadło i już się nie powróci. Tymczasem dziedzic wcale nie ma ekonoma i Bogu dziękować zdrów jest.

— Ja też myślę, że teraz interesa Rudawki powinny się znacznie poprawić.

— Niech się poprawią, ja życzę. Wielmożna pani nie wie, jak ja życzliwy jestem.

— A jednak ja muszę wiedzieć, ile Bolesław ma długów. Czy Mordka podejmie mi się dostarczyć tę wiadomość, za wynagrodzeniem. Darmo nie żądam, za fatygę zapłacę i dobrze.

— Proszę pani, to nie łatwa rzecz. Trzeba pojechać do miasteczka, przepytywać, a wiadomo pani, że nasze kochane żydki nie lubią się chwalić, nie każdy chce mówić o interesach.

— Od czegoż wasza głowa?

— To prawda, jeżeli wielmożna pani żąda koniecznie, to ja się dowiem, zapytam.

— Jak prędko mogę się spodziewać rezultatu?

— Nie wiem... może za kilka dni, za tydzień, będę się starał.

— Proszę pamiętać, wynagrodzę dobrze, gdyż bardzo mi na tej wiadomości zależy.

Rzekłszy to pani Petronela odeszła, Mordko zaś usiadł na kłodzie i znowuż pograżył się w dumaniach. Już nie robił przeglą-

du czynności dziennych, nie sporządzał bilansu, lecz zastanawiał się nad pytaniem w jakim celu ciotka dziedzica żąda wiadomości o jego długach.

Można to rozmaicie tłumaczyć. Naprzód, każda kobieta w ogóle jest ciekawa, ale jest także i skąpa, ta obiecuje wynagrodzenie i dobre, więc rzecz jasna, że ma w tem jakiś interes. Ale jaki? Może chce zapłacić długi dziedzica? Powiada wyraźnie, że nie ma takiego zamiaru. Może chce ulokować pieniądze na Rudawce? Bardzo często się zdarza, że ciotki miewają sumy i że lokują je na hypotekach siostrzeńców. Gdyby Mordka wiedział co ciotka myśli, stosownie do tego upracowałby odpowiedź na jej zapytanie. Ile dziedzic ma długów? Naturalnie sam tego nie wie, ale Mordko wie doskonale, jeden Mordko. Potrafi on z pamięci poddyktować listę wierzycieli, a w ogólnej sumie może się omylić o rubla, co najwyżej o dwa.

Niech wreszcie o trzy, ale większej omyłki stanowczo być nie może.

Do późnego wieczora siedział Mordko na kłodzie i rozmyślał nad tem, jaki interes ukrywa się pod płaszczem ciekawości pani Petroneli — oraz jak należy odpowiedzieć na jej zapytanie. Czy wymienić liczbę większą czy mniejszą, czy też rzeczywistą? Za-

gadka do rozwiązania nie łatwa. Mordko postanowił czekać, w mniemaniu, że wielki sprzymierzeniec ludzi cierpliwych i rozważnych, czas przyniesie radę dobrą i praktyczną.

Pan Bolesław ze swoim gościem podążył do Osin; bryczka toczyła się cicho po drodze piaszczystej, nie sprawiając turkotu, nie przeszkadzając rozmowie, która bywa nieraz doskonałym sposobem skracania odległości. Warszawiak z ciekawością rozglądał się po okolicy i uznawał, że jest piękna, chociaż naprawdę osobliwego w niej nic nie było: wieśniak znów słuchał ciekawie opowiadania o życiu warszawskiem, przedmiotu do rozmowy nie brakło.

Po dwóch godzinach jazdy, pan Bolesław rzekł do swego towarzysza:

— Zbliżamy się do celu, jesteście już na terytorjum Osin.

— Nie widzę zabudowań, odrzekł Aleksander.

— Wzgórze je zasłania, za parę minut ukażą się one naszym oczom. Nie spodziewaj się, że zobaczysz coś nadzwyczajnego: pałac lub stare zamczysko; w naszej okolicy nie ma takich zabytków starożytności. Zwyczajny dom, dość obszerny, ale nie wysoki, drewniany, pokryty gontami. — Przed nim

duży dziedziniec, za nim ogród, opodal zabudowania gospodarskie, jak to na wsi.

— A o ludziach nic mi nie powiesz?

To przecież najciekawsza i najważniejsza dla mnie informacja. Niech wlem w czyim domu będę, co mam o jego mieszkańcach myśleć.

— Masz dobrze myśleć, kochany Olesiu, skoro ja cię wiozę...

— Niewątpliwie, ale...

— A więc powiem ci w krótkości, pan Edward szlachcic swego chowu, jak to mówi, nie filozof i nie uczony, ale dobry gospodarz i ma tak zwany chłopski rozum. Zabiegły, oszczędny, ale nie skąpy, umie rachować i dzięki temu nie tylko nie męczy się w długach, jak inni, ale podobno ma trochę uskładanego grosza. W naszych stosunkach to fenomen. Pani Edwardowa, również dobra kobieta, dawniej miała trochę pańskich fumów, ale małżonek demokrata z zasady, jakoś ją z tego uleczył. Pan Leon, syn ich, niedawno skończył nauki i dopiero od roku jest w domu, pomaga ojcu w gospodarstwie, i z czasem obejmie Osiny na siebie, jeżeli nie zajdzie jaka nieprzewidziana okoliczność.

— A cóż by?

— No, może się ożenić i wejść w majątek żony. Dla czego nie. Chłopiec gładki, wykształcony, łatwo partalję znajdzie, zwa-

szcza w tej okolicy, u nas, gdzie wielka posucha na młodzież, jak utrzymują matki, mające córki na wydaniu. Pozostaje jeszcze panna Michalina.

— A.

-- O tej mógłbym mówić choćby przez cały dzień, ale dla tego właśnie powiem najkrócej.. Nie chcę, abyś mnie posądzał o przesadę: zobaczysz i przekonasz się. Ma lat dwadzieścia, może dwadzieścia dwa, dokładnie nie wiem, wzrost dość wysoki, figurkę prześliczną, twarz o rysach drobnych i nader regularnych. Jest szatynka i oczy ma niebieskie, usta małe, jakby z koralu wyrzniete.

— Mówisz jak zakochany.

— Wprost przeciwnie: mówię jak najobojętniejszy obserwator, ważę każdy wyraz, żebyś mnie nie posądził o przesadę. Temperament wesoły, humor prawie zawsze pogodny, prostota, naturalność i najzacniejsza dusza—oto wszystko. Za dziesięć minut będziesz mógł się przekonać, że tak jest, będziesz mógł się przekonać w drobnej części.

— Więc jesteś zakochany.

— Nie wiem, nie wiem. Boję się przyznawać do tego nawet przed sobą samym, a jednak. Wiesz, Olesiu, koniecznie ożenić się pragnę, lecz jeżeli panna Michalina odrzuci moją rękę, to...

— Może wstąpisz do trapistów?

— Nie, ale nie ożenię się wcale.

— No, no.

— Zapewniam cię, że tak będzie; chociaż co to za powtórne życie bez żony? Ale otóż jesteśmy u celu, tylko przez tę aleję przejechać i znajdziemy się na dziedzińcu.

Przed domem stało kilka bryczek, wszystkie okna były jasno oświetlone. Usłyszawszy turkot kół i ujadanie psów uprzejmy gospodarz wybiegł na ganek i serdecznie pana Bolesława powitał. Warszawskiego gościa zaraz bez ceremonii wziął pod rękę i wprowadził do salonu, gdzie znajdowało się wraz z domowemi ze dwanaście osób, kilku sąsiadów, proboszcz, kilka dam poważniejszych i panien. Stolik do gry rozłożony oczekiwał, zapaleni winciarze pochwycili warszawiaka do swojego grona, pan Bolesław zaś tak zręcznie manewrował, że się od kart wywinął i zaraz też przyłączył się do towarzystwa dam, dokładając starań aby znaleźć się najbliżej panny Michaliny. Nie było to jednak łatwo, młoda osoba bowiem pomagała matce w przyjmowaniu gości, z tego powodu nie mogła się ciągle znajdować w salonie i wybiegała zaraz, aby dojrzeć porządku i wydawać służbie dyspozycye.

Zdawało się panu Bolesławowi, że jest młodym chłopcem i goni pięknego motyla. Otóż motyl usiadł, chłopiec zbliżył się do

niego, już jest blisko, tymczasem ledwie dostrzegalny znak z kanapy, jakieś wejście, ruch głowy i motyl zrywa się i znika z przed zachwyconego wzroku chłopca.

Zdarzyło się kilkakrotnie, że pan Boleśław znalazł się chwilowo obok panny Michaliny, z którą tak pragnął dłużej porozmawiać, której tak wiele miał do powiedzenia, znalazł się i oprócz kilku banalnych frazesów nie wypowiedział nic więcej. Nie udawało mu się, nie wiodło, może dla tego, że chciał myśl swoją odziać w piękną szatę poetycznych słów, może dla tego, że chciał właściwą treść poprzedzić pewnego rodzaju przedmową, która usposobiła by przychylnie uroczą słuchaczkę, może wreszcie z tego powodu, że się bał. Faktycznie bał się, jak żak wywołany do lekcyi, a nie umiejący jej dobrze. Bał się i nie mógł zdać sobie sprawy, z kąd ta obawa pochodzi. Niegdyś przecie w towarzystwie kobiet czuł się zupełnie swobodnym, teraz w obec panny Michaliny jest tak skrępowany i nieśmiały, że trzech zliczyć nie umie. Zastanawiając się nad tym objawem, posmutniał i stracił humor, na zapytania odpowiadał półsłówkami, w ogólnej rozmowie prawie że nie przyjmował udziału. Czuł, że w takiej chwili przydałaby mu się bardzo pomoc przyjaciela, ten jednak uwięziony

był przy wincie w sąsiednim pokoju, skąd dolatywały coraz głośnie wybuchy śmiechu. Partya była co się zwie wesoła, a prowincyonalisci tryumfowali nad warszawiakiem, grywającym przecież stale w resursie. Z początku resursowicz przejmował ich pewną obawą, sądzili bowiem, że gracz z wielkiego miasta, członek takiej najwyższej instytucji karcianej, jak resursa, zawstydzi ich i pokona, tymczasem stało się wprost przeciwnie, warszawiakowi karta nie szła, zrobił kilka omyłek i został pobity sromotnie. Czterej Dawidowie zwyciężyli Goljata i ztąd była przy zielonym stoliku ogólna wesołość, bo nawet i sam Goljat przyjmował w niej udział, będąc pewnym, że w następnej utarczce on znowu tryumfować będzie.

— Jednak — mówił gospodarz domu, — w naszym kącie deskami zabitym tak źle nie jest... grać umiemy.

— Wybornie — rzekł pan Aleksander, — przyznaję, że nie spodziewałem się znaleźć tak znakomitych partnerów.

— Moglibyśmy grywać w waszej resursie, co? zapytał otyły jegomość, najbliższy sąsiad Osin, ojciec dwóch przystojnych pańienek.

— Z największym powodzeniem, odrzekł pan Aleksander.

— No, a przecież tam są gracze!

— Są, szanowny panie, tacy, dla których wint jest jednym i jedynym zatrudnieniem

— Nie może być! Nie rozumiem! Jakto? nic więcej nie robią, tylko po całych dniach w karty grają?

— Po całych dniach nie, ale po całych nocach.

— Bałbym się takiego, rzekł pan Edward.

— Niech pan dobrodziej nie sądzi, że mówię o szulerach, grywających podstępnie, nie grywanoby przecież z takimi. Ci, o których mówię, są bardzo przyzwoici ludzie.

— Jakto, panie dobrodzieju, przyzwoici, jeżeli po całych nocach w karty grają, — wtrącił gruby jegomość, — za moich młodych lat za taką przyzwoitość na kobiercu płacono.

— Dziś to już wyszło z mody i ze zwyczaju.

— Szkoda, przydałoby się nieraz.

— Tym panom, o których wspominałem, rzekł pan Aleksander, nie. Spokojni to ludzie, nie mając nic innego do roboty, uprawiają grę w karty i przyznać trzeba, że traktują tę specjalność nader poważnie i systematycznie. Do klubu chodzą, jak do biura i przepędzają tam czas od dziewiątej do trzeciej.

— Ależ taki człowiek, panie dobrodzieju, nie widuje słońca.

— Rzeczywiście w zimie miewa tę przyjemność bardzo rzadko, ale mogą panowie wyobrazić sobie do jakiej wprawy w swej specjalności dochodzi.

— Spodziewam się,

— I dużo tam macie takich specjalistów w Warszawie?

— Jest kilku.

— Nie zazdroszczę, panie dobrodzieju, nie zazdroszczę, odezwał się gruby jego-
mość, grać lubię, czasem zasiedzę się przy stoliku do późna, ale żebym miał wszystkie noce w taki sposób przepędzać, kłaniam uniżenie. Człowiek powinien żyć jak człowiek; w dzień krzątać się i pracować, w nocy spać; tylko sowy i nietoperze urządzają się inaczej. Ja, panie dobrodzieju, posiadam niedaleko ztąd folwark. Nie wiem czy pan masz pojęcie jaka to jest rozkosz.

— Owszem, od kilku dni jestem gościem pana Bolesława w Rudawce, a życie wiejskie bardzo mi się podoba...

— To dowodzi, że kochany pan Bolesław pokazuje panu jedynie piękne strony sielanki, ukrywając starannie to, co może od niej odstraszać.

— O ile mogę sądzić, jest on ze mną dość szczerzy.

— Każdy ma swój system, panie dobrodzie-

ju, a że ja jestem także szczery, więc wytłómaczę panu w krótkości, co to jest folwark. Otóż jest to, szanowny panie, maszyna do psucia nerwów i wyrabiania w człowieku sześć razy większej ilości żółci nad tę jaką ustanowiła natura. Folwark istnieje na to, aby jego właściciel dwa razy prędzej, aniżeli człowiek normalny siwiał, łysiał, doczekał się powiększenia wątroby i wpadał w żółtaczkę. To jest, panie dobrodzieju, folwark.

— Ślicznie sąsiad nasze położenie malujesz, nie ma co mówić.

— Maluję prawdziwie i gdybym był Lucyperem i wymierzał kary moim wierzyicielom, którzy bez wątpienia dostaną się po najdłuższem życiu do piekła, tobym, panie dobrodzieju, takiego naprzykład Abrama do gorącej smoły nie wsadzał, ale kupiłbym mu folwark i niechby się ujadał z kochanymi żydkami, ze służbą, ze szkodnikami, niechby poznał smak suszy lub długotrwałych deszczów, niechby spróbował.

— Biedny Abram.

— Na szczęście dla niego władzy takiej nie posiadam, a że Lucypera on przekupi lub oszuka, to jestem pewny. Otóż uważa pan dobrodziej, aczkolwiek posiadanie folwarku jest tak rozkosznem, jak rzekłem,

wolę jednak nasze biedne kłopotliwe życie, aniżeli życie owych nocnych Marków i nie pomieniałbym się, choćby mi grubo dopłacano.

— Słusznie, rzekł pan Edward, tem bardziej, że ostatecznie i na tym tak czarno przez sąsiada odmalowanym folwarku wytrzymać można.

— Jak komu.

— Przecież sąsiad wytrzymujesz i jakoś zdrowie służy.

— A cóż pan chcesz, żeby mnie odrazu zjedli?! Niedoczekanie. Od tego człowiek jest, żeby się trzymał i żeby się nie dawał.

Kolacyja zgromadziła całe towarzystwo przy wspólnym stole i rozmowa stała się ogólną.

Pan Bolesław tego wieczoru stanowczo nie miał szczęścia, usiłował zająć miejsce przy panie Michalinie, ale tak się jakoś złożyło, że z jednej strony usiadł przy niej pan Aleksander, z drugiej zaś ów gruby szlachcic, żalujący, że nie jest Lucyperem i że nie ma w piekielnym referacie sekcji żydowskiej. Pana Bolesława ulokowano, między małżonką owego szlachcica i jego córeczką, ładną szesnastoletnią blondynką, bardzo nieśmiałą i rumieniącą się ciągle.

Po kolacyi była chwila, w której właściciel Rudawki znalazł się nareszcie obok swe-

go ideału i miał sposobność zawiązania rozmowy. Już ją nawet rozpoczął, już wybrnął szczęśliwie ze wstępu, mającego bardzo bliżki związek z pogodą ubiegłego tygodnia, już ułożył w myśli frazes, w którym miała być lekka, przezroczysta aluzya do budzącego się w sercu uczucia, gdy wtem znów ów szlachcic gruby na cały głos perorować zaczął na temat późnej godziny, konieczności udania się na spoczynek, o potrzebie nabrania sił do walki z lenistwem parobków i przebiegłością żydowską. Na to hasło powstali wszyscy, gospodarz z małżonką swą dowodził, że jest jeszcze bardzo wczesnie, że zegary się spieszą, lecz były to argumenta czysto formalne i nie przekonujące. Goście mieli się ku wyjściu, a przed ganek podjeżdżały z turkotem bryczki i wolanty.

Oczywiście panna Michalina nie mogła prowadzić dalszej z panem Bolesławem rozmowy, lecz pobiegła pomódz ubierać się panielkom; ucałować wszystkie buziaczki blade, zarumienione, wesole i zaspane, musiała zapraszać bardzo czule i być zapraszaną, jednym słowem musiała przyjmować nader czynny udział w tym miłym jarmarku, jaki się tworzy zawsze, przy przywitaniu i przy pożegnaniu panińskim. Jak post scriptum w liście tak niezbędne są różne dodatkowe,

a bardzo ważne zwierzenia podczas pożegnania i po niem. Ztąd wynika, że chwila rozstania przedłuża się i trwa pół godziny, godzinę, jak czasem. Po ostatecznym pocałunku jeszcze słówko, po słówku jeszcze dwa pocałunki, po tem nadzwyczaj ważna wiadomość, znowuż piętnaście pocałunków i nadzwyczajny sekret, zapieczętowany niezliczoną ilością pocałunków.

— Ów gruby szlachcic, człowiek w gruncie rzeczy niezły, ale w dowcipie ciężki i trywialny, dowodził nieraz, że reumatyzm i krzywienie się nóg u koni głównie z powodu owych czułości damskich przy pożegnaniu się powstają. Może ma słuszość, może nie, ale w każdym razie, źle robi, że podobne herezye głośno wypowiada i co gorsza powołuje się na świadectwo weterynarza powiatowego.

Nareszcie panie pożegnały się na prawdę, a panna Michalina miała zaledwie tyle czasu, aby podać rękę panu Bolesławowi i gościowi jego i poprosić ich obu, aby drogi do Osin nie zapomnieli.

Przyjaciele siedli na bryczkę. Maciek machnął biczem i konie zniecierpliwione długiem czekaniem ruszyły z kopyta.

— No i cóż, zapytał Bolesław, gdy już byli na drodze dość daleko od folwarku, jakże ci się podobało?

— Owszem, ten grubas jest paradny...

— Ach, cóż on mnie obchodzi, ja przede wszystkim chcę wiedzieć, czy podobała ci się panna?

— Tak sobie.

— Cóż to jest tak sobie, to ma znaczyć że brzydka.

— Nie, owszem przystojna jest nawet.

— Tylko przystojna; sądziłem, że powiesz piękna, urocza.

— To rzecz gustu.

— Według mego zdania, ładniejszej na świecie nie ma, jest to piękność skończona.

— Przesada, panienska jak tysiąc innych.

— Więc któraż była ładniejsza? Czy ta mała Zosia, rumieniąca się ciągle, czy może panna Walerja, przypominająca śmierć angielską, czy przysadzista i krępa panna Malwina?

— Na bezrybiu.

— A człowieku, dajże pokój.

— Dla czegoż każesz mi się koniecznie zachwycać twoim ideałem?

— Bo wart tego.

— A jakże twoje papiery, Bolesławie, dobrze?

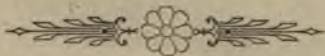
— Pod jakim względem?

— No, z panną.

— To się fatalnie składało, że nie miałem sposobności z nią rozmawiać, ale to nic, pojedziemy za kilka dni.

— Znowuż?

— Ma się rozumieć... trzeba przecież zacząć, to najważniejszy punkt programu mego powtórnego życia.





VI.

Pan Bolesław nie zaniedbywał swoich obowiązków gospodarskich, wstawał bardzo wczesnie, w folwarku bywał kilka razy dziennie, do robotników w pole zaglądał, finansistów w sąsiednim miasteczku odwiedzał, a przytem umiał znaleźć jeszcze tyle czasu, aby gościa swego rozmową bawić lub na wizyty w sąsiedztwo go wozić.

Warszawiak, aczkolwiek postanowił przez cały czas pobytu na wsi wstawać równo ze słońcem i podziwiać piękność budzącej się ze snu przyrody, dłużej nad dwa dni w zamiarze nie mógł wytrwać, powietrze go upajało, sypiał więc do godziny dziewiątej lub dziesiątej. Właściciel Rudawski bardzo był z tego kontent, mógł bowiem swobodnie oddawać się swoim zajęciom przez cały ranek, a zajęć tych było nie mało. Największy kłopot sprawiały sprawy finansowe, ciągnęła potrzeba gotowizny na różne wydatki,

wypłatę robotnikom, kompletowanie inwentarza, na rozmaite drobiazgi.

Kulbacki, opuszczając posadę swoją w Rudawce, przepowiadał, że dziedzica nieraz dobrze głowa rozboli, w rzeczy samej sprawdziło się to proroctwo; pan Bolesław częstokroć, zwłaszcza gby był sam i nikt na niego nie patrzył, chwycił się za głowę obiema rękami.

Wyprawy do finansistów odbywały się dość często. W takich wypadkach Mordko Butterglanc wyjeżdżał z domu rano, przybywał do miasteczka koło południa, szedł na rynek i rozpoczynał «gadanie».

Była to czyność bardzo głośna i ożywiona, a przyjmowali w niej udział najwybitniejsi bogacze miasteczkowi. Gadanie trwało do wieczora i trzeba Mordce przyznać, że przez ten czas zrobił, co mógł, a że zrobił nie wiele, to już nie jego wina. Czasy są brzydkie, stagnacya, kupcy nie mają upodobania do produktów rolniczych.

Zrobiwszy co się dało, przygotowawszy transakcyę Mordko nie wracał do domu, lecz nocował w miasteczku i na drugi dzień oczekiwał pana Bolesława. Jakoż już koło siódmej rano spieniony kasztan dudnił kopytami po nierównym bruku miasteczka. Pan Bolesław w przeciągu kwadransa kończył dzieło tak pracowicie przygotowane przez

Mordkę, co miał podpisać to podpisał, co wziąć, to wziął i nie dawszy nawet dobrze wytchnąć koniowi, wskakiwał na siodło i galopem pędził ku Rudawce.

Finansiści kręcili na to głowami i przybył im nowy temat do długich i bardzo zajmujących dysput, nowe spostrzeżenie, nad którym warto się zastanowić. Szlachcic nie mający czasu! Dotychczas taki okaz nie istniał, teraz zaczyna wchodzić w modę i może mieć wcale niepożądane następstwa. Ludzie obdarzeni bystrym wzrokiem i zdolnością konbinowania potrafią z takiego objawu snuć bardzo ciekawe przypuszczenia i wnioski.

Snuli też, a pan Bolesław przynaglał konia do biegu, spieszył się, żeby być co prędzej w Rudawce, zajrzeć do robotników, wydać dyspozycje i zająć się gościem.

W taki sposób schodził dzień za dniem, folwark, gość, znów folwark, znów gość, ale folwark wymagał bardzo wczesnego wstawania, a gościowi trzeba było asystować do późnej nocy, ztąd też pan Bolesław czuł się fatalnie zmęczonym. Rano ledwie mógł się podnieść z łóżka, wieczorem czynił nadludzkie wysiłki, aby dotrzymać towarzystwa koledze i nie zasnąć na krześle. Nie dawał się jednak, nie chciał się przyznać, że w samym początku powtórnego życia już czuje takie zmęczenie i brak sił. Nie wątpił, że to

jest chwilowe i że po krótkim wypoczynku przejdzie. Jednak odbijało się ono na jego twarzy; oczy podkrążone miał, cerę bladą, na skroniach rysowały się zmarszczki.

Nie uszło to uwagi ciotki Petroneli, która miała wzrok bardzo bystry. Jednego dnia rzekła do niego:

— Słuchaj-no, Bolciu, ty jesteś bardzo mizerny.

— Zdaje się cioteczce.

— Wyglądasz tak, jak gdyby cię kto w occie wymoczył, tobie coś jest.

— Zapewniam ciocię, że nic mi nie dolega.

Pani Petronela wzięła siostrzeńca za rękę, zaprowadziła do okna i postawiła tak, że światło padało mu wprost na twarz. Popatrzwszy na niego przez chwilę, rzekła stanowczym głosem.

— Jesteś chory.

— Ale...

— Ja się na tem znam lepiej niż ty, muszę cię ratować. To mój obowiązek. Nie powiedzą ludzie, żem cię zostawiła bez opieki i pomocy. I ty zresztą wiedz o tem, że na to ciotka jest ciotką, żeby była ciotką, to znaczy, żeby strzegła od nieszczęść lekkomyślnych siostrzeńców. Nie pozwolę zwłóczyć ani jednej chwili...—Pójdiesz zaraz do łóżka, napijesz się ziółek, na obiad dosta-

niesz filiżankę mocnego rosolu i poczekamy do jutra, jeżeli nie będzie lepiej, pošę po Wiśniewskiego.

— Na co moja ciotku, na co, kiedy ja jestem zupełnie zdrów, nic mnie nie boli... czuję się tylko trochę zmęczonym..

— Bagatela! Wszystkie choroby od tego się zaczynają. Nikt nie dostaje odrazu tyfusu, zapalenia płuc lub zapalenia mózgu, tylko na-przód czuje się trochę zmęczonym, później boli go głowa, ma gorączkę, jest mu gorzej, jeszcze gorzej, no i następne albo powraca do zdrowia, albo umiera. Sto razy w życiu patrzyłam własnymi oczami na takie historye.

Pan Bolestaw jeszcze probował się bro-nić ale to niewiele pomogło, ciotka bowiem znalazła gorliwego sprzymierzeńca w osobie pana Aleksandra, który popierał jej zdanie z całą siłą argumentacyi.

— Ani myśl sprzeciwiać się, mówił, pani dobrodziejka radzi ci nie jak ciotka, ale jak matka. Przypomnij sobie że niedawno cho-rowałeś ciężko i że masz zapowiedziane, że-byś się oszczędzał.

— No widzisz, dodała ciotka, masz zapo-wiedziane, a przez kogo? Oczywiście przez lekarzy i nie byle jakich, ale warszawskich. Tembardziej powinienes się słuchać i jeżeli życzysz mi dobrze, to za pół godziny bę-dziesz w łóżku.

— No dobrze, ale w cóż się obróćą nasze dzisiejsze zamiary. W Osinach czekać nas będą.

— To trudno, choroba jest siła wyższa; nie pojedziesz, boś chory, ja nie pojedę, ponieważ muszę czuwać nad tobą, ale pan Aleksander może jechać i naszą nieobecność usprawiedliwić. Wszak pojedzie pan, panie Aleksandrze?

— Jeżeli pani uważa.

— Ależ naturalnie. Rozerwie się pan trochę. Bolesć prawdopodobnie uśnie, ja zasiądę w zielonym pokoju z robotką, żeby być na każde zawołanie chorego.

— Na miłość Boską! odezwał się Bolesław, niechże mnie ciocia chorym nie nazywa.

— No już nie będę, skoro takie twoje życzenie, tylko kładź się już, kładź, bo w takich wypadkach każda godzina ma swoje znaczenie.

Pan Bolesław bardzo był zadowolony z takiego obrotu rzeczy i liczył na to, że wyśpi się za wszystkie czasy, wypocznie, a nazajutrz zdrów, rzeźki i silny wróci do przerwanych zajęć, żal mu było tylko straconej wizyty w Osinach, ale i to przecież jest do powetowania. Zresztą urlop pana Aleksandra kończy się za tydzień, z chwilą wyjazdu gościa będzie więcej swobody i czasu. Wówczas też zaczną się właściwe konkury—a po-

tem, krok stanowczy, oświadczyły, ślub, życie szczęśliwe co się zowie, pełne, mające cel określony, nie takie jak obecne, co to niewiadomo dla kogo i poco.

W najpiękniejszych marzeniach pan Bolesław usnął. Zmęczony organizm oddawna domagał się tego pokrzepienia i spoczynku, to też sen trwał długo od południa do północy prawie.

Kiedy się pan Bolesław obudził, na razie nie mógł zmiarkować gdzie się znajduje, dopiero promień światła z sąsiedniego pokoju i urywane wyrazy rozmowy przypomniały mu, że jest u siebie, mógł się też domyśleć, że pan Aleksander wrócił tylko co z Osin i że zdaje ciotce relacje z tej wizyty.

— Więc z obcych nikogo więcej nie było oprócz pana? pytała ciotka.

— Nikogo.

— To szczególne.

— Tak się jakoś złożyło; był ktoś zaproszony, lecz przyjechać nie mógł, ale ja tego nie żałuję, bawiłem się doskonale, panna Michalina była w wybornym humorze.

— Biedny Boles, rzekła ciotka z westchnieniem.

— A to dla czego?

— On chory, ona się śmieje. I ten człowiek ludzi się jeszcze.

— Czy życie daje co przyjemniejszego nad złudzenia.

— A przepraszam pana: daje ono niekiedy rzeczywistość.

— Jakże się ma Bolesław?

— Śpi, ciągle śpi, wyobraź pan sobie, że do tej pory jeszcze się nie obudził. To w istocie szczególne.

— Przeciwnie, to bardzo naturalne; on jest niezmiernie zmęczony. Nadużywa swoich sił. Harcuje na koniu, chodzi po polach, wstaje wczesnie, kładzie się późno. Czy człowiek w jego latach i przy jego zdrowiu może to wytrzymać? Właśnie pragnąłem zwrócić na to uwagę szanownej pani.

— Zapewne, ale on mówi, że jest bardzo silny i zdrow.

— Zdaje mu się tylko.

— Zacznę ja go obserwować. Niechno mu pan jeszcze co powie o Osinach.

— Bardzo miły dom; ale na jakiś czas zostanie pani pozbawiona tego sąsiedztwa.

— Cóż znowu?

— Pani Edwardowa z panną Michaliną wyjeżdżają na czas dłuższy.

— To im się często zdarza, bawią niekiedy w Warszawie po tygodniu i dłużej. Są to ludzie zamożni, stać ich na takie wycieczki.

— Tym razem wybierają się na dłużej.

— Dokąd?

— Trochę za granicę dla poratowania zdrowia.

— A któż tam chory?

— Podobno pani. Mówiono, słuchałem, nie dopytując o szczegóły. Tyle jednak wiem, że po odbyciu kuracyi te panie mają zamiar kilka miesięcy, a może nawet całą zimę przepędzić w Warszawie, proszono mnie nawet, abym upatrzył dla nich mieszkanie, co też ma się rozumieć przyrzekłem.

— Nic a nic tego nie rozumiem.

Pan Bolesław bardzo pilnie słuchał tej rozmowy, usiadł na łóżku i wyteżał słuch, aby nie stracić ani jednego wyrazu.

Po krótkiej chwili milczenia pani Petronela odezwała się:

— Zaciekawileś mnie pan niewymownie. Zkąd się to wszystko wzięło i dokąd prowadzi? Nic się nie dzieje bez powodu, a szczególnie w takim domu, gdzie pomimo zamożności z pieniędzmi się liczą i wydawać napróżno nie lubią. O w tem coś jest.

— Pani Edwardowa niedomaga.

-- Smiej się pan z tego, zdrowa jest najzupełniej.

— Może pannie Michalinie przykrzy się na wsi.

— Może, ale wątpię, czy to skłoniłoby

pana Edwarda do rozwiązania worka. Jest to człowiek bardzo oszczędny, jak powiedziałam, nie lubi pieniędzy wydawać. Nie będę mogła spać tej nocy.

— Dla czego?

— A no ta zagadka zasnąć mi nie pozwoli. Jutro, lub pojutrze pojedę do Osin i rzecz zbadam. Właściwa przyczyna nie ukryje się przed mojem okiem. Jedno słówko wystarczy, a po owem słówku, jak po nitce dojdzie się już z łatwością do kłębka... Proszę pana, jeszcze jedno pytanie.

— Słucham.

— Jaką też minę miał pan Edward?

— Mało go znam i nie wiem jaką miewa za zwyczaj.

— Jest dość wesołego usposobienia.

— Jeżeli tak, to miał minę zwykłą; śmiał się, opowiadał różne zabawne zdarzenia, w ogóle był w humorze dobrym.

— To szczególne. W obec znacznego wydatku, na owe zamierzone podróże... Biedny Bolesław widocznie wcale go w rachubę nie biorą.

— I mnie się tak zdaje.

— Czy panna zapytywała o niego?

— Tak, ale nie zauważyłem szczególnego zainteresowania się; sądzę, że Bolesław nie ma widoków powodzenia i że lepiej by

zrobił, gdyby przestał myśleć o pannie Michalinie.

Dziedzic z Rudawki miał wielką ochotę wyskoczyć z łóżka i krzyknąć wielkim głosem: nie przestanę, ale zapanował nad sobą i postanowił wysłuchać cierpliwie rozmowy aż do końca.

Nie przyniosła mu ona już nic ciekawego, nic coby go zainteresować mogło. Po chwili pan Aleksander powiedział ciotce dobranoc i wyszedł do swego pokoju.

Pani Petronela uchyliła drzwi.

— Bolciu, zapytała, czy spisz?

Udał śpiącego, chciał pozostać sam ze swemi smutnymi myślami.

Jeszcze przed wschodem słońca wstał i ubierać się zaczął. Zdawało mu się, że po śnie tak długim i pokrzepiającym, wstanie zupełnie zdrow i rzeźki, że ze zdwojoną energią będzie mógł pracować i dążyć do celu — tymczasem przeciwnie. Czuł szczególną jakąś ociężałość i rozłamanie w całym ciele, nawet myślał z trudnością. Przypomniała mu się rozmowa, której przed kilkoma godzinami był mimowolnym słuchaczem; na razie nie mógł sobie zdać sprawy czy odbywała się ona w rzeczywistości, czy też w jego sennem widzeniu.

Dzban wody wylał sobie na głowę i to go orzeźwiło, przypomniały mu się wszystkie

szczegóły dokładnie. Drzwi były uchylone, pas światła rysował się na posadzce, na ścianie i na suficie, zegar wybił dwunastą, a później kwadrans i znów dwa kwadransy. Ciotka siedziała przy stole, na fotelu, gdzie siaduje zwykle, przez uchylone drzwi widział rąbek popielatej sukni: pan Aleksander zajmował miejsce po drugiej stronie stołu na wprost ciotki i rozmawiał z nią.—Tak to była rzeczywistość, a nie złudzenie, to była prawda.

Piękny gmach marzeń zawalił się i rozpadł w gruzy, słodkie złudzenia zostały rozwiane, niby mgła pod silnem tchnieniem wiatru, wszystko skończyło się i przepadło.

Pan Bolesław postanowił jeszcze przed południem być w Osinach: pojedzie, zamówi się o byle o co, wynajdzie jakikolwiek pozór, dajmy na to kupić kilka korcy nowej odmiany żyta, z którego słynie gospodarstwo pana Edwarda. Pojedzie, chociaż właściwie po co? A po co pogorzelec chodzi na zgłiszczą swego domostwa?

Pojedzie.

Wyszedł na folwark jeszcze wcześniej niż zwykle, posłał po Mordkę. Zaspany pachciarz przywłókł się, przecierając oczy.

— Doczekać się ciebie nie mogę, rzekł pan Bolesław z niechęcią.

— Za przeproszeniem pana dziedzica, od-

rzekł Mordko, ja też potrzebuję cokolwiek spać, chociaż czasem.

— Tak długo?

— Troszeczką dłużej niż zwyczajna, nie przymierzając kura. Wczoraj przed samym północkiem przyjechałem do domu, a za nim usnąłem zeszło ze dwie godziny. Słyszałem jak Michał przywiózł tego warszawskiego pana, jak odjeżdżał do stajni; widziałem, że we dworze świeci się bardzo długo. Teraz niech pan sam zmiarkuje, co moje spanie warto?

— A dokąd Mordko jeździł wczoraj?

— Byłem w Osinach. Z tamtejszym pachciarzem miewam czasem różne drobne interesa do wspólki. Wiadomo panu, że w naszym biednym stanie, ztąd się trochę złapie, ztąd trochę, aby żyć.

— Cóż tam słyhać?

— Gdzie?

— W Osinach.

— Urodzaj mają bardzo ładny. I na dworskiem i na chłopskich polach zboże śliczne, bez żadnego feleru. Dawno nie widzieliśmy takiego zboża.

— A cóż we dworze?

— Albo ja wiem.

— Przecież.

— Gadanie różne jest, ale czy w tem

prawda, to chyba wielmożny pan lepiej może wiedzieć niż ja.

— Jakto?

— Podobno ten pan z Warszawy, ten warszawski kawaler, co u wielmożnego pana w gościnie jest, ten elegancki pan, ten...

— No, więc cóż ten pan?

— Podobno ma ochotę żenić się w Osinach.

Pan Bolesław rzucił się jak oparzony.

— Idź do dyabła, zawołał.

— Owszem, odrzekł flegmatycznie Mordko, ja pójdę, tylko wpierw chciałbym wiedzieć, po co ja byłem budzony tak wcześnie i dla czego wielmożny pan kazał mi tu przyjść?

— Tak, to prawda, masz słuszość. Uniosłem się niepotrzebnie, ale bo też czasem pleciesz takie głupstwa, że słuchać nie można.

— Wielmożny panie, w tem jest omyłka, w tem są dwie omyłki. Najprzód ja wcale nie plotę, tylko na pańskie żądanie, powtarzam co ludzie gadają, a po drugie, jeżeli się kto żeni, to nie robi głupstwa. Zresztą proszę pana dziedzica, co mnie do tego? Chce się jaki pan żenić, niech się żeni, nie chce, niech się nie żeni—ja mam dosyć myślenia o tem, żebym dwie moje córeczki prędko zamaż wydał i żebym posag dla nich

miał. Jaki pan dziedzic miał do mnie interes?

— Słuchaj-no Mordko, puść ty się w świat.

— Oj, oj—ja do tego zwyczajny, mogę się puścić choćby zaraz.

— Musimy sprzedać trochę zboża, nawet dużo zboża.

— A pan dziedzic zawsze z tem zbożem. Pan mnie daje najtrudniejsze interesa do roboty. Na co panu potrzeba sprzedawać dużo zboża?

— Potrzeba.

— Zapewne pan chce znów wyjechać z domu?

— I to być może.

— Ja się dziwię. Czy panu dziedzicowi tu źle? Teraz, bez Kulbackiego ma pan dziedzic oszczędność, lepsze gospodarstwo, lepszy dochód, to znowuż potrzebny będzie Kulbacki.

— Swoją drogą, puść się w świat i myśl o tem, co ci mówiłem.

— No, no, ja już jestem puszczoney, za parę godzin będę za mostem, a w południe!—gdzie ja będę w południe!? Co mi do tego? Chce pan dziedzic tak, niech będzie tak, inaczej—niech będzie inaczej; ja na każdy sposób dogodzę, tylko proszę pana dziedzica.

— Cóż chcesz?

— Mój koń teraz wcale siły nie ma, on żyje samą trawą, ma smak, ale mało pożytku.

— Czuję, że jedziesz do owsa.

— Jakby pan dziedzic przy tem był: ja idę do owsa, a od owsa w świat Mam sprzedać dużo, muszę jeździć dużo, mój koń potrzebuje mieć siłę.

— No dobrze, dostaniesz korzec owsa, ale jestem pewny, że twój koń nie będzie go widział.

— I to może być; w stajni ciemno jest, tylko u bardzo wielkich panów bywają stajnie z oknami.

O godzinie dziewiątej bryczka stała przed gankiem, pan Bolesław przywdział strój wizytowy, już włożył palto i zapinał rękawiczki, gdy ciotka do pokoju wbiegła.

— Wyjeżdżasz, jak widzę!

— Tak, ale przede wszystkim «dzień dobry».

— Byłbyś jednak nie powiedział, gdyby nie to, żem tu weszła.

— Sądziłem, że ciocia jeszcze spoczywa.

— O dziewiątej! Za kogoż ty mnie masz? Jestem przecież gospodynią domu.

— Sądziłem.

— Nie lubię, gdy kto sądzi bez sensu. Zawsze wstawiałam wcześniej i za stara już

jestem, żeby zmieniać tryb życia, ale przede wszystkim jak twoje zdrowie, jak się masz?

— Dobrze.

— Mizerny jesteś, blady, nie wiem, czy dobrze robisz, że wyjeżdżasz.

— Trzeba ciociu.

— I dokąd to, jeżeli wolno zapytać.

— Do miasta, interesa mam.

— I tak wystroiłeś się do Berka, czy do Abrama?

— U doktora będę.

— U doktora?

— Tak; nie zaszkodzi, jeżeli się poradzę.

— Bardzo dobrze, ale to nie tłumaczy twego kostiumu.

— Nie ma co tłumaczyć, wziąłem pierwszy lepszy, jaki mi się pod rękę nawinął, bez myśli.

— To źle, że bez myśli, wszystko powinno się robić z myślą.

— Prawda, ciociu, ale już się przebierać nie będę. Do widzenia.

— Z obiadem czekać będziemy.

— Nie trzeba, nie wiem kiedy wrócę.

— Ta odpowiedź nie podobała się pani Petroneli. Energiczna dama miała szczerą chęć wypowiedzieć siostrzeńcowi stosowną do okoliczności naukę, ale zanim zdążyła

wymówić pierwsze zdanie, pan Bolesław był już na bryczce.

Konie rażno ruszyły z miejsca, bryczka toczyła się szybko po drodze, dziedzic Rudawki zapalił cygaro i puścił wodze myślom.

Dwie godziny drogi miał przed sobą, za dwie godziny dowie się o wszystkim, sprawdzi to, o czem się wypadkiem dowiedział, pozna szczerłość przyjaciela

Czyżby rzeczywiście? to przypuszczenie wydało się panu Bolesławowi niemożliwem, odrzucał je, odpychał, a jednak wracało ono uparcie, jak uprzykrzona mucha, jak chciwy komar i kłuło ostrem żądłem.

Konie biegły rażno, potrząsając łbami, pan Bolesław tonął w dumaniach, ogarniała go obawa, smutek i żal. On tak już sobie wszystko obmyślał, uplanował, ułożył, tak pewny był, że zamiary jego spełnią się bez trudności, że nic im na przeszkodzie nie stanie, a tu naraz wszystko się wali i rozpada. Dla czego jednak wszystko? Wszakże cały program powtórnego życia, taki ładny, tak dobrze ułożony, wykonać można ze zmianą jednej tylko osoby.

Otóż nie można. Do tej pory pan Bolesław nie zdawał sobie dokładnej sprawy ze stanu swych uczuć: lubił tę, którą chciał nazwać swą żoną, miał dla niej szacunek i sympatyę, ale teraz, gdy trudności się pię-

Powtórne życie.

7

trzą, gdy zamiar niemożliwym do wykonania się staje, przekonywa się, że był, że jest zakochany jak młodzieniec, że trudno mu, że niepodobna nawet pogodzić się z myślą, że panna Michalina nie dla niego.

O jedenastej spienione konie zatrzymały się przed gankiem Osińskiego dworku. Na powitanie gościa wyszedł sam gospodarz.

— Jak się masz, panie Bolesławie, zawołał, anim się spodziewał, że cię dzisiaj zobaczę, mówiono mi, żeś chory.

— Rzeczywiście, wczoraj byłem jakiś nie swój, musiałem się położyć — dziś to już przeszło i jak pan widzi, chodzę już i jeżdżę za interesami.

— Więc to interes do mnie pana sprowadza.

— Trochę. Chciałbym się zapomódz w owe sławne żyto Osińskie.

— Ślicznie robisz, bardzo dobrze. Przekonasz się, panie Bolesławie jakie będziesz miał plony. Nie chwając się, lepszej odmiany nie znam, na nasze grunta jest ona wyborna. No, bądź pan łaskaw dalej, pomówimy o życie i o nowinkach. Dobrze, że się wcześniej zgłaszasz, bo zamówień mam już sporo. Dobra rzecz sama się chwali.

Weszli do pokoju, usiedli, gospodarz poczęstował gościa cygarem.

— Z przyjemnością widzę, panie Bolesła-

wie, — rzekł — że się do pracy, do gospodarstwa na ostro zabierasz. Poprzednio zaniedbywałeś się nieco.

— Przyznaję.

— I to ci się chwali, tem bardziej, że jak słyszę gorliwie bierzesz się do rzeczy.

— Eh, cóż tam.

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Dobrze robisz. Trzeba tak, koniecznie tak. Minęły czasy, kiedy można było mieć pieniądze bez pracy, dziś każdy grosz musimy jak gdyby ze skały wykuwać.

— Podzielam to zdanie, a ponieważ radbym doprowadzić swe gospodarstwo do zupełnego porządku, więc, jeżeli pan pozwoli, w niektórych wątpliwościach zasięgać będę jego rady.

— Ależ i owszem. Przyjeżdżaj, kochany panie Bolesławie, pytaj, zawsze i szczerze poradzę ci o ile tylko moja umiejętność...

— Trzymam za słowo, ale obawiam się, że może nadużyję nieraz pańskiej dobroci, gdyż ja wątpliwości mam dużo.

— Niech cię to nic, a nic nie krępuje, zawsze byłeś mile w domu moim widziany, a teraz tem bardziej.

— Dla czego teraz?

— Gdyż za parę dni będę opuszczony, osierocony i zostanę sam jeden, jak kolek

w płocie. Czy pan Aleksander nic o tem nie wspominał?

— Nie widziałem go od wczorajszego południa, gdy wyjeżdżałem z domu, on jeszcze spał.

— Po warszawsku. Otóż dla tego czeka mnie samotność, ponieważ panie moje, to jest żona z córką, wyruszają na dłuższą wycieczkę za granicę, a potem do Warszawy, gdzie prawdopodobnie przepędzą całą zimę.

— Nie było tego w projekcie.

— Owszem, było oddawna, ale nie mówiliśmy nikomu przed czasem.

— Przepraszam za niedyskretne pytanie, ale jaki jest cel tej podróży?

Pan Edward rozśmiał się.

— Dobrodzieju, — rzekł, — jeżeli się kiedy ożenisz i będziesz miał córkę, to zrozumiesz. Tak, tak, nie dość wychować, wykształcić, wypieścić, nie dość zapracować na posag, ale trzeba jeszcze poszukać kogoś, żeby to ukochane dziecko razem z posagiem raczył zabrać. Taki to, kochany panie Bolesławie, jest los ojców, mających córki na wydaniu.

— Prawda, ale czyż trzeba aż...

— Wiem co chcesz powiedzieć. Chcesz powiedzieć, że pannę ładną, dobrą i posażną można i w swojej okolicy wydać za mąż i że nie trzeba szukać dla niej konkurenta

po świecie. Otóż jak w tym wypadku nie. Ja w okolicy naszej nie widzę ani jednego, literalnie ani jednego młodego człowieka, któremu mógłbym oddać rękę mej córki.

Pan Bolesław czuł, że mu się zimno robi, chciał protestować, chciał stanąć w obronie młodzieży, w obronie własnej, ale szlachcic do słowa przyjść mu nie dał.

— O tem, rzekł, nie ma co dysputować, obadwaj okolice naszą znamy doskonale, niepodobna więc żebyśmy mogli różnić się w zdaniu. Nieliczna młodzież jaka tu jest, nie może być brana w rachunek na seryo. Materyalnie biedacy, umysłowo stoją na dość niskim poziomie. Gospodarze to niby, albo kandydaci na gospodarzy, ale żaden fachu tego gruntownie nie zna. Wierz mi, kochany panie Bolesławie, że ja wysoko nie sięgam; nie zaimponuje mi nikt ani świetnością rodu, ani majątkiem, oddałbym córkę nawet zupełnie biednemu młodzieńcowi, gdybym w nim widział wykształcenie, prawy i silny charakter i doskonałą znajomość pracy, której poświęcić się zamierza. To warunki *sine qua non*. Pokaż mi dobrodzieju takiego, a wyjazd, który bądź co bądź pochłonie trochę pieniędzy, powstrzymam i owego młodzieńca chętnie w domu przyjmować będę.

W obec tak kategorycznie postawionej

kwesyt, pan Bolesław nie miał już nic do powiedzenia, znał doskonale ojca panny Michaliny i wiedział, że nie odstąpi on ani na jeden włos od swoich wymagań, postanowił przeto wizytę o ile możności skrócić i uciekać do domu, aby tam w spokoju i ciszy rozmyślać, czy może płakać nawet nad ruiną swych marzeń... ale łatwo to powiedzieć: skrócić wizytę i wyjechać z dworku szlacheckiego wtedy, kiedy się podoba, a nie wówczas gdy gospodarz puścić zechce.

Pan Edward, wypowiedziawszy pesymistyczne swe poglądy o młodzieży okolicznej, powrócił do żyta, a ten przedmiot czynił go bardzo wymownym. Opowiadał więc z werwą o różnych odmianach tej rośliny, o selekcyi, o półkach doświadczalnych, o uprawie roli, słowem na poczekaniu zaimprovizował przed gościem swym coś w rodzaju monografii tego ziarna, z którego mamy chleb.

Potem dano śniadanie, a przy stole ukazała się pani domu i panna Michalina.

Przedmiot rozmowy zmienił się, panie rozwijały projekta zamierzonej podróży, a panna Michalina była w wyśmienitym humorze.

Gdyby wiedziała, co się dzieje w duszy pana Bolesława.

Wspomniano kilkakrotnie o panu Aleksandrze, liczone na jego pomoc podczas po-

bytu w Warszawie, przy czem, panna Michalina wyraziła się o nim, że jest to człowiek nader przyjemny w towarzystwie, i że posiada wszelkie kwalifikacye na poczciwego wujaszka.

Usłyszawszy to pan Bolesław doznał pewnej ulgi.

Jest ujemna i mniej piękna strona ludzkiej natury, ale jest. Kto nie może celu osiągnąć, pociesza się myślą, że i współzawodnik jego również powodzenia nie ma.

Zatrzymany na obiad pan Bolesław został, został i na czarnej kawie, odbył z gospodarzem wycieczkę w pole, oglądał wszelkie znakomite odmiany zbóż, słuchał długich wykładów o uprawie roli, hodowli inwentarza, o nawozach naturalnych i sztucznych, o oszczędnem, a praktycznem stawianiu budynków, o pięćdziesięciu przedmiotach, mających z gospodarstwem mniejszy lub większy związek.

Chodził po polach jak automat, słuchał wywodów pana Edwarda, nie rozumiejąc ich prawie, nie wiedząc o co chodzi, pochłaniała go jedna jedyna myśl, że marzenia jego zostały rozwiane, że obróciły się w niwecz bez nadziei zmiany na lepsze.

Niechże ją przynajmniej zobaczę jeszcze raz, niech się napatrzę, niech obraz jej zostanie w pamięci mojej na zawsze.

Nie dał się długo zapraszać, został na wie-

czór i dopiero o pierwszej po północy opuścił Osiny.

Przy pożegnaniu, jak gdyby na ironję panna Michalina podała mu rączkę i życzyła, zdaje się nieobłudnie, aby znalazł sobie nareszcie dozogonną towarzyszkę życia, naturalnie osobę w średnim wieku, któraby oprócz urody i wdzięków posiadała także praktyczną znajomość życia. Mówiąc to figlarna dziewczyna uśmiechała się rozkosznie, ukazując ząbki białe i drobne jak perły...

.....

Pan Aleksander miał nazajutrz odjechać. Bolesław, nie widząc już w nim rywala, zwierzył mu się ze wszystkim; wypowiedział wszystko, co miał na sercu i to wyznanie przyniosło mu ulgę.

— Trudno, trudno, rzekł w końcu, najpiękniejszego marzenia muszę się wyrzec. Ona odjechała, może już jej więcej nie zobaczę nigdy. Stało się. Sądziłem, że powtórne życie moje rozpocznę w innych warunkach, że przyświecać mi będzie wspaniałe odmładzające słońce miłości, to słońce, które budzi ziemię z uśpienia i odziewa ją w kwiaty jak oblubienicę. Niestety, zniknęło ono dla mnie za chmurami ciężkimi, wymarzona wiosna będzie posępna i mglista. Trudno i tak się nieraz dzieje. Nie zrzekam się myśli mojej, będę prowadził dalej pow-

tórne życie, pożyteczniej, rozumniej, aniżeli tamto pierwsze, a może jeszcze... może za-
jaśniej mi słońce.

Przez całą noc prawie mówił do przyjaciela, który go słuchał uważnie, z jakimś szczególnym pobłażliwym uśmiechem na ustach, tak jak się słucha szczebiotania małego chłopca, który obiecuje puścić się w niebezpieczne podróże i odkryć światy nieznanne.

Rano pan Bolesław odwiózł swego przyjaciela na kolej i przy rozstaniu się wymógł na nim słowo, że na rok przyszły znowuż Rudawkę odwiedzi.

— Zdam ci, mówił, szczegółową relację z moich czynności, pokażę com zrobił, bo rok to czasu kawał, a ja go marnować nie mam zamiaru. Nie poznasz Rudawki, nie poznasz tego domu ani gospodarstwa, takie zmiany będą... taki porządek. Trzeba coś zrobić na świecie, nie godzi się marnować życia, ani darów jakie ono przynosi.

Rozstali się, kolega przyrzekł, że następnego lata stawi się niezawodnie i bezwarunkowo przed żniwami, żeby mógł podziwiać wspaniałe zboża.

Wróciwszy do domu pan Bolesław sumiennie wykonywał swój program, tak dalece, że aż ciotka zaczęła mu robić wymów-

ki, a Mordka Buterglanz oświadczył, że nie wytrzyma w takich warunkach

— Wielmożny panie, mówił, to na nic, niech się pan nie obraża, ale ja chyba ztąd ucieknę.

— Jeżeli ci źle, uciekaj, ale dla czego?

— To bardzo prosty interes. Pacht nie majątek, człowiek żeby patrzył tylko na te głupie krowy, nie miałby z czego żyć.

— No tak nie mów: ja paszy nie żałuję; rzadko gdzie w okolicy znajdziesz tak ładnie utrzymane bydło, wydatek mleka masz doskonały.

— Wielmożny pan ciągle z tem mlekiem.

— Za rządów Kulbackiego jednak tego nie miałeś.

— Ja za niego lepiej miałem. Nie było dużo mleka, to prawda jest, ale był Kulbacki. Czy dla pana zły, czy dobry, ja o tem nie mówię, co mi do tego, ale szczerzy człowiek — dał czasem zarobić. Po drugie za Kulbackiego i wielmożny pan był miłszy. Był pan prawdziwy, dziedzic, lubił zabawić się, wyjechać, miewał różne potrzeby. Mordko przy panu zarobił.. a teraz co jest, co się z tego Rudawki zrobiło?! Ani Kulbackiego nie ma, ani dziedzica nie ma.

— Cóż znowuż, przecie stoję przed tobą.

— Wielmożny panie, z wielkiem przeproszeniem, taki dziedzic jak teraz wielmożny

pan jest dziedzic, to na prawdę wcale nie dziedzic. Wielmożny pan siedzi cały dzień, albo na polu przy kartoflach, albo w stodole przy młocarni, albo w stajni przy zasy-pywaniu obroku, albo w stancyi przy myśleniu. A jakie to myślenie jest?

— Wiesz?

— Dla czego nie mam wiedzieć? Ja od tego jestem, żebym wszystko wiedział.

— Więc powiedz.

— Owszem, powiem, to jest myślenie nie dobre. Pan myśli tylko o tem, żeby zamiast trzy grosze wydać jeden grosz, albo pół grosza, albo też wcale nic nie wydać. Panu to przychodzi do głowy: jeżeli Mordka pański pachciarz chce zarobić rubla, żeby zarobił dziesiątkę, a lepiej jeszcze, żeby nic nie zarobił. U pana teraz główne słowo jest: «nie potrzeba», «obejdzie się», «zbyteczny wydatek». I niech wielmożny pan sam powie, czy w takim miejscu, w takim folwar-ku, można żyć i płacić po dwadzieścia jeden i pół rubla na rok od krowy, bez cielecia? Czy to życie, czy to do wytrzymania jest.

— Radzisz sobie jakoś jednak, trochę mlekiem, trochę wodą, za którą przecie nic nie płacisz.

— Aj woda, co tu gadać o wodzie, to nie jest towar. Można dolać troszeczkę, bo za

tluste mleko nie jest dla zdrowia dobre, ale troszeczkę to nie dużo, a nie dużo, to nie interes. Ja muszę ztąd uciekać. Niech pan nie ma pretensyi. Muszę odebrać od pana moje drobne należności i iść w świat, gdzie oczy poniosą.

— Jak chcesz.

— Co to za słowo «jak chcesz», ja tu przecież tyle lat siedzę, mnie się należy jaka grzeczność, gratyfikacya.

— Przecież cię nie odpędzam, odchodzisz sam.

— Aj, pan nie odpędza, pan nawet zaprasza! pan wskazuje kupę kolących cierni i powiada:— Siadaj sobie kochaneczku i siedź, będziesz miał wygodę, pan daje kamień i mówi; «Jedz kochaneczku, będziesz miał pożywienie i siłę».

— Ale ostatecznie, mój Mordko, powiedźże raz wyraźnie, czego ty właściwie chcesz.

— Ja nic nie chcę, niech pan chociaż spuści co z pachtu.

— Tego się nie spodziewaj.

— Jakto, nic?

— Ani jednego grosza.

— To ja się od nowego roku zrzekam.

— Dobrze.

— Ja mogę nawet kogo na swoje miejsce nastreczyć. Niech choć faktorne zarobię.

— Nie trzeba, sami się zgłoszą.

Mordka oświadczył, że nie czekając nawet nowego roku opuści Rudawkę: ale w duchu postanowił, że będzie czekał. Raz już zmieniło się w tym folwarku i zmieniło na gorsze, może być znowu druga zmiana na lepsze. Rozmaicie się trafia, a kto źle przeczeka, ten wygrywa.

Pretensye pani Petroneli były innej natury. Pomino, że siostrzeniec był jej we wszystkim uległy, że pozwolił jej przewrócić cały dom do góry nogami, robić codzien porządki zwyczajne, co trzy dni nadzwyczajne, co tydzień wyjątkowe, a raz na miesiąc niesłychane: pomimo że w gospodarstwie kobiecem była absolutną panią, co dogadzało jej despotycznemu charakterowi, nie była jednak zadowolona, przeciwnie ciągle okazywała rozdrażnienie i zły humor.

Użalała się na samotność i opuszczenie, na to, że dom jest pusty, że nie ma w nim do kogo przemówić. Przez kilkoletni pobyt w miasteczku przyzwyczała się do towarzystwa różnych niewiast, pokrewnych jej pojęciami i sposobem widzenia rzeczy. Co dzień rano spotykała się z niemi w kościele, po południu na kawie, wieczorem szła do której z nich, lub przyjmowała wszystkie u siebie na herbacie. O czem tam nie mówiono, jakich kwestyj nie poruszano. By-

ło przynajmniej wesoło, a tu, na wsi ciągle samotność. Do kościoła jeździ się tylko raz na tydzień, do miasta daleko zaledwie co dwa tygodnie można sobie na wycieczkę do przyjaciółek pozwolić, a w domu siostrzeńca wiejscy goście bywali rzadko.

Zresztą i sam ten siostrzeniec Boże odpuść! Cały tydzień w folwarku, lub w polu, ledwie wpadnie na obiad, zje i znowuż wychodzi, a wieczorem zamiast posiedzieć, porozmawiać z ciotką ucieka do swego pokoju, zamyka się, czyta co, lub robi rachunki i kładzie się spać, wczesnie, bo wstanie przededniem.

Ostatecznie i miłość rodzinna ma swoje granice, można się dla siostrzeńca poświęcić, można gospodarować dla niego, pilnować porządku, toczyć wojny ze służbą, można mu, gdyby tego potrzebował, dopomódz materyalnie, oddać mu połowę swego mienia—wszystko można: ale żeby dla miłości siostrzeńca skazać się na samotność i dożywotne przymusowe milczenie—to już przechodzi wątle siły kobiety.

Po długim namyśle pani Petronela postanowiła rozwiązać swoje pęta jednym cięciem, niby węzeł gordyjski.

Oświadczyła siostrzeńcowi, że jest cierpiąca i że musi być blisko doktora, apteki, kościoła, stolarza i cmentarza, ponieważ nie

jest Mojżeszem i nie chce umierać na puszcy.

Pan Bolesław prosił, przedstawiał, ale na próżno, postanowienie było niewzruszone, dzień wyjazdu blizki, pani ciotka przystąpiła do pakowania swych drobnych ruchomości i niezbędnych w życiu kobiety samotnej tłumoczków, atoli wyjazd opóźniony został w skutek pewnej drobnej okoliczności.

Wieczorem, przy herbacie, pan Bolesław doznał szczególnego wrażenia, z którego nie umiał nawet zdać sobie sprawy dokładnej, zaboląła go głowa, a jednocześnie uczuł pewną ociężałość w nodze i zdawało mu się, że go ktoś trzyma za szczękę. Zapytamy przez ciotkę, co mu jest i czemu tak nagle posmutniał, odpowiedział z trudnością i bardzo niewyraźnie.

— Ja.. ja.. nie wiem.

— Ciotka, która widziała już w swoim życiu ludzi mówiących niewyraźnie, posłała do pobliskiej wsi po felczera, do miasta po lekarza, a siostrzeńca kazała rozebrać i położyć do łóżka.

Tak się szczęśliwie złożyło, że pan Wiśniewski, lekarz zamieszkały w pobliżkiem miasteczku, dawny znajomy pana Bolesława i jego ciotki był w domu. Dowiedziawszy się o co idzie, ubrał się szybko wpadł do apteki po jakieś potrzebne w takich zdarze-

niach środki — i w parę godzin później siedział przy łóżku chorego.

Badanie trwało nie długo, Wiśniewski przyrządził lekarstwo, pierwszą dozę sam pacjentowi podał i oświadczył, że czuje się zmęczonym i że woli zanocować w Rudawce, aniżeli wracać do domu.

Był to bardzo miły i wesoły starowina, w obec chorych miał zawsze przedziwnie pogodny humor, umiał ich rozweselać, dawać otuchy i nadziei.

Na zapytanie pana Bolesława, co sądzi o jego chorobie, odpowiedział z dobrodusznym uśmiechem: głupstwo, parę dni w spokoju poleżysz, parę flaszek lekarstwa wypijesz i będziesz zdrów jak ryba.

Poprawił poduszki, ułożył pacyenta wygodnie i życząc mu dobrej nocy wyszedł z pokoju. Ciotka Petronela zasypała go gradem pytań. Mój doktorze kochany, mówiła, nie trzymaj mię w niepewności. Rozumiesz pan przecie, że drzę z obawy, skłonna jestem do najgorszych przypuszczeń. Powiedzże mi szczerze i otwarcie co jest.

— Krótko mówiąc, jest pfe, kochana pani, odrzekł doktor.

— Ach! pan zawsze z tem swoim pfe, dużo można z tego wiedzieć.

-- Zawsze coś, gdybym powiedział, że jest «cacy» byłaby to także informacja.

— Ta utrudniona wymowa u Bolesława bardzo mnie zaniepokoiła.

— Wierzej mi, pani dobrodziejka, że i mnie również.

— Ach! więc on tego nie przetrzyma?!

— Pani! pani! Znamy się od tylu lat, wiadomo pani, że się nazywam Wiśniewski, a nie Jonasz, mieszkam w miasteczku, w domu Berkowej, a nie w brzuchu u wieloryba, że wreszcie jestem lekarzem, wolno-praktykującym, a nie prorokiem.

— I cóż ztąd?

— To, że nie każ mi pani prorokować, bo ja tego nie umiem.

— Lecz ja chcę, ja muszę wiedzieć, co tego biedaka czeka?

— Aboż ja wiem, moja pani, albo ja wiem.. to zależy od wielu okoliczności, może żyć długo, może się atak ponowić i zabić go odrazu...

— A to okropna rzecz! Wyobraź pan sobie, że miałem zamiar odjechać z Rudawki i że jestem kompletnie spakowana. Co robić?

— Na spakowanie jest tylko jedno lekarstwo—rozpakowanie.—Przyzna pani, że niekosztowna recepta.

— Wstydź się pan, panie doktorze, nigdy nie można rozmówić się z panem na seryo.

Zawsze tak było, kiedy pan był jeszcze młodym człowiekiem.

— Pamięta pani te czasy?

— Czy pamiętam? Naturalnie i dziwię się, że przy siwych włosach usposobienie nie zmieniło się.

— A o cóż idzie?

— Chcę wiedzieć, co Bolesława czeka.

— Kiedy mi pani nie da przyjść do słowa. Wymieniłem dwie ewentualności, ale nie pozwoliła mi pani dokończyć Tego biedaka może spotkać trzecia ewentualność najgorsza ze wszystkich.. niedołęztwo.

— Ach, mój Boże! cóż na to robić?

— Co? Cierpieć i żyć jak roślina, wegetować, kochana pani.

Bardzo smutnie przeszła ta noc w Rudawce, ciotka Petronela przerażona wypadkiem zasnąć nie mogła, a Wiśniewski nie rozbierał się nawet Położył się w sali na kanapie, światła nie gasił, palił cygaro za cygarem, czytał gazety, które przywiózł ze sobą, a za najmniejszym szelestem zrywał się i pocichutku na palcach zbliżał się do łóżka. Taką on już miał naturę ten skromny zaściankowy lekarz, że wogóle o swoich chorych dbał bardzo, a gdy szło o znajomych i przyjaciół, to nie znał granic troskliwości W tym razie czuwanie jego i pomoc bez rezultatu nie były. Ranek przyniósł po-

lepszenie—chory czuł się lepiej. Przez tydzień Wiśniewski przyjeżdżał codzień, później co dwa dni, wreszcie tylko od czasu do czasu, bo już obecność jego nie była niezbędna.

Pan Bolesław podniósł się z łóżka, niby zdrów, ale ociężały, na jedną nogę utykał, siły nie miał, mówiąc, zacinał się i jąkał, a myślenie, napisanie obszerniejszego listu przychodziło mu z wielką trudnością. Utrudzało go nawet dłuższe czytanie, często odkładał na bok książkę, wyciągał się w fotelu i godzinami całemi siedział zapatrzony w sufit, milczący.

Na pytanie ciotki, czy mu co dolega, czy cierpi, odpowiadał przecząco.

— Nie, ciociu, nie boli mnie nic, tylko tak jakoś.. nie wiem...

— Bo widzisz, mówiła energiczna dama, trzeba się rozruszać, trzeba się ożenić. Jak myślisz Bolciu?

— O... że.. nic? Może, ale nie wiem.

— Panna Michalina «perdue» nie ma co mówić, ale jest przecie panna Zofia w Czaplunku; wyswatam cię, jak tylko trochę do sił przyjdiesz i będziesz mógł wyjeżdżać.

Uśmiechał się na to i kiwał głową, co ciotka uważała za stanowczy zwrot ku lepszemu.

— Mordka Buterglanz innego był zdania; zdawało mu się, że dziedzic jest w tak złym

stanie zdrowia, że sam gospodarstwa prowadzi nie może: upatrzył więc dla niego ekonom, który był pisz, maluj, taki sam, jak Kulbacki, a może nawet i lepszy, gdyż kłął głośniej i dosadniej, pił więcej, a w pojęciach o własności był jeszcze bardziej oryginalny, niż jego poprzednik.

Długo i wymownie przedstawiał Mordko konieczność przyjęcia takiego zastępcy, któryby łączył w sobie energję, siłę i umiejętność fachową.

Pan Bolesław wysłuchał oracyi, patrząc w sufit, mogło się zdawać, że w tej chwili jest dla niego rzeczą zupełnie obojętną, czy istnieje na świecie jaka Rudawka i kto w niej rządzi.

Mordko musiał drugi raz opowiadać o co idzie, żeby dziedzic zrozumiał

— Więc ekonom, rzekł.

— Koniecznie, bez takiego człowieka będzie duża strata.

— A to niech.

— Pan dziedzic przystaje?

— Dobrze, dobrze.

— Mogę zgodzić?

— Gódź.

— No, jutro on już tu będzie. Oj, oj—on gotów, ja go trzymam od dwóch tygodni. Ja wiem, że bez takiego człowieka pan dziedzic całkiem zginie. Ja go zgodzę nie dro-

go, na małą pensję i niedużą ordynarję, ja-
bym go chciał zgodzić bez żadnej pensyi,
ale to trudno. Zresztą niech kosztuje, aby
tylko był. Czy ja nie prawdę powiadam?

— Prawda, aby był.

— Od jutra?

— Od jutra... niech będzie od jutra, a
teraz zostaw mnie w spokojności.

Mordko wyszedł.

Nadeszła zima, śniegi wielkie spadły i po-
kryły pola i łąki, drogi były kopne, trudne
do przebycia. Między opłotkami na wsi,
poza wzgórkami na polach, pod lasami i w
lasach potworzyły się istne góry śniegowe.
Pan Bolesław siadywał przy oknie; godzina-
mi całemi patrzył na tę wielką, bezbrzeżną
niemal białość. Niekiedy gdy od jasności
rozbolały go oczy, brał okulary niebieskie,
ale nie na długo, patrząc bowiem przez nie
doznawał uczucia zimna; zdawało mu się że ta
ziemia zastyga i zamiera w lodowych oko-
wach. Widocznie jednak widok śniegu przy-
jemność mu sprawiał, bo ciągle do okna
wracał.

Był teraz zupełnie samotny, ciotka Petro-
nela bowiem opuściła go i odjechała, we-
zwana przez jedną z licznych siostrzenic.
Młoda osoba wychodziła za mąż, niezbędne
przygotowania do tego ważnego aktu, szycie
wyprawy, sprawianie sreber, porcelany, futer

i najrozmaitszych przedmiotów, wymagały koniecznie praktycznej rady i pomocy. Ciotka zaproszona jako osoba kompetentna i nieoceniona w takich razach, nie mogła odmówić, pojechała, przyrzekłszy, że za kilka miesięcy po ślubie kochanej Anieli powróci do Rudawki, ale z chwilą wyjazdu postanowienie to zmieniła, czuła się albowiem obrażoną. Siostrzeniec, pożegnał ją obojętnie prawie zimno, odjazd ciotki nie wywarł na nim żadnego wrażenia.

Kiedy już otulona w futra, ciepłe chustki i szale, przyszła go pożegnać ostatecznie i ucałować, podniósł się z fotelu i z uśmiechem, który prawie nigdy z ust jego nie schodził, rzekł.

— To ciocia jedzie?

— Jadę, kochanie, bo wiesz, że muszę, ale ja za parę miesięcy wrócę.

— Wróci ciocia?

— No tak chyba nie chcesz tego. Powiedz, albowiem ja lubię szczerłość. Chcesz, czy nie chcesz?

— Owszem, jak ciocia sobie życzy.

Wydało się to pani Petroneli szczytem impertynencyi. Zmniejszyła też liczbę pocałunków pożegnalnych o siedmdziesiąt pięć procent i rzuciła tylko krótkie:

— Bywaj zdrów.

— Dowidzenia, ciociu.

Trudno wracać po takim obiejętnem «dowidzenia».

Trzeciego dnia po wyjeździe ciotki, pan Bolesław siedząc przy oknie ujrzał na dziedzińcu istotę osobliwą i na razie nie mógł sobie zdać sprawy, czy to człowiek czy zwierzę, czy fura.

Stworzenie to przekopywało się przez grubą zaspę śnieżną, w połowie było czerwone, w połowie zielone, a nad głową, czy może na głowie, dźwigało ogromny jakiś tłómok. W miarę jak owa postać zbliżała się do domu, można było rozróżnić buty z cholewami, czerwoną spodnicę, zieloną chustkę i toból.

Zdawało się panu Bolesławowi, że kiedyś tę istotę widywał, ale nie mógł przypomnieć sobie gdzie.

Zaczął się nad tem zastanawiać, zagłębiwszy się w fotelu i przymknąwszy oczy.

Po kilku chwilach usłyszał skrzypienie podłogi i uczuł na ręku miękie, ciepłe dotknięcie.

Przed nim stała kobieta o dużej białej twarzy i oczach niebieskich, jakby fajansowych i witała go zapytaniem, czy będzie jadł rosół z kurczęcia.

— Agata, szepnął zdumiony.

— A jeno.

— Przyszłaś?

— Ot.. któż miał przyjść?

Uśmiechnął się.

— Będę miał rosół z korzcęcia dziś?

— Codzień.. choremu tak trzeba

— A ty pójdiesz?

Wzruszyła ramionami, jakby litując się nad człowiekiem, który może zadawać podobnie dziecinne pytania.

— Ale, a tu kto będzie, chyba pies.

Rzekłszy to poszła do kuchni i zajęła się zwykłą swoją robotą, tak jak gdyby jej nigdy nie przerywała.

Czasem przyjeżdżał do Rudawki stary Wiśniewski i rozweselał chorego, opowiadając mu nowinki z życia okolicy, niekiedy przywoził książki do czytania, ale te stopniowo coraz mniej zajmowały pana Bolesława; lubił natomiast przeglądać stare ilustracje i przypatrywać się obrazkom. To go zajmowało, przez kilka godzin z rzędu mógł siedzieć nad takim folialem i uśmiechać się do każdej ryciny. Wiśniewski przywiózł mu także kilka talij kart i nauczył go układać pasyanse, ta zabawa bardzo się podobała biedakowi i sporo czasu jej poświęcał.

Lubił także, gdy go kto czasem odwiedził, grywać w proferansa. Kazał sobie też kupić tabaki i zażywał ją namiętnie, mówiąc, że doskonale robi mu na oczy i że czuje się po niej weselszym.

Agata, dowiedziawszy się, że pewien kowal słynie z przyrządzania tego wonnego proszku, sprowadzała go na użytek swego pana w dozach imponujących.

Cicho było we dworze rudawieckim jak w grobie, służba chodziła na palcach, aby nie przerywać drzemki, czy też rozmyślań pana Bolesława, a jemu zaś zapewne dobrze z tem było, gdyż nigdy o nic nie prosił, niczego nie żądał, siedział beczynnie lub kartami się bawił, a ciągle się przy tem uśmiechał.

Z wiosną, gdy dni cieplejsze nastaly zaczął wychodzić, lecz nie oddalał się od domu. Siadał w ganku na ławce, albo też w ogrodzie, patrzył na wróble, bijące się o robaka, na jaskółki, co ciągle koło domu latały.

W lecie przyjechał pan Aleksander w zamiarze przepędzenia kilku tygodni w Rudawce.

Słyszał on o chorobie Bolesława, ale nie spodziewał się w takim stanie go znaleźć.

Dawny przyjaciel i kolega poznał go, przywitał podaniem ręki i uśmiechem.

— Oleś, rzekł, tak Oleś.

— Przyjechałem cię odwiedzić, mój kochany.

— To dobrze. Passyans lubisz?

— Lubię. A jakże twoje zdrowie, jak się czujesz?

— Dobrze, tylko.. tak... jakoś..

— Panna Michalina za mąż wychodzi.

— Michalina? Aha.

— Tak, panna Michalina z Osin.

— Z Osin, wiem, wiem.. a to dobrze, zapewne będzie miała męża.

— Oświadczył się o nią w Warszawie pewien przemysłowiec.

— No proszę to bardzo dobrze.

— A gdzie twoja ciotka?

— Nie ma jej, ale podobno wróci, obiecała.

Tego dnia po południu przyjechał Wiśniewski, pan Bolesław drzemał w fotelu.

— Co za ruina, co za ruina, rzekł Aleksander do lekarza, ruchem głowy, wskazując chorego.

— A no tak, dobrze pan nazwał, ruina człowieka.

— A wiesz pan, mówił Aleksander, o czym on marzył przed rokiem, jakie plany zakreślał. Chciał powetować stracony czas

młodości, zreformować się z gruntu, słowem pragnął stworzyć sobie życie powtórne, szlachetniejsze i lepsze.

Wiśniewski ramionami ruszył.

— Bagatela — rzekł. Powtórne życie! Także w swoim rodzaju utopia! Jedno tylko mamy i to marnujemy w najgłupszy sposób.



WESELE.

Obrazek wiejski.



Noc była mroźna, księżycowa, niebo wyiskrzzone; pod stopami przechodniów, pod płozami sań skrzypiał śnieg—a tego śniegu była massa, gdzie okiem rzucić wszędzie białło i białło aż do lasu, który czerniał z oddalenia, niby szeroka rama, obejmująca skromny wiejski obrazek.

We wsi gdzieniegdzie błyszcząły jeszcze światła w chatach, a w dużej karczynie na skraju wioski położonej, wszystkie okna były oświetlone jaskrawo, z zewnątrz zaś dołatywały dźwięki skrzypiec, basetli i bębenka.

Na tle czerwonym szyb rysowały się sylwetki par tańczących bez upamiętania, zawzięcie; profile starszych gospodarzy i kobiet siedzących przy długim wązkim stole.

Na drodze ku wsi wiodącej słyhać było głośny brzęk dzwonek i janczarów, czwórka siwych koni, biegnących wyciągniętym kłusem ciągnęła eleganckie sanie.

Powoził stangret w płaszczu z wysokim kolnierzem; na siedzeniu, otulony w kosztowne futro, kręcił się niespokojnie młody człowiek.

Co chwila wychylał głowę z futrzanego kolnierza i patrzył na drogę, jak gdyby ją w jednej chwili chciał przebyć.

-- Czemu się tak wleciesz powoli, Janie, rzekł do stangreta.

— Jaśnie panie, pędzimy już pięć mil bez opamiętania, jeżeli w tej wsi nie damy koniom wytchnąć, to padną.

— Karczma cię nęci, pijaku.

— Koni szkoda, jaśnie panie. Od źrebiąt je wychowałem.. takich na jarmarku nie kupi.

— Nie zdążymy na kolej.

— Zdążym, jaśnie panie, moja w tem głowa.

— Jedź więc jak chcesz, stary nudziarzu.

Stangret ściągnął lejce, krzyknął «hola małe» i konie zwolniły biegu.

— Muszą trochę ostygnąć, rzekł, tchu złapać; we wsi pół godziny postoją, a później znowuż pognamy jak wicher.

To zapewnienie nie uspokoiło podróżnego, musiał się jednak poddać konieczności, zapalił cygaro i pograżył się w myślach, a miał zadumać się nad czem.

Niedawno, bo zaledwie przed pół rokiem

ożenił się—obecnie spieszy do miasta, aby rozpocząć sprawę rozwodową. Kochał żonę swą do szaleństwa—był kochany nawzajem, dziś ją opuszcza na zawsze i nie zobaczy jej już nigdy.

Zburzone szczęście całego życia, nadzieja przyszłości, rozwiane marzenia, utracony raj, wszystko przepadło.

Zostawił ją w domu do czasu, sam się usuwa i nie powróci przed ukończeniem sprawy. Drogi ich rozchodzą się na zawsze.

I ktoby to przewidział: pół roku temu składano życzenia młodej parze, zazdrościono obojgu, gdyż mieli wszelkie warunki do szczęścia: młodość, urodę, zdrowie, dostatek, życie bez troski, miłość.

Bez troski! co za ironia! Jest że na świecie co bez troski, pomiędzy tych dwoje coś się wkradło, coś nieujętego, niepochwytnego, nie dającego się określić bliżej... nieporozumienie, cień jakiś przykry, chłód.

A o małą rzecz poszło. On chciał jechać na zimę do Włoch, ona wolała przepędzić czas na wsi—a oboje byli dość uparci. Wyniknęła z tego taka delikatna sprzeczka, za nią druga, trzecia. On się nudził, ona również, a mieli aż nadto czasu do zastanawiania się nad urojonem nieszczęściem.

On marszczył brwi, ona była smutna, miała zaczerwienione oczy, z każdym dniem,
Powtórne Życie.

z każdą godziną utwierdzali się w mniemaniu, że się zawiedli, że charaktery ich nie są dobrane, że miłość była złudzeniem, a rzeczywistość jest okropna, nie do wytrzymania. Oddalali się jedno od drugiego coraz więcej, aż wreszcie on przyszedł do przekonania, że dłużej tak żyć nie można że za jaką bądź cenę trzeba zerwać złote kajdany i odzyskać utraconą wolność.

Kazał zaprządz konie, zostawił na biurku lakoniczny liścik do żony i na całą noc pojechał do Warszawy.

Niech się raz skończy.

Chciałby lotem ptaka stanąć w Warszawie i wprost z dworca kolei, nie zatrzymując się, pojechać do znakomitego adwokata, specjalisty. Znany to mówca, dzielny prawnik, subtelny dyalektyk i sofista. Jak jubiler brylant w złoto, tak on nieporozumienia młodej pary potrafi oprawić w artykuł prawa, dowieść, że w nocy słońce świeci, że podczas dnia ciemności panują, że białe jest czarnem, czarne białem, formalne nieformalnem, a prawdziwe fałszem.

Młody człowiek spieszy, gdyż jest głęboko przekonany, że dzielny prawnik swoją wymową niby mieczem rozetnie gordyjski węzeł jego małżeństwa.

Jan zatrzymał konie przed karczmą, okrył, je derami i rzekł:

— Jaśnie panie, mróz coraz większy — może jaśnie pan się rozgrzeje.

— Kiedy tam strasznie hałasują. Co to być może? wesele?

— Pewnie że wesele.

— Żenią się, szepnął z goryczą młody człowiek, żenią się. W każdej sferze są głupcy. Pójdę, dodał głośno, zobaczę jak wygląda taki szaleniec, który dobrowolnie życie sobie chce zatruć i złamać na zawsze.

Przybycie nieznanego gościa przerwało zabawę, muzykanci przestali grać, pary tańczące rozstały się, szynkarz z ukłonem wybiegł na środek izby.

— Co jaśnie pan rozkaże? pytał.

— Dajcie mi spocząć i ogrzać się, odrzekł, a wy dobrzy ludzie bawcie się dalej, ja wam przeszkadzać nie będę, byle konie wytchnęły ruszam dalej. Co tu u was.. wesele?

— Wesele, paniczu, odrzekł chłop z długimi, białymi, jak mleko włosami, a skoro panicz między nas wszedł, to kłaniam się pokornie i proszę nie wzgardzić dobrą kompanią i poczęstunkiem.

— Bóg zapłać — a gdzież pan młody?

— A to właśnie ja jestem pan młody.

— Wy? Nie zapóźno to trochę na wesele?

— Nie; akuratnie jak proboszcz obrachował podług książki, dziś sam czas. Jagna,

dodał zwracając się do zgarbionej staruszki, pokłoń się i ty gościowi, jako panna młoda. Młody człowiek patrzył na tę parę zdumiony i na razie nie mógł zrozumieć, co się dzieje, ale białowłosy wieśniak sam z objaśnieniem pośpieszył.

— Bo to widzi panicz, rzekł, wesele to nie byle jakie, jeno złote. Pięćdziesiąt lat temu ślub braliśmy z Jagną, pięćdziesiąt lat w zgodzie i przyjacielstwie przeżyliśmy ze sobą. Dziś kiedy nabożeństwo w kościele było, ksiądz przemówił tak pięknie, aż się naród popłakał, potem pobłogosławił nas, złożone laski dał mnie i Jagnie do garści, a oto teraz z rodziną, synami, wnukami, niewiastkami, zięciami, sąsiadami dobrymi i przyjaciółmi krzywkę się weselimy.. a ten oto chłopaczek co koło pana stoi, to jest nasz rodzony prawnuczek. Niechże pan naszą kompanią nie gardzi.

— Ależ co znowu! Owszem, winszuję wam dobrzy ludzie i życzę, abyście doczekali w zdrowiu brylantowych godów, a z prawnuczków wszelkiej pociechy.

— Dziękujemy za dobre słowo.

— Dajcie mi usiąść bliżej, niech się wam przypatrzę.

— Co za osobliwość? Dziad z babą, ot i tyle.

— W jakimże wieku jesteście?

— My sami lat nie rachujemy, ale proboszcz podług metryki liczył. Mnie powiada będzie kopa i mendel — a Jagnie kopa i dziewięć. Letnie ludzie jesteśmy, paniczu.

— Ale zdrowie wam służy?

— Jak to starym. Ja jeszcze korczyk pszenicy dźwignę, ale pięciu ćwierciom już nie poradzę — a babina, że to robi więcej po lekkości, łązi oto, jak mucha na jesieni.

— Ale ci jeść ugotuje, szmaty upierze, izbę zamiecie, dobytek opatrzy i koło ogrodu zrobi, wtrąciła baba, a jak Bóg miłosierny da żniwa, to idę z sierpem na równi z młodemi

— Sprawiedliwa prawda, Jagusiu, wszystko robisz, jak się należy.

-- Powiedzcież mi, zapytał młody człowiek, przez te pięćdziesiąt lat dobrze wam było?

— Różnie, panie, jak Bóg dał. Był i ogień, i woda i pomorek na bydło. Były choroby i śmierć, stawiałem nad dziećmi krzyże na cmentarzu, ale zawždy po deszczu daje pan Bóg pogodę... tedy było i źle, było i dobrze, był smutek, była i radość, były pogrzeby, były i wesela — i tak się oto szło i szło, aż się doszło do onych złotych latek.

Młody człowiek słuchał z zajęciem, a myśli coraz to nowe tłoczyły się do głowy.

— Jak wam na imię, panie młody? zapytał.

— Crzegorz.

— Mój Grzegorzu, rzadka to rzecz spotkać takie wesele, jak wasze.

— Bywają, panie, z woli Bożej...

— Nie często.. o nie często, to też kiedy mam takie zdarzenie, radbym was o jedno zapytać. Tylko odpowiedzcie szczerze i otwarcie

— A co, panie, mam odpowiedzieć.

— Czy przez te pięćdziesiąt lat pożycia nie mieliście między sobą nieporozumienia, sprzeczek?

Dziad i baba jednocześnie wybuchnęli śmiechem, a zawtórowali im wszyscy obecni w karczmie. Opasły szynkarz za boki się brał, a jego połowica klasnęła rękami.

— Z czego się tak śmiejecie? zapytał podróżny, co was nagle pobudziło do takiej wesołości?

— A bo panicz też dziwny, rzekł chłop, pyta czy nie było jakiej sprzeczki między nami? pięćdziesiąt lat przeżyć i ani razu się nie pokłócić, a choćby i nie poszturgać. Oj, oj, paniczu!!

— On dobry człowiek, Grzegorz, rzekła baba; choć nieraz rękę na mnie podniósł.

— A i Jagna dobra kobieta, dodał pan młody, choć z pazurami.

— Tego ja nie rozumiem... kłócić się, bić się i kochać się pomimo tego.

— Paniczu, czasem dobrze posłuchać staro-
rego, ja przetłumaczę, jak jest. Mąż i żona
to jak dwa konie przy dyszlu, szarpia z po-
czątku jako młode i głupie, a do roboty
jeszcze nie ułożone.. Ona w swoją stronę,
on w swoją. Jedno wierzga, drugie się kręci
— ale jest nad nim i nad nią stangret
dobry.

— Jakiż to stangret?

— Bieda, paniczku. Ćwiczy ona batogiem
okrutnie, zagania precz, ani figlować, ani o-
glądać się nie da. To też choć młode szar-
pią z początku i rwą, po jakimś czasie idą
coraz równiej, a nareszcie całkiem równo i
zgodnie.

— Sprawiedliwie Grzegorz powiadają, ode-
zwał się chłop jakiś i właśnie tak jest na
świecie, ja ze swoją babą też za młodu
sprzeczki miewałem, a teraz zgoda święta
między nami i dziatki odchowane i grosza
trochę jest i gospodarstwo nie ostatnie.

— Ma się rozumieć, rzekła Grzegorzowa,
jak robota jest od świtu do nocy, to kiedyż
się klócić?

Stangret do karczmy wszedł i rzekł.

— Jaśnie panie, konie wytchnęły, można
jechać.

Młody człowiek pożegnał godowników i
wyszedł.

Mróz wzmagął się, stangret siedział już

na koźle i powstrzymywał konie, pragnąc rozgrzać je biegiem.

— Janie! zawracaj i do domu co koń wyskoczy, rzekł pan otulając się w futro.

— Nie jedziemy do kolei?

— Jedziemy do domu, powtórzył z naciskiem, ruszaj z kopyta.

Gdyby woźnica nie miał rąk zajętych, byłby się przeżegnał ze zdumieniem.

— Opętanie, czy co? szepnął, każe gnać co tchu w koniach do stacyi, teraz znowu odmiana. Jaśnie pan zapewne czegoś zapomniał w domu, dodał głośno.

— Masz słuszność, zostawiłem ważny papier na biurku..

Ogarnął go niepokój, a jeżeli żona znalazła list i przeczytała go, jeżeli...

— Fatalne głupstwo zrobiłem, pomyślał, czemu, dla jakiej przyczyny—śpiesz, Janie, spiesz.

Jeszcze noc była, gdy śpionione konie stanęły przed gankiem obszernego dworu. Służący wybiegł drzwi otworzyć i światło zapalić, we wszystkich pokojach było ciemno.

Młody człowiek zrzucił futro i wzięwszy z rąk służącego świecę pobiegł do swego gabinetu. List znajdował się na biurku, w tem samem miejscu, gdzie był położony.

Nazajutrz młodzi małżonkowie byli w naj-

lepszej zgodzie i harmonii, porozumieli się, chmurki zniknęły, sprzeczki ustały, zaczęto rozmawiać o gospodarstwie i obowiązkach.

Mimowolni sprawcy tej zgody, jubilaci po złotym weselu, wrócili do zwykłego trybu zajęć. Grzegorz poszedł do stodoły młócić jęczmień, a Jagna zasiadła do kądzieli pod piecem.



<http://rcin.org.pl>

CURRICULUM VITAE

(kartka z pamiętnika).



Mówią, że każdy człowiek ma do czegoś szczęście. To prawda, ja na przykład mam osobliwe szczęście do... nieszczęścia.

W najwcześniejszym zaraniu życia, bo jeszcze w niemowlęctwie zostałem przez nieostrożną niańkę wyrzucony z kołyski i na skutek tego mam nos cokolwieczek krzywy. Później, jako mały urwis, w epoce tak zwanego przez pedagogów wychowania przedszkolnego, miałem nadzwyczajne szczęście do zdobywania guzów, siniaków, podrapań. Ktoby zliczył, ile razy poturbowali mnie towarzysze, kopnął koń, ugryzł pies, ile razy spadłem z drzewa, rozbiłem się na ślizgawce, ile razy wpadłem w rów pełen wody, rozdarłem ubranie na płocie.

Nie były to nieszczęścia wielkie, ale dotkliwe, tem bardziej, że pociągały za sobą oplakane skutki, matka moja bowiem w takich zdarzeniach gorliwie wykonywała radę

Ducha ś-go, a że rodzinny nasz mająteczek obfitował w piaski na których ślicznie rosła brzezina — więc... Szczerze mówiąc, czułem antypatyę do tego rodzaju drzew i gdy kto w mojej obecności wychwalał piękność brzozy płaczącej, młodociana dusza oburzała się we mnie. Miałem ochotę przerwać te zachwyty i zawołać na cały głos:

— To fałsz, nie ona jest płacząca, ale ja! ja!

Nie zrobiłem tego jednak nigdy, gdyż w domu u nas panował wielki rygor.

W dalszym ciągu mego żywota kiedy oddano mnie do szkół, miałem szalone szczęście do tak zwanych «pałek», do «dwójek», do siadywania w kozie, do przebywania dwóch lat w jednej i tej samej klassie, ale jakoś wytrzymało się i to, później ojciec umarł, matka bardzo podupała na zdrowiu, a że byłem jedynakiem, więc musiałem objąć majątek i osiąść na tak zwanych swoich śmieciach.

Osiadłem tedy.

Biedota to była owa nasza fortuna, za mała na folwark, za duża na kolonję, coś pośredniego, ot tak sobie. Dziesięć włók całej obrady, w tem połowa piasku, trochę łąki, trochę lasu, głównie sośniny i brzeziny. Tyle tylko, że ta bieda znajdowała się niedaleko miasta, więc można było mieć ja-

ki taki dochód za nowalie, za drób, za nabiał, bo oczywista rzecz, że się pszenicy wagonami nie sprzedawało.

Trzeba przyznać, że matka moja słyneła jako znakomita gospodyni, więc, gdy jako się rzekło, podupała na zdrowiu i nie mogła po całych dniach dreptać, ja stałem się wykonawcą jej zleceń i przy tej okazji poznawałem tajemnice jej sztuki i powodzenia.

Przekonałem się, że nie jest złą rzeczą umieć coś porządnie i nie dla czczej chwały, ale z całą prawdą sumiennie powiedzieć to mogę, że umiem obchodzić się z nabiałem, tuczyć gęsi i indyki, że znam upodobania mieszczuchów i wiem, co kiedy na jaki czas przysposobić. Na targu przed świętami wielkanocnymi dobijają się o moje prosięta, indyki, wędliny, masło, sery przepyszne. Ja najwcześniej dostarczam rzodkiewkę, sałatę, szparagi, kurczęta, młode kaczkę, pamiętam o sądnym dniu i mam koguty dla żydów, a przed dniem świętego Marcina przywożę na targ mnóstwo okazałych gęsi. Niby nie ja sam, bo mam przecież służbę, ale że pańskie oko konia tuczy, więc bywam przy tem i pieniądze od kupujących odbieram.

Matka chwali mnie i mówi, że mam do gospodarstwa szczęście, ja zaś nie chcąc mar-

twić poczciwej kobiety, kiwam głową, że niby tak jest, ale w duszy myślę sobie.

— Oj, nie, matusiu, nie, ja tylko do nieszczęścia mam szczęście, a nie stosuję tego do drobnych niepowodzeń, nieodłącznych od gospodarstwa. Bo juścić kto hoduje żywe stworzenia, ten musi być przygotowany na różne ich choroby i na upadek. Więc nie nazywam tego nieszczęściem, że czasem zmarnuje się ciele w oborze, że trafi się róża karbunkułowa u trzody, lub cholera u kur, nie liczę niepowodzenia z małemi indyczetami, bo w takich wypadkach wiem co mam robić, ale chcę wspomnieć o prawdziwym nieszczęściu, które wynika właśnie z owego szczęścia do gospodarstwa. Ja się przez to szczęście ożenić nie mogę.

A chciałbym. Bóg widzi, że chciałbym, bo to i przykrzy mi się tak samemu żyć— i wyręczenia przy gospodarstwie nie mam i jestem w takich latach, w których trzeba się jakoś ustalić i wreszcie matka namawia, a tym czasem

Ludzie są zazdrośni, wzięli mnie na języki, solą w oku im to jest, że człowiek z małego kawałka ziemi więcej wydobywa, niż kto inny z dużego, nie mogąc więc szkodzić mi w inny sposób, zaczęli mnie ośmieszać przed pannami.

Zdaje się mała rzecz, a przecież nie! Pan-

na wyjdzie za starego, siwego, łysego, gotowa jest nawet w braku lepszego konkurenta oddać rękę biednemu chłopcu, ale ośmieszonemu nigdy.

Były w naszej okolicy dwie panienki, jedna jak gdyby umyślnie dla mnie na małżonkę stworzona, druga, dobra także dziewczyna, ale już nie w tym stopniu.

Uderzyłem do pierwszej z własnego popędu, trochę z sentymentu, gdyż była to wspaniała blondynka, mocna, pięknych kształtów, a trochę znów z porady matki, która w poczciwej o mnie troskliwości powtarzała mi co wieczór.

— Osłem byłbyś, gdybyś jej nie wziął, Jasiu.

Gdybyś nie wziął: Łatwo to powiedzieć, ale wykonać trudno. Bardzo trudno, zwłaszcza, gdy się dzięki złośliwym plotkarzom, ma przezwisko Jasiowej, Janowej, gdy kogoś, bo co tu w bawełnę owijać, nazywają: «babą».

Zaślepiiony nie brałem tego w rachubę, zacząłem bywać, zacząłem się starać. Raz przywiozłem bukiet z lewkonij, raz z samych czerwonych gwoździków, pod jesień zaś z pełnych astrów kulistych. Piękne kwiaty i piękny sentyment, ale nie wielec to pomogło.

Uważałem, że rodzice nicby przeciw mnie
Powtórne Życie.

nie mieli. Ludzie praktyczni umieją poznać się na człowieku pracy, zabiegliwym, oszczędnym, pracowitym i nie biednym. Tacy rozumieją przecież, że grosz, czy to otrzymany za drób, lub za sery, jest groszem i jednakową ma wartość, ale panny sądzą widocznie inaczej.

Po kilkunastu wizytach, myślę sobie, co będzie, to będzie, kapucyn, albo starosta, oświadczę się.

Jesienny to był czas, właśnie zbiór śliwek. Mieli smażyć powidła, w wielkim kotle, na dziedzińcu. Ja się na tem znam, więc rozmowa poszła łatwo. Byliśmy przez pół godziny sami. Od śliwek do powideł, od powideł do kotła, od kotła do ognia, od ognia do miłości. Tak mi się wywijało, jak z płotka.

Ona uśmiechała się, kiwała głową, widocznie rada była moim słowom. Widząc, że to idzie gładko, że panna słucha uważnie, powiedziałem, co myślę i jakie mam zamiary.

Zaczęła się śmiać, ale jak! Jeszcze mam w uszach ten śmiech pusty, swawolny, wesoly. Tak śmieją się tylko dzieci, kiedy je coś niezmiernie ucieszy i zabawi.

— Dla czego się pani śmieje? zapytałem poważnie.

Zarumieniła się i dopiero po dłuższej chwili odrzekła.

Już się nie śmieję. Dziękuję panu za zaszczyt, ale nie mogę dać odpowiedzi takiej, jak pan sobie życzy, mam bowiem inne zamiary.

— Jakież?

— A cóż to pana obchodzi.

Zacząłem nalegać, prosić — w końcu dała się ubłagać.

— Mam zamiar wyjść...

— Za kogo? krzyknąłem wściekły z zadości.

— Za mężczyzną, — szepnęła z szyderskim uśmiechem.

Tego mi było dość.

Odjechałem z goryczą w sercu, z przekleństwem na ustach, z bólem, z żalem, z rozpaczą.

Rzuciłem się na łóżko w ubraniu i przeleżałem tak do rana, pół we śnie, pół wczuwaniu, zły, zgnębiony, smutny, nie podobny do siebie. Opowiedziałem tę historię matce. Posmutniała, kiwnęła głową i rzekła:

— Trudno, mój Jasiu, widać nie było przeznaczenia. Stało się. Nie żałuj. Machnij ręką, uderz do drugiej. Za moich lat często śpiewano w piosence.

«Toć się do rzeki nie rzuć,

«Gdzieindziej afekt obróć.

Obróć tedy afekt biedaku. Nie jedna Józia na świecie, jedź do Mani.

Mania była ani podobna do tamtej, czarna, wysoka, szczupła, oczy niby dwa ziarnka pieprzu, usta w sznureczek, podobno złośliwa, jak osa, ale panienska niebiedna i dość gospodarna, jak mówiono.

Uderzyłem tedy do Mani.

Konkury moje wypadły na bardzo późnej jesieni, prawie na początku zimy, i trwały do Bożego Narodzenia.

Tak data dokładna, gdyż dano mi odkosza w dzień Ś-go Szczepana męczennika, 26-go Grudnia.

Już nie będąc opowiadał, jak się oświadczyłem. O zmroku to było, przed zapaleniem lamp, tylko ogień na kominku płonął, to gasnął, to znów się wzmagił, rzucając blaski niepewne.

Nie powiem, żeby ty była pora niedogodna do oświadczyn, Owszem w takim świetle dziwaczne głódziej to idzie.

Wypowiedziałem, co czułem, chociaż gdyby mi na to kazali przysiąc, nie chciałbym. Suche to, czarne, złe, ale cóż miałem robić?

Oświadczyłem się.

— Wie pan, odrzekła, w zasadzie może bym i nie miała nic przeciwko temu, sądzą jednak, że dwie gospodynie w jednym domu, to byłoby za wiele.

— Proszę pani odrzekłem, matka moja jest kobieta niemłoda i schorowana, nie

wtrąca się ona do niczego, czasem chyba coś poradzi i to tylko wtenczas, kiedy jest o radę proszona.

— Ja też, odrzekła, nie miałam pańskiej mamy na myśli.

— Więc?

— Przecież pan wiesz.

— Dalibóg, nie wiem.

— Żarty.

— Ależ pani, ta chwila nie jest odpowiednia do żartów. Tu chodzi o szczęście całego życia.

— Rozumiem to doskonale i dla tego właśnie powiadam, że dwie gospodynie w jednym domu to za wiele, a pan masz ustaloną sławę dobrej gospodyni.

Odjechałem.

Odjechałem zły z przyczyny doznanego zawodu, lecz z innego znów względu kontent i mogę to powiedzieć, że jednem okiem płakałem, a drugim śmiałem się, bo chociaż Mania, dziewczyna ostatecznie nie nadto szpetna, chociaż posażna, chociaż jak mama mówiła, mogłaby uszczęśliwić człowieka—jednak, szczerze mówiąc, wołałem, że to szczęście spotka innego, a nie mnie. Po naradzie z matką postanowiłem szukać panny w mieście. Tam ich przecie nie brak. Nie raz w dzień świąteczny po południu wyroją

się na ulicę, jak pszczoły, a każda wystrojona, elegancka, wyperfumowana, aż dusi.

Strach taką lalkę pod ubogą strzechę wieśniaczą wprowadzić, ale w mojem nieszczęśliwym położeniu co robić? Jaki punkt wyjścia znaleźć? Trzeba przecież ożenić się kiedyś, mieć własne ognisko domowe, własną rodzinę. I matka tam mówi i ja sam to czuję, że wiekuistym kawalerem być nie można, że zawsze człowiek żonaty inną minę ma, że jest poważniejszy, stateczniejszy, posiada większe prawa do ludzkiego szacunku i poważania. Nareszcie chciałbym także, aby uczciwe nazwisko nie zaginęło, aby ten mały mająteczek dostał się komuś bliższemu, nie zaś dalekim krewnym, którzy już teraz rozpoczynają do mnie umizgi, jak gdybym był sędziwym wujaszkiem, skazanym na dożywotnie starokawalerstwo.

I trzeba takiego zdarzenia, że pannę Marcelinę poznałem na wieczorku u znajomych zaraz tego samego dnia, kiedy przyjechałem do miasta z zamiarem zawiązania odpowiedniej znajomości. Trzeba takiego zdarzenia, że panna Marcelina odrazu wywarła na mnie nadzwyczajny urok. Nie była ona taka jak tamta pierwsza wielka, okazała blondynka i ani jak tamta znów druga, szczupła brunetka, ale tak sobie średnio w samą mia-

rę, ani brunetka, ani blondynka, tylko szatynka.

Rozmawiałem z nią dużo i, jak mi się zdawało, zdołałem jej się przypodobać i nie tylko jej, ale i ojcu, prosił, żeby u nich bywać, co też przyrzekłem i obietnicy dotrzymałem zaraz na drugi tydzień poszedłem w nowym garniturze, z nadzieją w sercu, że skończy się narazcie czas moich utrapień i że znajdę nareszcie to, do czego tęskni moja dusza od tak dawna.

Jeżeli powiedziałem, że panna podobała mi się, to powiedziałem za mało, ja byłem nią zachwycony, zakochałem się w niej tak dalece, że już nic nie zajmowało mojej myśli, tylko ona jedna, bezpodzielnie.

Mogłem też mniemać, że uczucie moje nie było bez wzajemności. Ile razy przyszedłem witała mnie przyjaznym uśmiechem i uściskiem dłoni, rozmawiała ze mną chętnie o różnych przedmiotach, Widocznie miałem do niej szczęście.

Jak już powiedziałem, do czego ja mam specjalne szczęście. I to jeszcze dodać muszę, że wszelkie dotychczasowe niepowodzenia moje i nieszczęścia mogłem przynajmniej nazwać po polsku — to zaś ostatnie miało się nazywać po łacinie.

Trzeba specjalnego szczęścia, ojciec panny Marceliny był to bardzo szanowny sta-

ruszek, miał blisko siedmdziesiąt lat. Siwy, szczupły, wygolony starannie, zawsze ubrany czarno; wyglądał jak senator, chociaż był tylko assesorem na emeryturze. Pedant, formalista, prawnik, istny mól zasuszony w bibule, palił namiętnie cygara po sześć groszy i pijał kwaśne wino węgierskie, dowodząc, że ani lepszego, ani bardziej pożytecznego dla zdrowia trunku nie było, nie ma i nigdy nie będzie.

Chwaliłem owe piekielnie mocne cygara, delectowałem się kwaśnem winem, od którego mnie porywały dreszcze, bo czego człowiek zakochany dla swej bogdanki nie zrobi — zabawiałem staruszka rozmową o rzeczach poważnych. To jest właściwie, on rozmowę prowadził, ja zaś słuchałem; kiwałem głową, potakując, uśmiechając się, stosownie do okoliczności; czasem w porę, czasem nie w porę, jak się zdarzyło. Szło to jednak jakoś.

Podczas pierwszej wizyty była mowa, przez grzeczność dla mnie zapewne o pogodzie i o gospodarskich kłopotach, na drugiej dyskurs kręcił się koło hypoteki.

Nie znam ja cudzych, ale moja własna obcą mi nie jest, umiem ja na pamięć, co zresztą nie trudno, bo tak tytuł własności jasny, jak szkło, bo dziedziczny od pradziadka, opisanie granic, nic łatwiejszego.

Jeden kawał, figura prostokątna, cztery strony, służebności i ścieśnień żadnych, długów żadnych, nawet towarzystwa. Radcą być nie chcę, wybierać nikogo nie myślę ten będzie czy ów to mi wszystko jedno, byłem ja rat nie płacił i ciężarów na karku nie miał.

Wypowiedziałem to z ogniem jednym tchem, tak jak myślę, szczerze i o ile mogłem wywnioskować, pogląd mój na sprawy hipoteczne podobał się panu sędziemu, bo sędzią nazywam staruszką.

Gdy przybyłem z trzecią wizytą panny Marceliny nie zastałem, był tylko sam ojczulek jej, palił cygaro i dla rozrywki zapewne czytał grubą księgę pod tytułem «Kodeks kar głównych i poprawczych».

Zobaczywszy mnie, przywołał, poprosił siedzieć i rzekł:

— Doskonale się stało, zaś pan przyjechał, właśnie Marcelka wyszła i dopiero za godzinę wróci, będziemy więc mogli bez przeszkody pogawędzić z sobą, szczerze i w cztery oczy.

Poczęstował mnie cygarem i tak zaczął:

— Nie będę ci, kochany młodzieńcze, opiewał szeroko jakie jest położenie ojca mającego córkę i jakie są jego obowiązki, tyle ci, tylko powiem, że musi on posiadać wzrok orła, czujność żórawia, słuch zająca przezorność węża. Czy tak?

— Skoro pan sędzia mówi, to zapewne.

— Tak, tak, młodzieńcze, ja te przymioty posiadam, nawet w dość wysokim stopniu i dla tego właśnie zadaję ci pytanie: jaki jest cel łaskawych a tak częstych twoich odwiedzin?

Zaskoczył mnie tem pytaniem. Czulem, że się rumienię i że nie wiem jak odpowiedzieć, zacząłem układać w myśli wyrazy, lecz sędzia przyszedł mi z pomocą:

— Nie żenuj się i bądź szczery. Niema w tem nic nagannego, gdy młody człowiek pragnie mieć towarzyszkę życia. Owszem, jest to myśl zawsze godna pochwały.

— W istocie rzekłem, panie sędzio, marzę o tem.

— Bardzo pięknie. I Marcelina córka moja podobała ci się?

— Nadzwyczajnie.

— Byłbyś zdolny pokochać ją?

— Do szaleństwa, panie, zawołałem.

— Wierzę ci, gdyż i ja niegdyś w twoim wieku, ale to do rzeczy nie należy. Mówmy szczerze. Z mojej strony przeciw twoim intencjom nie mam nic do nadmienienia, w zasadzie gotów jestem je zaakceptować.

— O panie! moja wdzięczność ..

— Zaraz, zaraz, młodzieńcze; bądź cierpliwy. Więc, jak ci powiedziałem, w zasadzie dobrze, ale ja jestem człowiek starej

daty, formalista, lubię wszystko robić porządnie i naturalnie od człowieka, który pragnie zostać członkiem mej rodziny muszę wymagać pewnych legitymacyi, żebym wiedział przecie z kim mam do czynienia. Sam przyznasz, że to jest niezbędne.

Pragnę, aby legitymacya, o której mówię, poparta była dowodami.

— Nie rozumiem, co pan sędzia chce przez to powiedzieć, bo jeżeli idzie o metrykę.

— Naturalnie, że idzie. Samo prawo tego wymaga i w razie gdyby małżeństwo miało przyjść do skutku, to będziesz musiał ją złożyć urzędnikowi stanu cywilnego

— Więc jakież dowody są potrzebne?

— Przydałby się wykaz hipoteczny twojego majątku; na to jednak nacisku nie kładę, gdyż raz nie chcę przyczyniać ci kosztów, powtóre ufam, wierzę twoim słowom, a potrzebie, ponieważ będąc za interesem w sądzie wypadkowo widziałem księgę twojego majątku. Tak się jakoś złożyło, bo nie przypuszczasz chyba, żebym z umysłu chodził sprawdzać jak tam jest. Byłoby to przedwczesne.

— Dla czegoż.

— Przedwczesne, kochanie, przedwczesne, powtarzam ci. Gdybyś był szedł drogą, którą ja szedłem przez życie, zażądałbym tylko

twego stanu służby, że jednak jesteś liber baron i panicz i że takiego dowodu złożyć nie możesz, przeto chcę, żądam i za główny warunek stawiam, abyś własnoręcznie napisał mi swoje «curriculum vitae» szczerze, sumiennie, obszernie i szczegółowo: ja prawdziwość faktów, jakie podasz, zbadam i potem pomówimy. Im prędzej to uczynisz tem lepiej — a że zakochanym zawsze pilno, przeto pewien jestem, że gdy przyjedziesz znowuż nas kiedy odwiedzić, będziesz miał ze sobą operat gotowy i przepisany czytelnie, tak jak ja lubię i jak powinno być.

— Ależ, panie sędzio.

— Słucham.

— Ja takich opisów nigdy nie robiłem i nie wiem jak do tego przystąpić.

— Głupstwo jest, nie święci garnki lepią, trzeba tylko fałdów przysiedzieć. Ja wiem że wy wieśniacy nie macie tego co Niemcy nazywają sitzfleissem, a co jest tak cennym przymiotem u ludzi pracujących umysłowo, ale raz w życiu możesz się na to zdobyć, zwłaszcza w tak ważnych okolicznościach. No jakże więc?

— Spróbuję, odrzekłem z westchnieniem.

— Doskonale, a jeszcze muszę cię, kochany panie, poinformować pod pewnym względem. Przypuszczam że intencye twoje wzglę-

dem Marcelinki są bezinteresowne, i że nie opierają się na materyalnym wyrachowaniu.

— O, panie dobrodzieju, takie myśli dalekie były odemnie. Owszem ja nie pogardzam, ale...

— Wierzę ci, bo właściwie jakiego posagu mógłbyś się spodziewać po córce emeryta.

— Nawet nie myślałem o tem.

— Otóż powiedziec ci muszę, młodzieńcze, że pozory niekiedy mylą. Córka emeryta ma po matce swej pięć tysięcy na doskonałej hipotece, zaś po mojej śmierci otrzyma jeszcze trzy, które ja sam złożyłem z drobiazgowych oszczędności. Razem tedy ośm. Gdyby małżeństwo przyszło do skutku musiała by być intercyza, a posag zostałby zahypotegowany na twoim majątku, na pierwszym numerze.

Ucieszyłem się z tej wiadomości, gdyż ośm tysięcy piechotą nie chodzi, można by tym pieniądzom nadać jakiś obrót, albo też zaokrąglić majątek—tylko to curriculum nieszczęśliwe, to curriculum.

— Jak ja się wezmę do tej roboty?

Jak opiszę przebieg mego życia, a główna rzecz co mam opisywać. Młodość jak młodość, czasy szkolne, co w nich osobliwego, a potem przy gospodarstwie jeden dzień do drugiego podobny bliźniaczo, a wszystkie jednakowe, tyle tylko urozmaice-

nia, że po wiosnie lato, po lecie jesień, po jesieni zima i znów po zimie wiosna. Bez opisywania każdy wie, że tak jest i tak było od początku świata.

Powróciwszy do domu, opowiadam matce rozmowę z sędzią, wszystkie jej szczegóły.

Ucieszyła się staruszka niezmiernie, że nareszcie zbliżam się do upragnionego celu —ucieszyła się pocziwa, bo i panna z porządnego domu i córka sędziego i nad spodziewanie wszelkie posażna. Czy gospodarna? Njewiadomo, ale przy takim mężu, jak ja—nauczy się wszystkich sekretów. Matka także rady jej nie odmówi. I będzie dobrze, będzie szczęście, pomyślność, dostatek.

Matka powiada:

— Nie bój się, Jasiu, śmiało, poszlij po papier, zamknij się w pokoju na trzy dni, choćby na tydzień nawet, nie zajmuj się niczem innem, tylko pisz. Moja w tem głowa, żeby ci nie przeszkadzano, bądź spokojny. Żywy duch do ciebie nie zajrzy. Ja jestem trochę zdrowsza i raźniejsza teraz i dobra wiadomość dodała mi sił, więc zajmę się gospodarstwem, podczas gdy ty się oddasz pisaniu

Tak się też stało.

Ciężkie to były chwile dla mnie, bardzo ciężkie i przekonałem się dopiero jak trudną sztuką jest pisanie, a zwłaszcza początek.

Po całym dniu siedzenia i rozmyślań napisałem tylko tyle.

«Nazywam się Jan Nepomucen Smutnicki, urodziłem się we wsi Wesółka, gminie Samotrzaski, dnia 14 lutego 1857 r.»

Dalej ani weź. Poszedłem spać w przekonaniu, że noc dobrą radę przyniesie i obudzony się o czwartej rano znowuż gorliwie wziąłem się do pracy. Do południa nie przybyło mi nic, do wieczora nic, cały dzień był zmarnowany. Ogarnęła mnie rozpacz, bo doprawdy za co sędzia skazał mnie na takie ciężkie roboty. Czy za to, że śmiałem podnieść oczy na jego córkę, ależ sam mnie do tego zachęcał.

Trzeciego dnia przyszła mi świetna myśl, napisałem tak:

«Ojciec mój nieboszczyk był tem, czem ja jestem obecnie, a ja jestem obecnie tem, czem był niegdyś mój ojciec, zaś dziadek mój zajmował także samo stanowisko».

Napisawszy to pobiegłem do matki.

— Czy dobrze będzie? zapytałem.

Pokręciła głową.

— Albo ja wiem, odrzekła, podług mego zdania bardzo dobrze, bo co tu więcej pisać, ale sędziemu może się wydać inaczej. W każdym razie to jest spis za krótki i nie imponuje, a jemu wartoby zaimponować.

— Czem?

— Choćby pracowitością, zabiegliwością, majątkiem.

— Co to za majątek!

— Ale dochody daje, i stosunkowo lepsze niż wiele innych. Przejrzyj tylko książki, a przekonasz się, że z roku na rok dochód się powiększa.

Rzeczywiście tak było. Z przyjemnością rozczytywałem się w tych książkach, własnoręcznie przez pocziwą matkę moją zapisanych.

Rzeczywiście to był obraz, obraz skrzętności naszej.

Przyszła mi genialna myśl do głowy i napisałem w dalszym ciągu tak:

«Co zrobiłem na tym świecie i jakie są moje zasługi, niech wykażą wierzytelne kopie z książek percepty mojego folwarczku za ostatnie lat dziesięć, które to kopie przy niniejszem załączam».

Data i podpis własnoręczny.

Zabrałem się do przepisywania energicznie, ciężka to była praca, ale ożywiała mnie nadzieja, że cel zamierzony osiągnę. Pot zalewał mi oczy, krzyż bolał nieznośnie, palce drętwiały, ale po dwóch tygodniach pracy, miałem porządnie wysztychowane kopie rachunków, na co spożytkowałem sześć li-

ber papieru, nie licząc mnóstwa arkuszy, które podarłem przy robocie.

Rozpromieniony, szczęśliwy, pojechałem do miasta i stawilem się u sędziego.

— Cóż to za straszny fascykuł? zawołał, gdym mu podawał papiery.

— To moje curriculum, panie sędzio.

Włożył okulary na nos, przeglądał, kiwał głową i wzdychał.

Myślę sobie dla czego? Czy wydaje mu się za małym ten dochód, jaki z mająteczku osiągam. Niech no spróbuje wydobyć więcej z tego piasku.

Przerzuciwszy papiery, sędzia podał mi rękę i rzekł.

— Młodzieńcze, obmówiono cię... ty masz rozum.

— O, panie sędzio!

— Jak żyję nie widziałem porządniejszego opisu życia.

— O nieba! więc mogę mieć nadzieję?

— Niestety — nie.

— Przecież sam pan sędzia powiedział, że mam rozum.

— Tak jest, ale moja córka go nie ma, czego mocno żałuję. Mówilem już z nią, nie lubi wsi, nie chce wyjść za pana i podobno dała już słowo innemu. Ja bo cię zawsze

szanować będę, a to curriculum zostaw mi na pamiątkę.

Cóż miałem robić! Zostawiłem, pokazywał je wszystkim, chwalił mnie, a ludzie tłómaczyli to sobie opacznie i wszystko obracali w śmieszność.

Nie ożeniłem się dotąd.. Tak.. Każdy człowiek ma do czegoś szczęście, ja mam specjalne szczęście do nieszczęścia.



TAKI SAM.



Pani Walerya zamyślona i smutna przechadzała się po dużym, elegancko umeblowanym salonie. Przez okna otwarte, zastawione ładnymi roślinami, wpadały promienie słońca, zniżającego się ku zachodowi i ślizgały się po szerokich liściach palm, po woskowanej posadzce, po pluszowem pokryciu mebli, po konsolach i lustrach.

Książka otwarta leżała na stole; nie zawsze bo czytać można; bywają niekiedy takie chwile, że najciekawsza powieść nie bawi, że litery stają się niezrozumiałe jak hieroglify egipskie.

Przed kilkoma godzinami mąż pani Waleryi odjechał.

Zdawałoby się, że fakt to bardzo zwykły, a jednak nappełnił smutkiem i niepokojem serce młodej osoby. Naprzód mąż nie był zwyczajny, jak tysiąc innych mężów, starych, łysych, nudziarzy, przepadających za dobrym obiadem, cygarem i partią winta.

Wcale nie, nie zrzędził, uwielbiał swoją Walercję, chwalił potrawy, choćby przydymione, cygar nie palił, w winta nie grywał.

Od pierwszego dnia pożycia, a przecież już trzy miesiące od dnia ślubu ubiegło, jednakowo wierny, stały w uczuciach, uprzejmy w obejściu, nadskakujący, miły...

Jeżeli taki mąż odjeżdża, to przecież nie jest fakt zwyczajny.

Żeby choć na parę godzin, ale na trzy dni, żeby choć niedaleko, ale aż do Warszawy.

Co dziwnego, że serce drży z trwogi, a niespokojne myśli cisną się do głowy.

Bywają fatalne wypadki na kolejach, pociąg może się rozbić, most zawalić, kto narzeczcie zaręczy, że jaki zbrodniarz nie położy ciężkiego kłoca na szynach, aby wywołać katastrofę. Przed laty kilkoma był w gazetach opis takiego zdarzenia.

A Warszawa?! Niby zdaje się ładne i miłe miasto, ale i tam niebezpieczeństwo grozi na każdym kroku.

Po kawalersku pędzący dorożkarz, spadająca z góry cegła, albo gzems, wół rozhuwany, uciekający ze szlachtuza, wszystko to może być powodem tragicznych wypadków.

A pokusy! Nie bez powodu Warszawa syrenę ma w herbie.

Wprawdzie Miecio jest mężem wyjątkowym, żadna pokusa go nie sprowadzi z drogi obowiązku, ale ostatecznie, czy można ręczyć? Wszyscy mężczyźni są podobno źli i przewrotni. Miecio nie jest taki jak wszyscy—on dobry, serdeczny, miły, bardzo dobry... chociaż... Ciotka Antonina twierdzi, że dyabeł nie śpi.

I po co on pojechał? Dla czego oddalił się z lekkim sercem, z uśmiechem na ustach, tak jak gdyby wychodził na spacer.

Sprawa, apelacya, obowiązek, ważne powody. Mężczyźni zawsze wielkie rzeczy robią z błahostek. Miecio, naprzykład, powiedział, że wyjechać musi, gdyż ma bronić pewnej sprawy w apelacyi, w izbie sądowej.

-- Ja cię zawsze jednakowo i serdecznie kocham, moja Walerciu, mówił, ale widzisz, duszko, jestem adwokatem.

— Wielka rzecz!

— Naturalnie, że nie wielka. Zwyczajna, ale muszę pilnować interesów moich klientów.

— Ciekawam jakich? pytała pani Walerya.

— Jak w tym razie Mendla Furkeltauba. Wpłatał się nieborak w złą sprawę. W pierwszej instancyi skazano go na trzy lata, za-

apelowałem, może się uda utargować jeszcze rok, lub półtora.

— Tak, opuszczasz mnie dla jakiegoś pasera.

— Nie, duszko, dla obowiązku.

— Więc według ciebie i obowiązek i paser to wszystko jedno?

— Ale zkąd?

Pan Mieczysław długo mówił swej ślicznej żoneczce o obowiązkach adwokata przysięgłego, a że był elokwentny i wykład przepłatał pocałunkami, przeto udało mu się przekonać młodą osobę, że wyjazd jest konieczny i że nie godzi się gubić Mendla Furkeltauba dla samolubnej i egoistycznej miłości. On też pragnie żyć i cieszyć się swobodą i szczęściem przy boku swej małżonki, czarobrewej Dwojry.

Wyperswadował, przekonał i pojechał na kolej, a pani Walerya została sama jedna, opuszczona, pustelnica, po raz pierwszy od trzech miesięcy, od dnia ślubu! Można się rozplakać z takiej przyczyny.

Pani Walerya płakała przez pewien czas, chodziła po salonie; później zamyślona i smutna usiadła na kozetce, przy stoliku, na którym w ramie, pięknie rzeźbionej, znajdował się duży fotograficzny portret jej męża.

Wpatrywała się w niego dość długo, gdy

nagle smutek jej i zadumanie przerwał brzęk dzwonka w przedpokoju.

Po chwili weszła szybko młoda, bardzo przystojna kobieta i z okrzykiem radości rzuciła się pani Waleryi na szyję.

— Adelka! zkad się wzięłaś? Co tu robisz? Jaka niespodzianka dla mnie! Z kim przyjechałaś?

— Z kimże mogłaby przyjechać biedna, samotna wdowa? Sama, sama, moja Walerciu, ale przedewszystkiem pozwól niech ci się przypatrzę. Jak wyglądasz? Nie widziałem cię już od roku, nawet na twoim ślubie być nie mogłam. Pan Mieczysław jest go dzien zazdrości, ma prześliczną żoneczkę.

Powtórzyły się znowuż pieszczoty i uściśnienia, poczem obie panie zasiadły na kozetce i poczęły rozmawiać.

— Powiedz mi szczerze, Walerciu, zapytała pani Adela, czy jesteś szczęśliwa?

— O tak, jestem bardzo szczęśliwa.

— Zupełnie?

-- Najzupełniej.

— I nigdy nie było pomiędzy wami nieporozumienia, sprzeczki?

— Ani razu.

— Pan Mieczysław wciąż jest jednakowy?

— Zawsze, zawsze. Ja go bardzo kocham i szanuję.

— A on ciebie?

— Co za szczególne pytanie. On szaleje za mną.

— Fenomenalne małżeństwo, uwierzyć trudno.

— Ja nigdy nie kłamię, Adelciu.

— Najmocniej jestem o tem przekonana, ale możesz się łudzić.

— Łudzić?

— Naturalnie. Mężczyźni są nader biegli w sztuce udawania, a my zaś oddane całem sercem, przywiązane, ufające ślepo, bierzemy w najlepszej wierze zręczne pozory za rzeczywistość, zdarza się to często, niezmiernie często, prawie zawsze.

— Być może, ale mój Miccio....

— Chcesz powiedzieć, że twój Miccio jest inny.

— Tak, tak.

— Moja droga. Każdy mąż z początku wydaje się «innym», ale w gruncie rzeczy jest taki sam, jak wszyscy. Mówię ci to na podstawie obserwacji i doświadczenia własnego. Sześć lat byłam mężatką, dodała z westchnieniem. Dyonizy mój już nie żyje— przebaczyłam mu wszystkie jego przewinienia, ale zapomnieć dotychczas nie mogę i nie zapomnę nigdy. Nieboszczyk mój mąż uchodził za bardzo uczonego człowieka i zarazem popełniał masę lotrostw... Opinia publiczna podnosiła jego zalety, a zamykała

oczy na błędy, bo przecież mężczyznom wszystko wolno.

— Alo cóż on robił ten twój mąż?! Zapytała z przerażeniem pani Walerya.

— Zapytaj raczej, czego ten człowiek nie robił? Jak ci wiadomo był on lekarzem, specjalistą od chorób nerwowych; przyjmował u siebie lub odwiedzał na mieście mnóstwo histeryczek, kapryśnic, rozgrymaszonych, rozpieszczonych kobiet, które chorowały z próżniactwa i z nudów.

— No, więc cóż, lekarz... pełnił swój obowiązek.

— Ach moja droga. Przecież i my mamy także obowiązki i my je także spełniamy. Ja, na przykład, wyszywam prześliczne rzeczy na kanwie, wyszywam, ale nie wdzięczę się przytem do kanwy i do włóczek.

— Cóż znowu!

— A on się wdzięczzył do każdej pacjentki. Widziałem na swoje własne oczy... przez dziurkę od klucza.

— Podpatrywałaś?!

— Jest to, według mego zdania, obowiązek żony. Mąż powinien być pod kontrolą, tak samo jak kucharka, bo ci panowie chcą mieć również jak ona, koszykowe.

— Przesada, Adelciu, przesada.

— Zapewne. Doszło do tego, że do eleganckiego i pełnego uprzejmości doktora

przychodziły jejmoście zdrowe jak rydze, aby się leczyć na urojone cierpienia. I sądzisz, że takie wypędzał, że mówił im słowa prawdy? Gdzie tam! każdej przyznawał słuszność, każdej radził; jedne wysyłał w góry, inne do morza, a ja byłabym je wszystkie razem wysłała do piekła! O wierz mi, Walerciu, byłabym rozpoczęła starania o rozwód, ale Bóg zrządził inaczej.

— Ja jednak nie widzę powodu.

— Zapewne, bo nie wyobrażasz sobie położenia biednej kobiety. Ja chciałam mieć męża dla siebie, porozmawiać z nim, wyjść na miasto, pojechać na spacer — tymczasem nie można, bo godzina przyjęć, później także nie można, bo konsyljum u jakiejś damy, którą zabolał palec, bo wizyta u innej, która się lęka swego cienia, u trzeciej, która spazmuje bez powodu, u czwartej, która sama nie wie dla czego płacze bez ustanku.

— Przecież jako lekarz nie mógł nie przyjmować pacjentów.

— Ach, oni wszyscy mają wymówki; każdy mężczyzna znajdzie sto tysięcy przyczyn, usprawiedliwiających jego łotrowstwa. Lecz nie mówmy już o tem, bo uważam że to przedmiot, który sprawia ci przykrość. Zresztą może masz złudzenia, to miej je jak najdłużej, na rozczarowanie zawsze jest czasu aż nadto.

— Rozczarowania.. złudzenia. Co ty mówisz?

— Porzućmy ten przedmiot. Duże macie mieszkanie?

— Sześć pokoi.

— Aż tyle! no to i ja będę mogła pomieścić się u was przez trzy dni.

— Choćby przez trzy tygodnie, moja droga.

— Czy mąż twój nie będzie miał nic przeciwko temu?

— Ależ cóż znowu! sam zapraszałby cię najserdeczniej, gdyby był w domu.

— Nie ma go?

— Tak, moja droga, wyjechał do Warszawy na trzy dni. Jestem słomianą wdową, pierwszy raz w życiu i dla tego przyjazd twój uszczęśliwił mnie w najwyższym stopniu.

— Chyba bardzo ważny powód zmusił pana Mieczysława do wyjazdu?

— Tak, interes klienta; ma bronić sprawę w apelacji.

— Ach, oni zawsze coś mają; lekarze konsylia, adwokaci apelacje. — Pokaż że mi swoje mieszkanie, lubię oglądać takie świeżo założone gniazdka gołąbków.

— Z największą przyjemnością, proszę cię.

Panie wzięwszy się pod rękę, zaczęły wędrówkę po mieszkaniu, zwiedziły salon, pokój stołowy, buduar pani, mały salonik,

przedpokój, nawet kuchnię, wreszcie weszły do gabinetu pana Mieczysława i zasiadły przy dużym biurku dębowem.

— Tak, moja droga, mówiła pani Adela, gabinet męża to także plaga żony.

— Plaga?

— W istocie, to port do którego ci panowie uciekają, gdy im się nie chce nas bawić albo z nami rozmawiać. Tu spędzają chwile samotnie lub też przyjmują interesantów, o których żony wiedzieć nie powinny! Mój nieboszczyk nieraz do późnej nocy przesiadywał w swym gabinecie z Hipokratesem, to znaczy z wielkimi nudnymi księgami. Twój jak uważam, ma także pełne szafy swoich Hipokratesów, czy też innych nudziarzy. Wszyscy mężowie są jednakowi, wszyscy bez wyjątku.. Ach! Krzyknęła nagle.

— Co ci Adelciu, zapytała pani Walerya, zaniepokojona nagłym wykrzyknikiem swej przyjaciółki.

— Nic, nic. Zdaje mi się, że coś dostrzegła, chociaż może będzie lepiej, jeżeli ci nie powiem.

-- Dla czego?

— Nie, nie. Nie chcę pozbawiać cię słodkich złudzeń. Drogie niedoświadczone dziecko! Boś ty jeszcze prawie dziecko, Walerciu. Po co mam cię wrywać ze słodkiej krainy ufności?

— Adelko! ty mnie przerażasz. Na Boga mów co jest. Nie trzymaj mnie w tej niepewności strasznej. Stokroć wolę wiedzieć prawdę, choćby najprzykrzejszą, choćby gorzką, aniżeli drzeć ze trwogi przed jakimś widmem nieokreślonym, niejasnym. Moja najdroższa, miej miłosierdzie nademną.

— Jeżeli chcesz koniecznie... zresztą do prawdy nie wiem jak mam postąpić... Niepotrzebnie zdradziłam się, ale są okoliczności, w obec których nie sposób powstrzymać się od oburzenia i zgrozy...

— Adelko.

— No trudno.. Prędzej czy później rozczarowanie musiałyby nastąpić.

— Boże! Boże!

— Przykro mi bardzo.. ale stało się już. Bądź odważną, Walerciu, zachowaj zimną krew, a skoro przekonasz się o prawdzie, umiej bronić praw swoich z siłą i godnością.— My kobiety musimy wyrobić w sobie silną wolę i energję, musimy postawić się, inaczej bowiem małżeństwo będzie zawsze grobem dla serc naszych.

— Zmiłuj się, kobieto! prosiła przerażona pani Walerya, zmiłuj się nademną, mów jaśniej, bo nie zniosę dłużej tych tortur.

— Dobrze więc.. Widzisz tę czerwoną bibułę na biurku?

— No, widzę. Jest to podkładka do pisanania.

— Właśnie to szczęście, że podkładka, bo ona zdradza niekiedy bardzo ciekawe tajemnice.

— Co?

— Zachowuje ślady liter... Patrz. Cóż widzisz?

— Pani Walerya z niepokojem wpatrywała się w czerwoną bibułę.

— Widzę jakieś niewyraźne znaczki—odrzekła.

— Owszem, są one aż nadto wyraźne, tylko trzeba je czytać odwrotnie. Uważaj, ja ci odczytam.. Szkoda, że nie wszystkie wyrazy odbiły się dokładnie, ale i to co zostało, wystarcza aż nadto. Patrz:

«. Mąż pani wyjechał.. las nad brzegiem rzeki... Wtorek niech pani będzie...
...dowiedzieć się...oku...chana koniecznie
...Mieczysław..

Co myślisz o tem, kochanie?

— Nie wiem, nic nie wiem, głowę tracę, a domyślać się boję.

— Ja ci pomogę. Mając kilka wyrazów łatwo odbudować resztę. Liścik brzmiał tak:

«Na szczęście mąż pani wyjechał, pamiętasz las nad brzegiem rzeki? Więc Wtorek, niech pani będzie. Schnę z niecierpliwości, aby dowiedzieć się tego, co czytam w twem

oku. Przyjdź kochana koniecznie. Twój zawsze wierny. *Mieczysław*».

A co Walerciu! Oni są zawsze wierni! aniolki kochane! No cóż? Czy przekonałam cię nareszcie.

— Boże! Boże! Co robić? Czy ja spodziewałam się tego ciosu. On mój Miecio, taki dobry, kochający. Nie, Adelciu, ja tego nie przeżyję, skończę samobójstwem, otruję się, lub wyskoczę przez okno.

— Tego nie zrobisz. Zabijać się dla takich potworów! Nie! Zbierzesz dowody, wyjedziesz do rodziców i rozpoczniesz sprawę rozwodową. On przyjdzie do ciebie, będzie się tłumaczył, usprawiedliwiał, wykręcał, ale to nic nie pomoże, choćby nawet płakał, do nóg padał, ty będziesz niewzruszona jak głaz. Trzeba tych panów uczyć rozumu. Nie trać tylko ducha, bądź mężna, zachowaj krew zimną i zbieraj dowody.

— Zkąd? gdzie?

— Ja ci pomogę. Szukajmy dalej. Kosz do papierów miewa także swoje tajemnice, a właśnie dostrzegam w nim podarte papierki. Czy pozwolisz, abym je przejrzała.

— Pani Walerya nie mogła odpowiedzieć, skinęła głową na znak przyzwolenia. Młoda wdówka z oczami zaiskrzonymi, z ciekawością niezmierną zajrzała w głąb kosza, a następnie zaczęła wydobywać z niego różne

Powtórne Życie.

12

na drobne kawałeczki podarte: papiery i segregować je na biurku. Szare, bibulaste skrawki nie zawierały w sobie nic zajmującego, szczątki wezwań do sądu, druki zepsute, bilety wizytowe, nareszcie znowuż okrzyk tryumfu wydobył się z piersi pani Adeli.

— Mamy nowe ślady, zawołała. Tak mamy! Wiadomem już jest imię tej pani: Malwina. Przypomnij sobie dobrze czy wśród znajomych ci osób nie nosi która tego imienia.

— Ależ tak, kuzynka Mieczysława, śliczna brunetka, podobno niegdyś był nią zajęty i miał się z nią żenić.

— Bez wątpienia ta sama! Stara miłość nie rdzewieje. Ta pani jest mężatką.

— Od dwóch lat.

— No to powinszować szczęśliwemu małżonkowi, spójrzyj na ten kawałeczek papieru, znowuż to samo «las nad rzyką» a fe! To jakaś osoba bez wykształcenia, pisze jak kucharka.

— Nie może być. Skończyła świetnie pensję.

— A jednak patrz: «nad rzyką», a tu podpis «Malwina». Czy znasz charakter pisma kuzynki twego męża.

— Nie, nie widziałem nigdy jej pisma.

— Szkoda, ale to zresztą wszystko jedno, jest dowód, jest własnoręczny podpis. Będą

mieli co czytać w konsystorzu. Szukajmy dalej, może się uda złożyć całość... aha, jest, jest «mąż mój wyjechał», coraz lepiej. A to znów coś nowego! Czy ta pani Malwina jest żydówką.

— Bynajmniej.

— No to szczególne: «ja potrzebuję się bać.» Rozumie się, obawa w takich razach jest bardzo usprawiedliwiona ale przecież wyrażenie dziwaczne. Czy to jednak nie jest szczyt przebiegłości ze strony tej pani, czy nie robi ona umyślnie błędów językowych, aby się zamaskować na wszelki wypadek. Tak, niezawodnie, jestem już najmocniej przekonana. Cóż ty o tem sądzisz, Walerciu?

— Ja już nic nie sędzę. Tak jestem zgnębiona, odurzona tem niespodziewanem odkryciem, że drzę jak w febrze i czuję straszny zawrót głowy.

— Ja za ciebie myśleć będę, moja duszko. Ta pani jest bardzo przebiegła i nic dziwnego, bo przebiegłość jest rodzoną córką występku, ale ostatecznie prawda zawsze na wierzch wyjść musi, zwłaszcza, gdy kto bada rzecz zręcznie i umiejętnie. Szukajmy więc.

Gorliwa inkwirentka przejrzała wszystkie kawałki papierów w koszu, ale pomimo naj-

usilniejszych poszukiwań nic więcej znaleźć nie mogła.

Słońce zaszło, w pokoju zapanował zmrok.

— Każę światło zapalić i podać herbatę, rzekła pani Walerya, zapewne z drogi głodna jesteś Adelciu.

— Czyż mogę myśleć o jedzeniu, będąc na tropie tak smutnego odkrycia. Oto lepiej Walerciu, schowajmy tę nieszczęsną bibułę i szczątki listu i obmyślmy co ty masz dalej czynić biedaczko. A może... może mu przebaczysz.

— Nigdy!

— Masz rację, nie przebacz. W obec zdrady, w obec obrażonej godności własnej, serce zamilknąć musi. Tak.

— Opuszczę ten dom, wrócę do matki i tam... Ach Boże, gdyby mi kto powiedział dziś rano.

— Moja droga... nasze życie jest okropne. Nie masz nieszczęśliwszych stworzeń nad kobiety. Panna, mężatka, czy nawet wdowa zawsze narażona jest na gorzkie zawody i rozczarowania. Kiedyż zamierzasz wyjechać.

— Wszystko jedno, jutro, dziś, czy choćby zaraz. W każdym razie przed powrotem Mie., tego pana.

— Naturalnie, niech zostanie dom pusty i niech szuka pociechy w owym lesie nad rzyką! Ach jak mało estetyki jest w tych

mężczyznach. Jak im wszystko jedno, ta czy tamta, mądra czy głupia, wykształcona czy ordynaryjna, byle coś nowego. A jeżeli jeszcze przyłącza się do tego urok zakazanego owocu, wtenczas waryują poprostu, szaleją, wówczas nie ma dla nich nic świętego... Żona, dzieci, dom, obowiązki, przestają dla nich istnieć, wszystko rzucają i jak ćmy do płomienia pobiegną, jak w tym wypadku «nad rzykę» To okropne!

— To straszne, Adelciu, nie warto żyć.

— Wprost przeciwnie, warto i trzeba żyć, aby ich upokorzyć, procesować, karać separacją, gnębić wszelkimi sposobami, niech wiedzą że jest sprawiedliwość, że nie wolno.

— I cóż nam z tego przyjdzie? Odrzekła że smutkiem pani Walerya, czy nam to odbierze zniechęcenie do życia, smutek w duszy i gorycz doznanego zawodu. W takim wypadku jedyna rada, mojem zdaniem odejść i zapomnieć, jeżeli to możebne.

— O moja słodziutka gołąbko, nie kwilenia tu potrzeba, ale czynów, oczy wydrapać.

W przedpokoju dały się słyszeć ciężkie kroki.

— Kto tam? Zapytała pani Walerya.

— Pani mecenasowo to ja.. Pędzikiewicz do usług.

— Co pan sobie życzy?

— A no, kłopot mam, proszę pani mecenasowej. Przed wyjazdem pan mecenas zostawił list i polecił mi go odesłać, a ja nie mam pojęcia gdzie ta pani mieszka? Może pani mecenasowa ją zna.

— Wdówka szepnęła pani Waleryi do ucha.

— Bóg go nam zsyła, co to za jego-
mość?

— Dependent męża.

— Zatrzymaj że go koniecznie.. musimy przeczytać ten list.

— Dobrze panie Pędzikiewicz, rzekła pani Walerya głośno: każ pan przynieść światło i pokaż ten list, może z treści domyślę się.

— Owszem, pani mecenasowo dobrodziejko, zaraz w tej chwileczce, nie zapieczętowany, list jest osobno, koperta zaś też osobno. Tylko adresu brak, niewiadomo ani jaka ulica, ani jaki numer. Pan mecenas to tak zawsze. Panie Pędzikiewicz to, a to, panie Pędzikiewicz, tamto, a owo. Wszystko na gwałt, piorunem w trzech słowach, a przecież Pędzikiewicz nie jest prorokiem żeby mógł zgadnąć gdzie jaka pani mieszka.

Po chwili wniesiono lampę i stary dependent podał własnoręczny list pana Mieczysława. Obie panie tłumiąc oddech, z największą ciekawością pochyliły się nad piśmie.

Brzmiało ono tak.

«Ponieważ mąż pani wyjechał, a sprawa o las nad brzegiem rzeki wyznaczona na Wtorek, niech pani będzie w Środę rano dowiedzieć się o wyroku. Siostra pani Chana niech koniecznie nadeśle plenipotencję.»

Mieczysław.

U dołu listu zaś adres:

«Wielmożna Malwina Lilienblum w miejscu.»

Pani Walerya wybuchnęła śmiechem ku wielkiemu zdumieniu Pędzikiewicza.

— Pani mecenasowej wesoło, rzekł z westchnieniem starowina, a ja nie wiem gdzie szukać tej pani.

— I ja również niewiem, rzekła pani Walerya, niech pan zapyta kogo na mieście, przecież taką kupcowę, która prowadzi proces o las, factorzy muszą znać.

— Zapewne, zapewne, ale należy dobrze adresować listy... Moje uszanowanie pani mecenasowej, dobranoc.

— Dobranoc.

— Widzisz, widzisz, Adelciu, rzekła pani Walerya po odejściu dependenta, jak nie-

slusznie posądzałaś mego Miecia. Przedsta-
wiłaś go jako .. Ach mój Boże, jaka jestem
szczęśliwa, wesola, kamień spadł mi z serca.

— Wszyscy mężczyźni są jednakowi, Wa-
lerciu.

— O nie! nie wierzę, mój Miecio inny,
nie podobny do tamtych.

— Taki sam, tylko widzisz on jeszcze
nie dojrzał zupełnie, ale ma czas.



ZMIENIONY PROJEKT.

(Z pamiętnika oficjalisty).



Dnia 27 maja tegoż roku J. W-ny Kajetan Kwietnicki (dziś już, świeć Panie nad jego duszą nieboszczyk) wezwał mnie do siebie do kancelaryi i oświadczył, że majątek swój Podgorzałkę B. sprzedał z wolnej ręki.

Gdym to usłyszał, sądziłem, że piorun we mnie ugodził, w Podgorzałce albowiem zajmowałem posadę tak zwanego rządcy przez lat ośmnaście u tegoż J. W-go Kajetana K, przyzwyczailem się do miejsca i do ludzi i do roli tamtejszej, a tu naraz masz! Niema Podgorzałki, niema dziedzica, niema rządcowstwa — idź człecze w świat szeroki, szukaj wiatru w polu, rób co chcesz! Nie powiem żeby mi było w owej Podgorzałce najlepiej, ale żyło się jakoś, człowiek siedział na miejscu przynajmniej, miał nad głową dach, nie był głodny, ani nagi—a na robotę, że jej nigdy nie brakło, nie narzekam.

Darmo chleba nigdzie nie dają. Otóż gdy usłyszałem, że Podgorzałka sprzedana, przykro mi się zrobiło, ale nie rzekłem nic, bo i cóżby to pomogło.

Nieboszczyk pan Kajetan zmiarkował, że mi to w smak nie poszło i rzekł:

— Żal ci?

— A tak, panie dziedzicu — odpowiedziałem westchnąwszy smutno. Tyle lat, a teraz oto gdzie się podziąć?

— I mnie żal, mówił dalej dziedzic, ale tak zrobić musiałem. Zdrowia nie mam, muszę się leczyć, a na wsi to trudno. W Warszawie mieszkać będę.. procent od kapitału wystarczy na utrzymanie. Przyznasz, kochany Kąkolski, że każdemu człowiekowi należy się na stare lata spoczynek.

— Ma się rozumieć, panie dziedzicu, jak kto ma za co spoczywać, to mu się należy, a jak kto nie ma za co, to się bez spoczynku obchodzi i tańszym kosztem umiera.

Mówiłem tak bez ceremonii, myślę sobie, po jakiego licha mam politykować, i tak służbę straciłem, trzeba iść w świat. Niechże się dowie dziedzic, że nie postąpił pięknie. Trzeba mi było wpierw powiedzieć o zamiarze sprzedania Podgorzałki.

— Uważam, że jesteś kwaśny, mój Kąkolski.

— Co prawda panie dziedzicu, dziś mamy 27 maja, do Ś-go Jana cztery tygodnie tylko... Nie wiem, czy znajdę obowiązek.

— niesprawiedliwy jesteś., właśnie chciałem się z tobą rozmówić w tym przedmiocie. Słuchaj że tedy. Najpierw dziękuję ci za długoletnią pracę, powtóre daję ci sto kilkadziesiąt rubli, jako gratyfikację, a po trzecie... chcę cię prosić, abyś przynajmniej przez jeden rok, pozostał tu na miejscu, u nowego właściciela. On na gospodarstwie nie bardzo się zna i potrzebuje człowieka, któremu mógłby zaufać. Przynajmniej mu, że cię uproszę.

Podziękowałem dziedzicowi za grzeczność i pamięć o mnie i żałowałem, że się był znalazł nie bardzo politycznie, mówiąc o tym spoczynku—ale on jakoś nie wziął tego przycinka do serca, owszem rozmawiał bardzo serdecznie. Prosił, abym zawsze, ile razy wypadnie mi być w Warszawie, odwiedzał go, żebym nie zapomniał o nim.

— Komuż tedy mam teraz służyć, panie dziedzicu—zapytałem.

— Podgorzałkę nabył pan Fajnermacher—odpowiedział.

— Fajnermacher, zdaje mi się, że słyszałem już niegdyś to nazwisko.

— Być może

— Zapewne ze starego zakonu?

— Cóż masz w to wchodzić, mój Kąkol-ski. Kupił, zapłacił, będzie twoją pracę wynagradzał.

— A no prawda.

— Dodam jeszcze—rzekł pan Kajetan, że to bogaty człowiek, w Warszawie mieszka. Sam ani gospodarować, ani tu mieszkać nie będzie.

— Pocóż więc Podgorzałkę kupował?

— Dla syna. Młody człowiek i podobno ma się żenić, więc ojciec chce mu dać majątek z ładnym domem, żeby przez jakiś czas na wsi mieszkał. Bogaty, dla mnie Podgorzałka była majątkiem, a on ją kupił jako zabawkę dla syna.

Stało się.

Po kilku dniach pan Kajetan wyprowadził się do Warszawy, a ja zostałem na starych śmieciach i prowadziłem gospodarstwo po dawnemu, czekając rychło nowy dziedzic nadjedzie.

Wiosna była w tym roku późna, kłopotów dosyć, deszcz ciągle chlapał, ale jakoś przy Bożej pomocy, zebrało się siano szczęśliwie, tak, że w tydzień po Świętym Janie wszystko już miałem w stogach, jak się należy. Przeszedł czerwiec, lipiec nastał, ośmnastego wziąłem się do żyta, a mojego dziedzica jak nie widać, tak nie widać.

Już w strachu byłem, bo wydatki czekały

wielkie, a w kasie pieniędzy brakło, sprzedaży zaś bałem się robić, bo mi do tego upoważnienia nikt nie dał... więc tak szło, trochę z pachtu, trochę z młyna, latało się biedę z wielkim trudem i mitręgą.

Nareszcie zjawił się i dziedzic. Piękny kawaler, włosy czarne jak kruk, trochę kręcone, mowa okrutna, głowa do góry, ano, pan, na swoich śmieciach, nie ma co mówić. Przyjechał z kilkoma panami. Oczywiście poszedłem zaraz do niego, żeby mu się przedstawić i zdać raport o stanie gospodarstwa, jak to czyniłem zawsze dawniej ile razy pan Kajetan powracał po dłuższej nieobecności do domu.

Młody pan dziedzic siedział przed ganikiem na lawce, zaś panowie, którzy z nim przyjechali weszli do pokojów — zwiędzali je szczegółowo, mierzyli ściany i podłogi.

— Przedstawiłem mu się.

— Słyszałem, słyszałem, rzekł, o panu. Pozwól pan, że mu się przypatrzę.

— Nie wiem odrzekłem, coby osobliwego we mnie być mogło.

— No, mówili mi, że pan jesteś człowiek uczciwy, więc dla tego chcę się panu przypatrzeć. W Warszawie, w naszym kantorze takich bardzo mało.

— Co kraj to obyczaj.

— Proszę. Nie wiedziałem.

— Melduję panu dziedzicowi, że wszystko w folwarku po staremu. Siano zebrane, żniwa rozpoczęte, rachunki w porządku, a w kasie mamy sto czternaście rubli.

— Gdzie pan masz sto czternaście rubli?

— W kasie, panie...

— Ładna kasa. Pan to nazywasz kasą!

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdyż pan dziedzic zwrócił uwagę na fornalki, zwożące zboże do stodoły. Przytknął szkiełko do oka i jak gdyby kończąc myśl o kasie, zapytał w dalszym ciągu wskazując na fury.

— A te zwierzęta zapewne nazywasz pan końmi.

Zrobiłem wielkie oczy.

— Jakże je mam nazywać? Juścić konie, to konie.

— Ha! ha! to konie: po ile za grosz takich folblutów.

— Wolno panu żartować, ale konie to bardzo dobre, prawie wszystkie swego chowu, kupionych nie wiele. Koń w konia wart ośmdziesiąt do stu rubli.

— To je pan sprzedaj, choćby dziś.

— Czyżby panu dziedzicowi tak bardzo pieniędzy było trzeba. Jeżeli tak, to przecież mamy zboże w spichrze.

Zaczerwienił się z gniewu.

— Panie rządco, rzekł, wiedz pan o tem

raz na zawsze, że ja nie jestem z ludzi, którzy potrzebują pieniędzy. Ja mam ich zawsze dość i niech pan sobie nie wyobraża, żeby taka kwestya mnie kiedy zajmować mogła.

— Winszuję panu dziedzicowi, ale jeżeli ośmielił się zapytać, to tylko dla tego, że pan dziedzic kazał te konie sprzedać.

— I jeszcze raz każe—stanowczo—dziś.

— Owszem, panie dziedzicu—ale dziś nie znajdziemy kupca, trzeba poczekać do jarmarku, a powtóre mósimy mieć inne konie do roboty, chyba że podoba się panu trzymać do roboty woły.

— Wól jest dobry na befsztyk, a konie ja sam sprowadzę z Warszawy. Nie życzę sobie, żebym miał takie chabety. A czy masz pan tu porządnego konia wierzchowego.

— Jest wierzchówka poprzedniego dziedzica.

— Pełnej krwi.

— Et, niewiadomo nawet jakiego pochodzenia. Na jarmarku kupiona pięć lat temu.

— Chciałbym ją zobaczyć.

— Nie ma jej teraz w stajni.

— A gdzie jest?

— Snopki wozi, panie dziedzicu.

— Pan jesteś wesóły człowiek, odrzekł, śmiejąc się.

Powtórne Życie.

— Nie rozumiem co pan dziedzic chce przez to powiedzieć.

— A to, że ja jestem przyzwyczajony, żeby mój koń wierzchowy snopków nie woził.

— Szkapa wypoczęta, miała darmo jeść owies, toć lepiej, że ją do roboty wziąłem. Teraz panie dziedzicu to nie żarty. Cały rok się na to czeka, a Podgorzałka nie jest taka wielka fortuna, żeby można było na niej trzymać cuganty i inne darmozjady. Pan Kajetan bywało, podczas żniw to nawet do kościoła, o trzy wiorsty chodził piechotą, żeby koni nie męczyć.

— Każdy ma swój system. Pan mówisz, że Podgorzałka nie jest fortuna, a ja chcę, żeby ona była wielka fortuna, żeby to był majątek pierwszy na całą okolicę. Te wszystkie budy trzeba kazać rozwalić.

— Jakto nasze budynki? Po co? Stodoły mają dopiero dwanaście lat, obora doskonała, owczarnię trochę podreperować, a jeszcze służyć będzie Bóg wie dokąd... Słowo daję... Niech się pan dziedzic pofatyguje, niech zobaczy. Drzewo zdrowe, sam rdzeń, dobierałem co najlepsze.

— Ja chcę mieć wszystkie budynki murowane, pod blachą, chcę żeby we wszystkim była elegancja. Rozumiesz pan co ja chcę.

— Rozumiem, ale ośmielam się zwrócić uwagę, że to drogo kosztuje, a pożytek taki sam, jak i ze starych budowli.

— Co to pana obchodzi.

— Pieniądzy szkoda.

Roześmiał się.

— No, no.. bądź pan spokojny, mam ich dość.

Okropnie się nudził mój pan dziedzic i narzekał, że nie ma żadnych przyjemności, że majątek wydaje mu się jak obrzydliwa nora, nic mu nie dogadzało, wszystko było złe. Jeden tylko dwór i ogród był mu w guście, bo też dla tego dworu i ogrodu głównie Podgorzałkę kupiono. Dwór był murywany obszerny, z piętrem, a ogród, nie chwając, nie miał w okolicy podobnego, bardzo obszerny, z parkiem dzikim, z wodą, z mostkami. To mu się podobało. Mówił, że porobić każe jeszcze jakieś fontanny i kaskady, że sprowadzi posągi, różne różności, że nawet spamiętać trudno, co on projektował, a ciągle powtarzał, że go na wszystko stać, że pieniędzy ma jak lodu, że się nie długo ożeni i że chce aby jego żona, podobno z bardzo bogatego domu, miała tu wszystko jak w raju. Wnet też po okolicy słuch poszedł, że w Podgorzałce ogromne zmiany być mają, że nowy dziedzic z wielkimi bogactwami nastał, że wszystko zbu-

rzy, bardzo wspaniałe budowle postawi, że będzie niesłychanie kosztowny inwentarz. Takie słuchy od wioski do wioski szły, jeden dodał, drugi jeszcze przyłożył, trzeci to wszystko okrasił, i o niczem nie mówiono tylko o tem, tylko o tych bogactwach niezmiernych.

A ja miałem utrapienie tylko, bo to i żniwa i przy tem być na każde zawołanie dziedzica i majstrów mu sprowadzić, coraz nowych rozkazów słuchać, ani dnia, ani nocy, ani odpoczynku.

Tamci panowie, którzy z nim przyjechali, odjechali tego samego dnia. Byli to rzemieślnicy z Warszawy, przyjechali obejrzeć dwór i wszystkie pokoje ;z gruntu podnawiać. Obiecali powrócić za dwa tygodnie, wraz z robotnikami i materiałem jaki był do tego potrzebny.

Dziedzic miał zabawić tydzień, zajął najładniejszy pokój od ogrodu, do usługi dałem mu chłopaka, który był w kredensie jeszcze za pana Kajetana i trochę się na służbie lokajskiej rozumiał, ale największy miałem ambaras ze stołowaniem takiego pánica. Obiady dla niego gotowały się u mnie, a poczciwa moja kobiecina wysilała się na najrozmaitsze frykasy, ale dogódź że tu takiemu! Na różnych specyałach wypasiony, nie gustował w zwyczajnych potrawach i co-

dzień był niezadowolony. Gniewał się, że w miasteczku niema pożądanego wina, ani likierów, żądał, żebym sam pojechał, wybrał co dobrego i przywiózł. Ja na takie rzeczy nie znawca, więc przyjechawszy do miasteczka idę wprost do Abrama. Stary to żyd, już ze trzydzieści lat ma sklep. Mówię tedy, mój Abramku takiego i takiego pana mam, kładź na furę co masz najlepszego i jedź do Podgorzałki, pokaż mu niech sam wybiera.

Pojechał tedy Abram z przeróżnemi butelkami, kontent, że piękny grosz utarguje, ale gdzie tam. Dwie butelki wybrał tylko, a Abramowi wymyślał od trucieli, prawie, że go za drzwi nie wyrzucił.

Abram kłął okrutnie po żydowsku, a na dziedzińcu przy ludziach, tak się już po naszymu odzywał nie pięknymi wyrazami o młodym dziedzicu, że powtórzyć tego nie wypada. Skrupiło się na mnie.

— Czyś mi pan na szykanę przysłał tego łajdaka, trucieli, szachraja? Wiedz pan, że ja żartować z siebie nie pozwolę i że w jednej chwili możemy się rozstać na zawsze.

Usiłowałem tłumaczyć się.

— Proszę mi nie mieć za złe, mówiłem, chciał pan wina, ja na to znawcą nie jestem, poleciłem więc Abramowi, żeby co ma najlepsze i najdroższe przywiózł.

— Żeby on kark skręcił. Czy nie macie w miasteczku pożądnieszego kupca.

— Właśnie on jest najpierwszy, bogatszego nieznajdzie w całym mieście. Byłem pewny, że on ma wszystko, co pan sobie życzy.

— Ładnie ma!

— Rzecz do naprawienia.

— Jakim sposobem.

— Niech pan ułoży depezę do Warszawy. Zaraz ją wyszłę, a za dwa dni posyłka nadejdzie. Tak się przecież praktykuje u panów obywateli nieraz.

— W istocie, że mi to na myśl nie przyszło.

— Jeszcze można by dziś.....

Poszłę konnego na stację, za kilka godzin powróci.

— Nie warto już. Zabawię tu tylko trzy dni, potem wrócę do Warszawy. Pan dopilnujesz wszystkiego, żeby było zrobione jak należy. Po co mam tu siedzieć i nudzić się, lepiej przyjechać do gotowego, a wiedz pan o tem, że przyjadę z żoną. Obaczysz pan jak tu będzie wesoło, jakie zabawy, jakie bale — przepędzimy tu całe lato, a później nie zobaczysz mnie pan aż w grudniu lub styczniu na polowaniu. Czy pan potrafisz urządzić polowanie?

— Dla czego by nie. Z panem Kajetanem bywało.

— Co mi pan ciągle z tym panem Kajetanem, to był sobie prosty pan, a ja jestem z innego gatunku i lubię, żeby wszystko było z szykiem i po magnacku.

— Niech będzie pomyślałem, jak chcesz. Co mi do tego, a nie wspominać pana Kajetana—to nie będę wspominać, skoro ci to do gustu przypada.

Trapiła mnie ciągle myśl, jak ja sobie dam radę z tem wszystkim i tyłoma robotnikami, zakupem materyałów, nie opuszczając przytem gospodarstwa.. ale wszystko inny obrót wzięło... a mój pan dziedzic ani zapowiedzianych trzech dni nie siedział, ani z żoną nie przyjechał, ani magnackich polewań nie urządził.

Koni nie sprzedałem, nasze stare budowle stoją jak stały — dziedzica także mam nowego. Stało to się wszystko w przeciągu jednej nocy tak nagle, niespodzianie.

Położyłem się spać przed samą północą, znużony, ledwie przytknął do poduszki głowę usnąłem jak kamień, tembardziej, że i samo powietrze usposobiało do snu, deszcz padał, a noc była ciemna, jak rzadko podczas lata się trafia. Z wielką przyjemnością rzuciłem się na łóżko, aby dać odpoczynek

strudzonym kościom, ale właśnie usnęłem kiedy mnie zbudził krzyk żony.

— Józefie! wstawaj, nieszczęście.

— Jezus Marya! Cóż tam? Pali się?

Nie zdążyła kobieta odpowiedzieć, rozlega się strzał jeden, drugi, trzeci.

O do licha, napad!

Co prędzej odziewam się jako tako, chwytam dubeltówkę i biegnę.

Ludzie pobudzili się. Fornale biegną ze stajni, krzycząc.

— Łapaj, trzymaj, złodzieje.

Karbowy nadbiegł z latarnią. Spieszymy do dworu.

Odwiódłem oba kurki. Trudno... jeżeli zbóje, to strzelać będę.. krew za krew.

We dworze ciemno.. Drzwi zamknięte. Biegniemy do ogrodu.

W pokoju dziedzica drzwi na oścież. Karbowy świeci latarnią, w oknach szyby potraskane, ramy potłóczone jak od kul. Na stoliku przy łóżku leży zegarek złoty z łańcuchem, pugilares dobrze napchany, portmonetka z pieniędzmi, ale gdzie dziedzic? Nie ma go ani w łóżku, ani w pokoju.

— Zapalić wszystkie świece. Zapalili. Zbiegła się cała służba, zaglądamy pod łóżko, do szaf, szukamy we wszystkich pokojach, dziedzica ani śladu.

Robi się rwetes coraz większy. Gospody-

ni, dziewczki, chłopak kredensowy, krzyczą, dopytać się nie można jak było, co się stało.

Spaliśmy, mówią, nagle przebudził nas krzyk i strzał.

— Szukać śladów.

— Zdaje się, że znać, jakby ktoś pod okno podchodził.. drugie znów ślady wskazują, że inny człowiek uciekał odedrzwi.

— Wołać na psy.

Nie trzeba było daleko szukać, biegały one koło domu i skomlały.

Jeden czarny, Zagraj, doskonały ogar, jeszcze po panu Kajetanie, kręcił się, wachał po ziemi, nareszcie pobiegł nad wodę. Był w parku stawek, na nim kępa z altaną. Kto się tam chciał dostać przeprowiał się łódką.

Pies nad wodą stanął i ujada.

— Szukać łódki.

Łódki przy brzegu nie ma, odczepiona od brzegu, kołysała się na wodzie, między kępą, a brzegiem.

— Probujcie chłopcy, mówię do fernali, może który łódkę dostanie, tam coś jest.

Jeden nie wiele myśląc, rzucił się w wodę, popłynął.. ledwie dosięgnął łodzi ręką, porwał się z niej jakiś człowiek i wystrzelił z rewolweru, o mały włos, a byłby chłopca zabił.

— Ach zbójco!

Ale fornał nie stacił przytomności. Chwy-
cił tego człowieka obydwoma rękami, wy-
włókł z łodzi i przyciągnął do brzegu. Kar-
bowy poświecił mu w oczy latarnią, osłupie-
liśmy, to był dziedzic.

Zemdlał, czy raniony był na razie nie
mogliśmy zmiarkować, głowę zwiesił istny
trup. Zanieśliśmy go do pokoju na łóżko.

Nadeszła moja żona i przy pomocy gos-
podyni zaczęliśmy go cucić. Oczywiście nie
żałowałem zimnej wody, a swoją drogą ka-
załem natychmiast zaprządz konie i gnać co
wyskoczy po doktora.

Przyszedł do siebie.. opowiadał, że kiedy
już miał zasypiać jacyś podejrzeni ludzie
zbliżyli się do okna. Że jest człowiek od-
ważny, a rewolwer przy sobie zawsze nosi,
poczęstował ich kulami i pewny jest, że kil-
ka trupów położył, a że z drugiej strony
nie chciał się narażać i zręcznie uciekł do
ogrodu—przesunął się między krzakami, do-
padł do łódki odczepił ją od brzegu i pchnął
na wodę. Wyciągnięty na dnie łodzi czuł się
bezpiecznym, ale i tam go mordercy znale-
źli. Kazał mi natychmiast dać znać do wła-
dzy, żądać śledstwa -- oczywiście dałem znać
nazajutrz, śledzili lecz nic nie znaleźli, bo
nikt nie napadał, tak tylko przywidzenie ze
snu.

Przyjechał doktor i powiada, że tylko przestrah, trochę przeziębienia. Wyleżeć się, wypocząć i będzie dobrze.

Tymczasem mój dziedzic koni do kolei zażądał.

— Tu, mówi, leczyć się nie chcę, mam już dość, wracam do Warszawy, a pan, panie Kąkowski czekaj na instrukcyę odemnie.

Ledwie go namówiłem na kilka szklanek herbaty.

O świtaniu wyjechał i już go nigdy w życiu nie widziałem.

Po upływie tygodnia otrzymałem taką depeszę: «Projekt zmieniłem — majątek sprzedamy, roboty wszystkie wstrzymać.

Tegoż dnia przyjechał pan Kajetan ze swoim bratem stryjecznym Adamem.

Ucieszyłem się niezmiernie, ujrzawszy dawnego chlebowodawcę.

Pan do nas z powrotem!? zawołałem.

— Nie, mój drogi, ja tylko towarzyszę bratu memu, panu Adamowi. On nabył Podgorzałkę od panów Fajnmacherów i chce tu pracować. Spodziewam się mój Kąkowski kochany, że teraz przez długi czas, a może i na zawsze nie będziesz myślał o szukaniu nowego obowiązku.

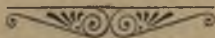
W trzech słowach zgodziliśmy się z panem Adamem i pozostałem na starych śmieciach, jak to mówią.

A gdzież teraz poprzedni dziedzic mieszkać będzie—zapytałem.

— W Warszawie, Paryżu, Londynie, wszędzie, byle nie na wsi, odrzekł pan Adam.

— A to dla czego.

— Powiada, że życie na wsi nie daje żadnych przyjemności.



BEZ WYJŚCIA.

Kartka z życia pana Abusia Wajsfisza.



Trafiają się w życiu ludzkim rozmaite wydarzenia.

Można, na przykład, idąc najspokojniej przez ulicę poślizgnąć się i zwichnąć nogę. To jest duża przykrość i ból.

Bywa też nieraz, że ktoś żeni się w przekonaniu, że dostanie posag, oraz kobietę dobrą, pracowitą, cichą, która będzie ozdobą domu i koroną głowy męża. Tymczasem teść zrobił z posagiem figiel, a co do owej oblubienicy, która miała być ozdobą i koroną, zrobiła się także omyłka, pokazało się albowiem, że luba żoneczka jest rozrzutna, krzykliwa, zajmuje się plotkami, a z mężem radaby się kłócić bez ustanku i miotać na niego przekleństwa, to jest też duża nieprzyjemność.

Może również być zdarzenie, że człowiek źle ulokuje pieniądze, lub trafi na nieuczci-

wego współnika w interesie. Któż nie przyzna, że to jest duże zmartwienie, nieszczęście?

Wszystko jest możebnem, albowiem nie człowiek szuka zmartwienia, ale ono samo chodzi za człowiekiem, niby kot za ptaszkiem, po cichu, delikatnie, czai się, pełza, jak gadzina, aż, wybrawszy odpowiedni moment, rzuca się na niego i pokazuje, jakie ma zdolności w pazurach.

Wszystko to prawda, ale i to również nie fałsz; że w każdej niemal przygodzie, w każdym niemal nieszczęściu, jest jednakże jakaś mała furteczka, jakieś drzwiczki, szczelina, szpara, przez którą można uciec i ocalić się.

Ileż to razy bywa, że ryba ucieka z sieci, chociaż jest taką masą misternie splecionych sznurków otoczona. Wymknie się i wyskoczy, nieraz przy samym łądzie, nieraz z grubej ręki rybaka. Rzuci się, szarpnie, mignie srebrną łuską i wpada napowrót do wody, i żyje i prowadzi nadal swój rybi proceder.

Tak samo i człowiek. Jeżeli zwichnął nogę, ma felczera, a w drugiej instancji doktora, w ostateczności szpital. Kosztem kilku rubli i kilku dni cierpienia wydobywa się z kłopotu i znowu chodzi tak samo, jak da-

wniej, a nawet lepiej niż dawniej, bo z ostrożnością

Zrobił się figiel z posagiem i zły interes w małżeństwie, żoneczka zaczęła pokazywać swoje sztuki—i na to jest lekarstwo, rozwód, śliczny kawałek pergaminu, nie duży, owszem bardzo mały, mniejszy od najmniejszej chusteczki od nosa — człowiek dał go żoneczce i już jest wolny, jest taki sam kawaler, jak wprzód, a nawet lepszy, aniżeli wprzód, bo nie taki głupi, jak był.

Sparzony na gorącym już dmucha na zimne; nie złapie się na obietnice teścia, lecz zażąda ewikcyi, a na tę ewikcyę gwarancyę, a na tę gwarancyę jeszcze raz ewikcyi.

Z nieuczciwym współnikiem można się rozejść, zlikwidować interes, pociągnąć szachraja przed sądy, wydrzeć mu z gardła to, co sobie w nieprawy sposób przywłaszczył.

To wszystko prawda. Z kłopotami, z ambarasem, z niepowodzeniem można wytrzymać, byle tylko mieć maleńkie, choćby najmniejsze wyjście.

Ale gdy się trafi nieszczęście, z którego ani na prawo, ani na lewo, ani w górę, ani w dół ani naprzód, ani w tył — wtenczas jest całkiem źle. W takim wypadku człowiek mądry staje się odrazu głupim, silny słabym, słynący z doświadczenia i sprytu macher, naiwnym jak sześćoletnie dziecko.

Co wtedy robić? Kłąć, płakać, wydierać sobie włosy z brody, czy wreszcie powiesić się?

Oby wrogowie nasi poznali słodycz takiego położenia! my zaś od razu zrobmy w duchu akt zrzeczenia się tego rodzaju spadków. A jednak czasem nie można.

Niedawnemi laty w pewnym niedużem, ale sławnem i bogobojnem mieście żył względnie szczęśliwie i prawdopodobnie jeszcze żyje pewien starozakonny człowiek, Abuś Wajsfisz.

Kto go nie znał? Nawet małe dzieci wiedziały że pochodzi ze sławnej rodziny, że jest synem Lewka Wajsfisza, zięciem Berka Dubeltówki i jego żony Ity, pierwszej na całe miasto kupcowej, że ma kilkaset rubli majątku, kilkoro pięknych dzieci, brodę czarną jak smoła, że trudni się różnymi interesami, że handluje, trochę jeździ po świecie i że wogóle używa opinii bardzo szanownego i porządnego człowieka.

Zli ludzie wyrażali o Abusiu inne zdanie: ale taki to już porządek rzeczy na świecie, że jednomyślność w opinii rzadko się zdarza, tembardziej, gdy dana gromadka indywidualów, wytwarzających opinię, jest niezmiernie różnolita. Oczywiście opinia myślącego Izraelity musi się znacznie różnić od opinii włościańskiego prostactwa; właściciele

folwarków mają swoje indywidualne poglądy na świat i na ludzi, oficjaliści znów inne.

Doktór, aptekarz, sędzia śledczy, adwokaci—każdy zapatruje się na rzeczy z innego punktu widzenia, i stąd wytwarza się chaos najdziwaczniejszy. Co jeden nazywa czarnem, to według innego jest białe, a trzeci może to samo uważać za niebieskie.

Naprzykład, sędzia z zasady częściej się zgadza w poglądach z prokuratorem aniżeli z opinią myślącego kupca i kapitalisty. W ogóle niemiły jest człowiek ten sędzia, i Abuś Wajsfisz unikał starannie wszelkiego spotkania się z nim i rozmowy

Nie dla tego, żeby się bał, ale, że nie lubił niepotrzebnej gawędy... Sędzia miał przytem szczególny sposób prowadzenia rozmowy: ciągle rzucał pytania i bezustannie patrzył w oczy, a spojrzenie jego było przykre, świderkowate; wielka uprzejmość w obejściu, oraz słodki uśmiech na twarzy nie mogły złagodzić przykrego wrażenia, jakie sprawiały na Abusiu te małe, szare, wiekuiście pytające oczy.

One przyczepiały się do człowieka, jak pijawki, kłuły niby drobne szpileczki, czasem miały w sobie palący ogień a niekiedy znów ostry chłód mrozu.

Co za przyjemność rozmawiać z człowiekiem, mającym takie dziwne oczy?

Abuś starannie unikał spotkania się z inkwirentem, czasem jednak bywało ono koniecznem. Komu nie zdarzy się być naprzykład świadkiem? Wzywają: trzeba iść, niema rady. Zdarzało się niekiedy, że sam pan sędzia zaczepiał Abusia przy spotkaniu na ulicy, lub za miastem, na drodze, wysadzonej lipami, gdzie wieczorem, letnią porą, mieszkańcy miasteczka używali świeżego powietrza i ruchu.

Czasem zdarzało się, że Abuś szedł sam i kombinował w głowie różne spekulacye; sędzia szedł także sam i zapewne także coś kombinował; spotkanie było nieuniknione.

Abuś kłaniał się i chciał iść dalej; sędzia zatrzymał go uprzejmym uśmiechem i słówkiem, pełnem grzeczności:

— Dobry wieczór, panie Wajsfisz! jak zdrowie.

— Dziękuję, chwalić Boga, dobrze.

— To ślicznie; a pani Sura, pańska małżonka?, a pani Ita, jej mama, mają się również dobrze, nie prawdaż?

— Dla czego mają się mieć źle?

— Cóż słyhać?

— Albo ja wiem? Nic nie słyhać.

— Ale w ogóle muszą być jakieś nowości? mieszkamy przecież w mieście...

— Na taki czas jest jedna nowość: stara

bieda. Moje uszanowanie panu sędziemu! ja już wracam do domu.

— Ja również, pójdziemy razem. Lubię spacerować w towarzystwie ludzi myślących, a pan należysz właśnie do takich panie Wajsfisz. Powiedz mi pan, po czemu teraz płaci się srebro.

— Jakie srebro?

— W ogóle, na przykład: łyżki, widelce, tace, kandelabry, lichtarze...

— Czy pan życzy sobie sprzedać, czy potrzebuje kupić?

— Ani jedno, ani drugie; zapytuję tylko przez ciekawość.

— Ja nie wiem, ja wcale tego nie wiem. Wiadomo panu, że nie jestem jubiler, nie trudnię się takim handlem.

— Mówiąc to, Abuś patrzył w ziemię, lecz czuł pomimo to na sobie świderkowate wejrzenie szarych oczu i było mu bardzo przykro, tem więcej, że nie dawniej niż onegdaj, wypadkowym sposobem od nieznanego człowieka kupił dwa duże srebrne lichtarze i wcale nie drogo.

Właściwie ten nieznanomy był trochę znajomy, lecz w takim zdarzeniu nie ma potrzeby chwalić się z tem.

To stało się onegdaj, a dziś takie nagłe zapytanie po czemu srebro? Czy on już co wie?

Abuś jeszcze raz zapewnił, że nigdy nie handlował metalami, że nie ma zamiłowania do tej branży, tak dalece, że nie dawno niechciał nabyć miedzi po zwiniętej gorzelni i tę bardzo korzystną transakcyę nastreczył zupełnie bezinteresownie swemu ciotecznemu bratu.

Sędzia uśmiechnął się, kiwnął głową i odrzekł najspokojniej.

— Wierzę panu, Ślicznie pan robisz, panie Wajsfisz, że nie handlujesz srebrem, jest to bowiem towar zdradliwy...

Na to Abuś nic nie odrzekł, chociaż mógł odpowiedzieć, że to zależy od zręczności handlującego, a także i od szczęścia. Rzecz wiadoma, ale poco wdawać się w dysputę z takim człowiekiem? Na szczęście, i on zmienił nagle przedmiot rozmowy i rzucił zawsze pytającym tonem zwykły, oklepany, okólnik:

— Ciężkie życie, co?

Zdawało się Abusiowi, że na ten temat może mówić dużo i zabawiać niemiłego interlokutora gawędą, której tak jest spragniony. «Ciężkie życie» — toć to przedmiot, o którym mówią nietylko ludzie poważni, ale nawet stare, gadatliwe żydówki, obracające całemi dniami drutami od pończoch i językiem.

— To prawda — rzekł z głębokim west-

chnieniem,—bardzo ciężkie. Obwarzanek za dwa grosze jest tak lekki, że można go zdmuchnąć ze stołu bez najmniejszego wysiłku; za marną stancję z trzema lokatorami do wspólki trzeba płacić grube pieniądze; a ile kosztuje funt koszerne mięsa, to nawet wstyd powiedzieć.

Abuś zamierzał temat drożyzny rozwijać aż do samych rogatek i tym sposobem zabezpieczyć się od poruszenia innych i zarazem mniej przyjemnych przedmiotów, i w myśli już ułożył sobie program zaimprovizowanej ceduły targowej, mającej obejmować ceny wszelkich artykułów spożywczych od towarów kolońjalnych, aż do czarnej rzodkwi i kartofli, — gdy nagle ni ztąd ni zowąd spadło na niego zapytanie:

— Panie Wajsfisz,

— Słucham pana.

— Z czego się pan właściwie utrzymujesz?

Taka kwestya, poparta świderkowatym spojrzeniem szarych oczu, jest w wysokim stopniu nieprzyjemna i niedelikatna, nawet drażliwa; dlatego też Abuś zwłóczył z odpowiedzią i starał się wyminąć ją jakim sposobem.

Ruszył ramionami, westchnął głęboko i rzekł:

— Sam pan powiedział przed chwilą, że życie ciężkie jest...

— Tak, i to właśnie skłoniło mnie do rzucenia mimochodem pytania: z czego się utrzymujesz, kochany panie Wajsfisz?

— Ja?

— Tak jest. Pan z małżonką z dzieteczkami i w ogóle z rodziną, która, jak zapewne słusznie przypuszczam jest liczną...

— Panie sędzia, ja się bardzo dziwię — odrzekł Abuś, — ja się tak bardzo dziwię, aż mi dziwno jest, że człowiek może się tak dziwić.

— I czemuż to?

— Pan zapytuje o takie rzeczy, które nawet dzieciom są wiadome.

— A mnie nie. Przyznaję się do tego z całą otwartością i powtarzam jeszcze raz zapytanie.

— Aj, aj! Wiadomo panu, że ja nie jestem ani biskup, ani generał, ani prezes.. Nie mam pensyi, nie zajmuję żadnego urzędu.

— A jednak żyjesz pan.

— Właśnie. Dla czego ja nie mam żyć? Skoro Bóg daje życie, daje i na życie. Może pan w to nie wierzy.

— Owszem wierzę; tylko widzi pan, kochany panie Wajsfisz, Bóg nie daje z ręki do ręki, tylko udziela człowiekowi możno-

ści zarobkowania, obdarzając go zdolnościami, rozumem, sprytem.

— Śliczne słowo! A czy spryt nie jest wart tyle co gotówka? Oj, oj! to jest list zastawny... to więcej, bo list przynosi kupon dwa razy do roku, a spryt daje dochód co dzień. Możemy łatwo obliczyć. W roku jest trzysta sześćdziesiąt pięć dni; odtrąmy od tego pięćdziesiąt dwie soboty, w które się nic nie zarabia, odtrąmy jeszcze święta uroczyste, to...

Abuś zaczął liczyć w przekonaniu, że arytmetyka będzie dla niego w tym wypadku furtką, przez którą uda mu się wymknąć od bezpośredniej odpowiedzi na pytanie; ale sędzia należał do kategorii ludzi upartych i pomimo wszystkiego wracał do punktu z którego wyszedł. Taka to już natura.

Przerwał obliczenia Abusia i rzekł:

— Wiadoma rzecz, że rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni, a czy w nim jest ogółem sześćdziesiąt trzy, czy sześćdziesiąt dziewięć dni świąt, to w każdym razie przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni człowiek musi jadać, jeżeli chce żyć.

— Przepraszam pana, w sądny dzień...

— I na to zgoda. Opuszczę panu chętnie ten dzień i jeszcze cztery inne; stańmy na trzystu sześćdziesięciu normalnych i dla cie-

kawości powtórzmy zapytanie: z czego pan żyjesz, kochany panie Wajsfisz?

Czy był kto kiedy przerynany w podobnie barbarzyński sposób drewnianą piłą?

— Z czego mam żyć? — odrzekł niechętnie Abuś:—trochę z tego, trochę z owego, aby dalej...

— To nie odpowiedź, kochany panie..

— Jakie zapytanie, taka odpowiedź. Gdybym był wielkim kupcem i prowadził księgi handlowe, mógłbym je pokazać i powiedzieć; «czytaj pan», ale ja jestem kupiec mały, maleńki, taki co go wcale nie widać, wcale nie znać. Całkowity mój rachunek mieści się w mej głowie, trochę napisany jest na szafie kredą. Niema co rachować, nie ma o czem wspominać. Ot, dziś zarobi się rubla, jutro trzy, jak Bóg da.

— No tak.. ale z czego?

— Znowuż «czego»! Wiadomo z czego; z handlu.

— Ale z jakiego?

— Nie rozumiem co pan sędzia chce wiedzieć. Przecież handel nie jest ani czerwony, ani zielony, ani żółty: jest handel.

— Więc zmieńmy pytanie; czem pan właściwie handluje?

— Niech moje wrogi tem nie handlują, czem ja muszę.

— Jednak przedmiot tego handlu zapewne się jakoś nazywa.

— Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć?

— Że się nazywa. Metale, na przykład, są wyłączone—dodał sędzia, utkwivszy w oczach Abusia swoje świderkowate wejrzenie.

— Metale?

— No, tak. Sam pan powiedziałeś, że nie lubisz handlować ani srebrem, ani miedzią, ani mosiądzem.

— Tak! nawet starego żelastwa też nie kupię.

— Więc może pan masz predylekcyę do towarów łokciowych?

— Nie znam się na tem.

— To może do kolońjalnych?

— Nie mam tak dużego kapitału.

— Hm, jednak jakoś to jest. Naprzykład, wełna, zboże, okowita, drzewo nie budzą w panu wstrętu?

— Pan dobrodziej lubi żartować. Któżby się mógł brzydzić takim porządnym towarem?

— No widzisz pan, już w pewnej części mamy odpowiedź: handlujesz pan produktami rolnemi.

— Czasem, ale tylko trochę i tylko w części. Kapitału wielkiego nie mam, ale znam kupców bogatych, nastreczam im interesa,

za to mi płacą. Czasem stąd wpadnie kilka rubli. Nie dużo. Czy pan widzi w tem co złego?

— Nic, a nic. Handel to ważna rzecz i bardzo potrzebna na świecie, a pośrednictwo, zwane inaczej faktorstwem, także jest niezbędne... w życiu ekonomicznem. Prawda, panie Wajsfisz? zgadzasz się na to?

— Coby mi przyszło, gdybym się zgadzał? Ludzie handlowaliby tak samo, jak dziś handlują.

— Bardzo słuszna uwaga. A powiedz mi pan, dla czego, gdy który obywatel potrzebuje pieniędzy, udaje się do pana?

— Jakto on się udaje? Czy ja jestem jeden?

— Udaje się do pana, wiem o tem na pewno. Niedawno jeden mój znajomy zaciągnął za pańskim pośrednictwem pożyczkę i uzałal się przedemną żeście go strasznie obdarli...

— Niech nasze wrogi wychorują to, co my obedrzemy. To jest paskudnie, to brzydko, to nieuczciwość tak mówić! My ratujemy, my pomagamy, my wyciągamy z błota i za to mówią, żeśmy obdarli!

— W każdym razie, jeżeli wierzyć temu co on twierdzi, sciążnęliście lichwiarski procent.

Abuś aż podskoczył.

— My?—protestował, my?! To nie jest w naszym zwyczaju. Wolelibyśmy nie jeść, nie pić, mieszkać pod gołym niebem, aniżeli wdawać się w takie interesa!

— Bardzo to chwalebnie z pańskiej strony, ale swoją drogą widzę, że pan interesami kredytowemi nie gardzi.

— Niech mi pan wierzy, że teraz niema na tem nic zarobku. Szkoda czasu i zacho-
du. Dawniej co innego: dawniej można było ztąd brać kwartami; dziś kapie po kropelce, i to nie zawsze jest pewne. Więcej się człowiek namartwi, niż warto.

— Z kropelek rzeki się tworzą... Więc nie wiadomo panu, po czemu srebro?

— Znów srebro! Jeżeli pan sędzia chce koniecznie mieć tę wiadomość, to mogę się zapytać jubilerów, jak będą kiedy w Warszawie. Tam się można o wszystkim dowiedzieć, bo tam jest ruch, tam handel; a u nas w takim małym miasteczku, jest nic.. jedno z drugim nic. Ja będę w Warszawie za dwa tygodnie; jeżeli co potrzeba, chętnie służę. Jestem dla każdego bardzo usłużny i życzliwy.

— Znam pana bardzo dobrze z tej strony, kochany panie Wajsfisz.

— Jakto mnie pan zna?

— Przed czterema tygodniami odwiozłeś pan

własnym koniem do stacyi kolei żelaznej niejakiego Moška Geliebtera.

— Moška?

— Tego, co miał sklep na rogu; wiesz pan przecież... tego, co miał takie brzydkie wydarzenie, że ktoś złośliwy podrzucił mu w sklepie pakuły, naftę i zapalki, i wskutek tego o mały włos całe nasze miasteczko nie poszło z dymem.. Pamiętasz pan, nie takie stare dzieje...

— Nic nie wiem, nie pamiętam.

-- Krótką pamięć pan masz, panie Wajsfisz, ale mogę panu dopomódz. To było piętnastego czerwca. Ogień się pokazał już po zamknięciu sklepu; właściciela akurat w domu nie było.. Ponieważ wypadek spostrzeżono i ratunek był natychmiastowy, więc skończyło się na strachu. Pańska teściowa, pani Ita, mająca sklep w sąsiedztwie, przechorowała przykre zdarzenie...

— Ja niewiem, ja, proszę pana, nic nie wiem.

— Szczególna rzecz.. Chciałem prosić pana Geliebtera o pewne objaśnienia, dotyczące tego niemilego wypadku, ale powiedziano mi, że wyjechał, i istotnie, jak się przekonałem, wyjechał z panem razem w kilka godzin po pożarze, w nocy.. Dotąd jeszcze nie powrócił; widocznie jakieś ważne interesy zatrzymały go w tej podróży.

— Ja nie wiem, ja nic nie wiem—tłómaczył się Abuś.—Co mnie obchodzi cały Ge-
liebter? Niech go dyabli wezmą!

— To dziwne.

— Może pan sądzi jeszcze, że ja podpa-
liłem jego sklep?

— A broń Boże! Nie śmiałbym pana o
taką rzecz posądzać: tylko chciałem właśnie
powiedzieć, że pan jesteś człowiek bardzo
grzeczny i uczynny, kochany panie Waj-
s-fisz...

Abuś nieznacznie, ale ciągle przyspieszał
kroku, pragnąc jak najprędzej dojść do ro-
gatki i zakończyć ten nieznośny spacer i tę
rozmowę męczącą, od której głowa boli,
która sprowadza w następstwie najgorsze
sny, majaczenie dziwaczne.

Byle do rogatki, — można pod jakimkol-
wiek pozorem zwrócić w pierwszą lepszą
uliczkę i odetchnąć pełną piersią, pozbyć się
zmory duszającej.

A ten wciąż rozmawia, wciąż świdruje
oczyma i rzuca zapytania niespodziewane,
nagle, niewiadomo, do czego mogące pro-
wodzić! Po czemu srebro? Z czego się pan
utrzymujesz? Czem się trudnisz? Dla czego
jesteś człowiekiem uczynnym i szczególnie
grzecznym? Jakże się teraz praktykuje dys-
konto od weksli wystawionych przez ban-
krutów? Z jakiego powodu zrobił się ogień

w sklepie? Gdzie bawi obecnie Mosiek Ge-
liebter? Z jakiej fabryki pochodzą te piękne
wstążki, które ma w swoim sklepie pani Ita?
Za ile sprzedane zostały na Pradze te kare
konie, które skradziono przed paroma dnia-
mi w Walentówku? Gdzie się podział Bartek
Mucha, który był parobkiem w Zabimbrodzie,
a później służył w zajeździe Szmula
Czerwonego?

Groch tak szybko nie wysypuje się z wor-
ka, jak szybko te pytania wysypały się z
ust sędziego. A wszystko grzecznie, delika-
tnie, po przyjacielsku, po prostu dla zaspoko-
jenia ciekawości, i z jakimi jeszcze dodat-
kami, z jakim uspokojeniem, z pociechą.

— Panie Wajsfisz, pan się nie bój, bądź
pan szczery. Panie Wajsfisz, ja wiem, że
pan masz czyste sumienie, że pan jesteś
biały jak migdał.

— Gdzie pan widział biały migdał.

-- Albo nie? Z wierzchu ma on twardą
skorupkę, jakby człowiek palto, dalej cie-
mną skórę, jest to niby bliższa ciała gar-
deroba, a pod tą skórą jest ziarno niepo-
kalanej czystości. Nie prawdaż?

Oczywiście trudno zaprzeczyć, jest tak;
choć białość w ogóle to bardzo rozmaite
pojęcie.

Coż jest w rzeczywistości białem, bez za-
dnej plamki? Trafia się niekiedy biały koń;

z daleka wygląda jak perkalowy bez żadnej odmiany; ale kto mu się bliżej przypatrzy, dostrzeże pewne plamy na tej białości, jakąś plamę nad kopytami, na pysku, gdzie nigdzie gniade centki, rozrzucone po krzyżu i po bokach.

Mówią, że mleko jest białe; bywają nawet porównania: biały, jak mleko; a przecież dość jest postawić je przez pewien czas w naczyniu, aby pokazały się na niem smugi siwe, wodniste lub żółtawe. Gdzież więc ta białość? Nawet weksel biały, in blanco, ma wodne znaki i czarny podpis; nawet papier ma skazy; nawet na sztuce najbielszej weby holenderskiej znajdują się takie jakieś dodatki ciemniejsze, odróżniające się od całości. A cóż dopiero sumienie?!

Sędzia powiada, że on jest jak migdał. Ach, żeby tyle zdrowia i majątku mieć, ile się trafia migdałów z plamami! Zresztą co o tem długo dyskutować! Każdy człowiek ma oczy, a każdy prawie inaczej niemi patrzy i inaczej widzi; co dla jednego dobre, dla drugiego złe, dla jednego czarne, dla drugiego białe, dla jednego smak najlepszy, dla drugiego rzecz obrzydliwa i nieczysta. Choćby naprzykład: węgorz, albo zając, państwo kupią i zjedzą za wielki przysmak. Abuś Wajsfisz powie, że jedno jest obmierzła gadzina, drugie zwierz nieczysty, i żaden po-

rządny Izraelita, choćby z głodu umierał, jeść tych szkaradzieństw nie będzie.

Są różne spojrzenia, różne oczy: tysiące, dziesiątki, setki tysięcy gatunków; przeliczyć, obrachować niema sposobu. W jednym oku tkwi kawałek Talmudu, w drugim odrobina kodeksu, w trzecim jakieś zasady, a w każdym oprócz tego cząsteczka własnego interesu i przez to spojrzenia ludzkie nie mogą być jednakowe.

Niema na to ani rady, ani sposobu; od początku świata tak było, do końca tak będzie, a ktoby chciał ten interes przenieć i przerobić, musiałby świat zburzyć i inny na jego miejscu postawić, musiałby ludzi z gruntu przerobić.

Pomimo, że dzień nie był upalny i od rzeki chłodny wietrzyk pociągał, Abuś zanim do rogatki doszedł, był spocony, jak mysz — tak go te wszystkie pytania zmęczyły, każde z nich miało ciężkość kamienia i smak octu, rozrobionego z proszkiem gorczycy: każde dręczyło na swój sposób i działało przygnębiająco, to też Abuś ucieszył się niesłychanie znalazłszy się przy rogatce.

Nigdy jeszcze szlaban, zamykający miasteczko, nie wydał się Abusiowi tak pięknym, jak w owej właśnie chwili; belka, pomalowana trzema kolorami, wyglądała w jego o-

czach dziwnie lekko i zgrabnie; żelazny łańcuch wiszący przy niej zdawał się błyszczeć jak srebro; a budka w której mieszkał dzierżawca roгатkowego z rodziną nabrała kształtów miłego pałacyku, uroczej willi, w której można znaleźć rozkoszne i upragnione schronienie.

— Przepraszam pana dobrodzieja — rzekł do swego towarzysza, — bardzo przepraszam, ale ja się pokłonię i pójdę; mam właśnie interes do Abrama.

— Do dzierżawcy roгатkowego?

— Tak.

— Dziwna rzecz: taki kupiec, jak pan Abuś Wajsfisz ma interesa z takim biedakiem, jak Abram!

— Albo on biedak?

— A cóż mu ta roгатka może przynosić? Ruch jest mały. Chyba, że prowadzi jakie geszefciki poboczne. Zdaje mi się nawet, że coś o tem słyszałem. Czy on czasem nie ..

— Ja nic nie wiem, ja jego interesów nie znam. Co ma prowadzić, na co mu to? Siedzi spokojnie, trojaki zbiera i żyje. Ma niewiele, ale jemu nie wiele trzeba. Czy pan dobrodziej wie, że dla takiej rodziny parę funtów chleba, kwarta kaszy, a za trzy grosze gęsiego smalcu wystarczy na dwa dni życia. Za mieszkanie nie płaci. Aj! panie do-

brodzieju! nie ten bogacz, co jest bogacz, ale ten, który mało potrzebuje.

— Śliczne zdanie, panie Wajsfisz, godne człowieka myślącego, za jakiego pana zawsze uważałem. Więc o cenie srebra nie dowiem się od pana nic?

— Znowu srebro! Przepraszam, ale ja mam chęć zapytać pana wprost, co pan chce?

— Nic, zapytuję tylko, sądząc, że mi pan takiej drobnej informacyi nie zechce odmówić.

— Owszem, ale ja nie wiem. Ja to tylko wiem, że nic nie wiem.

— Nie, to nie. Ja przecież nie nalegam, wiesz pan to dobrze, nie wiesz, to drugie dobrze.

-- Moje uszanowanie panu.

— Do widzenia, do miłego widzenia, kochany panie Wajsfisz, mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy i pogawędzimy.

— Obyś ty spotkał anioła śmierci w skróconym terminie! mruknął Abuś i co rychlej wpadł do izby dzierżawcy rogatkowego.

Tam nie pozdrowiwszy nawet gospodarza, ani jego małżonki, usiadł na pierwszym—lepszym stołku i oddychał ciężko, ocierając pot z czoła.

— Zmęczyliście się, Abuś? zapytał Abram.

— Bardzo.. Ciężko mi.

— Nie każdy spacer przyjemny.

— Skąd wiecie.

— Widziałem przez okno; z mojego okna wszystko widać. Ciekawym o czym on z wami rozmawiał?

— O czym on nie rozmawiał? Ciągłe pytał, o wszystko pytał, nawet o takie rzeczy, co..

— On jest bardzo ciekawy.

— Niech go dyabli wezmą!

— Jeżeli myślicie, że ja będę miał co przeciwko temu, to popełniacie grubą pomyłkę.

— Ja wiem, że z was człowiek życzliwy i że w pomyśleniu waszem jest zawsze pochciwa intencja. Pozwólcie mi trochę odpocząć, gdyż czuję się tak zmęczonym, jak gdybym własnoręcznie porąbał furę drzewa, a jak wam wiadomo zapewne zdrowie moje jest delikatne.

-- Owszem odpoczywajcie; co mi to szkodzi? Siedźcie, wzmocnijcie się na siłach. Mój stołek wytrzyma ciężar waszej osoby; to mocny sprzęt, a jest w mojem posiadaniu dawno, nie mogę spamiętać ile lat.

— O tak! Ty masz bardzo krótką pamięć — wtrąciła ironicznie małżonka Abrahama—szczególnie krótką, w razie, gdy trzeba przyznać zasługę moim rodzicom.

— Aboż co?

— Jakto co? Nie zaprzeczysz chyba, że

stolek, który wychwalasz przed Abusiem, jest mój, że dali mi go rodzice w dniu wesela, kiedy szłam na nowe gospodarstwo. Ty nie pamiętasz, tyś już nawet o weselu zapomniał i gotów jesteś powiedzieć, że kupiłeś ten stółek za swoje własne pieniądze. Ja mam z tobą ciężkie życie; ty się targujesz o każdy grosz dla dzieci, o każdy funt chleba!

— Cicho, cicho! Widzisz, że mamy gości.

— Właśnie niech Abuś słyszy, a ty bądź zawstydzony przed Abusiem, który dba o rodzinę swoją. Całe miasto wie, jak dobrym mężem i ojcem jest Abuś Wajsfisz; całe miasto wie, że kupił przed dwoma tygodniami kamlotu na suknię dla swej żony. A ty co dla mnie kupiłeś?

— Co z tego gadania kobieto? Ja będę taki jak byłem, a Abuś Wajsfisz, choć go tak wychwalasz, nie kupi ci nawet dwóch łokci perkalu na fartuch... Daj pokój.

— Wyjrzyjcie no Abramie oknem— rzekł Abuś,— czy on już daleko odszedł?

— Wcale nie odszedł; stoi o dziesięć kroków od rogatki; spotkał aptekarza i rozmawia z nim. Musi im być bardzo wesoło, bo tak się cieszą i śmieją, jakby rubla znaleźli na drodze.

— Nie wymówcie aby w złą godzinę, bo znajdą na prawdę, a przecież nie mamy powodu życzyć im takiego szczęścia..

— Masz słuszość Za co? Ten kochany sędzia niepokoi ludzi i odbiera im zdrowie, aptekarz znów każe sobie drogo płacić za lekarstwa. On się cieszy, gdy kogo co zaboli. Z jakiej racji takiemu życzyć dobrze?

-- Oj! prawda, prawda! — wtrąciła Abramowa. — On, gdy widzi, że kto mizerny i blady, to czerwienieje na twarzy z uciechy, tak samo jak mój kochany mąż, kiedy widzi, że ja muszę chodzić w starym i podartym kaftanie...

— No, Abuś — odezwał się dzierżawca rogatkowego, — jeżeli odpoczęliście cokolwiek, to możecie iść do domu i tam odpocząć do reszty. Ci panowie poszli jeszcze za rogatkę. Oni lubią spacerować..

Pan Wajsfisz zerwał się ze stołka, rzucił Abramowi życzliwe słowo i, nie zatrzymując się nigdzie, poszedł wprost do domu.

Tam przedewszystkiem owinął dwa srebrne lichtarze w kilka chustek i, nakreśliwszy parę słów na karteczce, odesłał je do swego szwagra, który na całą noc puszczał się w drogę.

Abuś nie miał potrzeby obawiać się, ale był z natury ostrożny i częstokroć wtrącał

do rozmowy zdanie, że nie należy szukać guza.

Uczyniwszy zadość tej zasadzie, usiadł do kolacyi.

Pomimo zapraszania ze strony małżonki, pomimo ponętnego widoku śledzia, kartofli i kawałka białej chały, Abuś jeść nie mógł, apetyt odbiegł go zupełnie.

Kolacya skończyła się na kieliszku mocnej szabasowki i jednym dzwonku śledzia, resztę zaś specyałów odsunął Abuś z niechęcią, a żonie, która go do jedzenia zachęcała, odrzekł, że czuje się zupełnie najedzonym, i że myśli jego są w tej chwili bardzo dalekie od wszelkich pokarmów i napojów.

Dwoma krótkimi wyrazami: «Gaj weg» dał poznać wiernej swej towarzysze życia, że chce pozostać w krainie myślenia i w tej samotności, oczywiście względnej, która jednak dla człowieka, pragnącego szczerze odosobnienia i ciszy, może, pomimo wszelkich pozorów stać się samotnością absolutną.

Nic nie szkodzi, że mały Srulik, najmłodsza latorośl zacnego rodu Wajsfiszów, przebudził się ze snu i piszczy, nic nie szkodzi, że matka uspokaja go łagodnymi słowy i pierniczkiem, łączącym w sobie słodycz miodu i gorycz cytwaru; nic nie szkodzi, że świerszcz hałasuje za piecem, że kogut drze

się w sieni na grzędzie, że jakiś zgłodniały i zbiedzony pies wyje na ulicy, że Abusio-wa przed udaniem się na spoczynek drep-pcze po izbie i kłapie pantoflami, — to nic nie szkodzi.

Wszystkie te odgłosy, dźwięki, krzyki, szmery dochodzą uszu Abusia coraz słabiej, coraz mniej wyraźnie, zmysły przestają działać, a duch jego, wolny, niezależny od wpływów zewnętrznych, chodzi swobodnie po krainie myśli, jak koza po rynku, albo kot po dachu.

Abuś siedzi przy stole z głową opartą na rękach niby nie samotny, a przecież samotny, nie słyszy bowiem nic, nie widzi nic, oderwał się od świata, pofrunął w krainę myśli, w świat ideałów, jakby się wyraził poeta, kształcony w innej szkole niż Abuś. Chociaż niech to nie będzie poczytanem za herezycę, ale pewien uczony z tej samej szkoły, co Abuś, dowiódł, że co najmniej 85% tak zwanych ideałów ludzkich ma bardzo realistyczną podszewkę.

Abuś z głową na dłoniach wspartą siedział przy stoliku; w wysokim lichtarzu mosiężnym, pokrytym, jak przystało na antyk, grubą warstwą zielonej pleśni, tkwiła świeczka łożowa, osadzona krzywo, dopalająca się. Czerwony jej płomyk migotał i drżał, trącany przez wietrzyk, który wpadał przez nie-

domknięte okno, a za każdym tego płomyka drganiem, na ścianach, na pułapie, na piecu, ukazywały się cienie ruchome, fantystyczne, dziwaczne.

Od mosiężnego świecznika, zawieszzonego u pułapu na grubym postronku, od profilu Abusia, z głową na dłoniach opartą, od wijszącej na rogu szafy kapoty, od staroświeckiego krzesła z poręczami, od wszystkich przedmiotów, znajdujących w izbie, padały cienie szczególne.

Pająk wydawał się na cieniu jak potworny polip o pięciu wyciągniętych odnogach, Abuś jak olbrzym w fantastycznym stroju, kapota przybierała kształty czarownicy, krzesło z poręczami robiło wrażenie zwalisk starożytnego zamku, i wszystkie te cienie w miarę migotania płomyka świeczki ruszały się, uderzały jeden na drugi, jak gdyby wyzywając się do walki.

Była to istna sarabanda cieniów; Abuś nie widział jej, i tem lepiej dla niego, człowiek o delikatnych nerwach mógłby się przestraszyć — takie one były niezwykajne i potworne.

Świeczka dopalała się, marne istnienie łu-ta łoju i odrobiny bawelnianego knota dobiegało do końca, tak, jak wszelkie zresztą istnienie.

Silniejszy błysk, potem chwila gaśnięcia, jeszcze raz blask, skwierczenie żalodne, niby żal po kończącym się bycie, jeszcze chwila blasku, i jeszcze jedna, i jeszcze jedna, bardzo jasna, i—ciemność, przepelniona przykrym swądem.

Swieczka zgasła, cienie zniknęły—koniec, a swąd pozostał, niby wspomnienie, rodzaj przyjaznym piórem skreślonej nekrologii. Trwa to króciutko, jak dym, potem rozwiewa się, rozchodzi po powietrzu, ginie i ustępuje miejsca innym dymom, zapachom i swądom.

W stancyi Abusia zrobiło się ciemno, ale w głowie jego było jasno, jakby w pogodny, słoneczny dzień o południu.

On widział przed sobą życie, widział sumienie swoje własne i sumienie innych ludzi i te różne kontrakty społeczne, którymi ludzie krępują się z dobrej woli, którym muszą poddawać się, chcąc czy nie chcąc, pod grozą kar i rozmaitych przykrości.

Nie jeden z punktów tego kontraktu wydawał się Abusiu wprost śmiesznym, choćby, na przykład, interes z owymi lichтарыami.

Jakiż to nonsens! Trafia się okazyja korzystnego kupna. sposobność zarobienia kilku rubli, okazyja niespodziana. Abuś jej nie

stwarzał i nie wymyślił; zdarzyła się sama, przypadkowo.

Przychodzi ktoś, — proponuje, czy zaraz pytać go, kto on jest, jak się nazywa, gdzie mieszka, czem się trudni? Od tego przecież są specjaliści, ale nie Abuś, nabywając kurę na targu nie ma obowiązku wiedzieć, czy pochodzi ona ze szlacheckiego dworu, z chłopskiej chaty, czy też wychowana została przez uroczą córkę pachciarza. A czem się różni srebrny lichtarz od kury? Jako przedmiot w ogóle tem, że nieżyje, nieznosi jajek i nie gdacze, ale jako artykuł handlu różni się tylko wartością...

Właśnie myśl Abusia gorliwie nad tym przedmiotem pracuje i dochodzi do wniosków godnych utrwalenia na marmurowej tablicy, gdy wtem.. co za fatalność!

Uprzejmy uśmiech, świderkowate oczy i głos.. ten głos, niby łagodny, słodki, drapiący w uszy, jak zgrzytanie zębów, tarcie piasku o szkło, ostrzenie noża na nożu...

— Kochany panie Wajsfisz!

Kochany panie! Żeby cię piekło kochało! żebyś zobaczył postać ludzką pokrytą tysiącami oczów...

I takiemu głosowi trzeba odpowiadać grzecznie, z delikatnością, z ukłonem!

Co pan dobrodziej sobie życzy? co pan rozkaże?

— O, nie bagatelka.. Zmuszony jestem zatrzymać pana na czas jakiś.

— Mnie? Czy to nie jest omyłka co do osoby?

— Ani trochę.

— Ejże?

— Mogę kochanego pana zapewnić, tem bardziej, że znamy się przecież osobiście i jeżeli mówię: «kochany panie Wajsfisz» to wiem, że mam do czynienia z panem Abusiem Wajsfiszem, a nie z panem, dajmy na to, Gleigwewichem.

— Ale pan dobrodziej żartuje! pan zapewne zjadł dobry obiad i chce się trochę pośmiać. Dla czego nie? To jest przyjemna rozrywka, ale niech jej pan dobrodziej nie przedłuża. Ja jestem człowiek delikatnego zdrowia i taka zabawa może mi zaszkodzić. Nie przymawiam się, ale radbym, żeby pan dobrodziej zechciał to wziąć pod uwagę.

— Owszem, biore, ale zaręczam i mówię najzupełniej seryo.

— Więc ja już siedzę.

— Siedzisz pan.

— Ale za co? Proszę mi powiedzieć; za co? Jaki popełniłem grzech?

— Kochany panie Wajsfisz, pan jesteś człowiek myślący, nie prawdaż?

— Każdy człowiek myśli.

— Możesz pan właśnie dać dowód jak

dalece wyćwiczony jesteś w sztuce porządnego myślenia.

— Jakim sposobem.

— Bardzo prostym; zgadnij pan, za co siedzisz, a w tej chwili pana puszczyć, i pójdziesz, czy pojedziesz dokąd ci się podoba

— Przepraszam pana, ale taka kombinacya nie stoi w żadnej procedurze.

— Masz pan zupełną słuszość.

— No?

— Przypuść pan na chwilę, że ja popełniam nadużycie.

— Fe! Co za głupstwa! Pan taki akuratywny, taki formalista, doświadczony, to być nie może.

— A więc przypuść pan, że zmieniła się procedura...

— Kiedy?! Myśmy o tem nic nie słyszeli, a o takiej rzeczy byłoby coś wiadomo

— A więc przypuść pan co chcesz, co ci się podoba, a tymczasem pogódź się z faktem spełnionym. Jesteś zamknięty...

— Już?!

— Oczywiście kochany panie Wajsfisz. Mogę zapewnić że pańskie kapitały nie znajdują się pod tak dobrym i mocnym zamkiem, jak pańska osoba w tej chwili...

Abuś był blizki płaczu — zaczął prosić.

Panie dobrodzieju, wielmożny panie!

— A cóż?

— Niech pan przestanie żartować. To już za długo się ciągnie, a doprawdy ja niemam zdrowia!

— Od pana tylko zależy, aby te ciężkie drzwi zostały natychmiast otwarte. Pan jesteś myślący człowiek, panie Wajsfisz, pan bardzo łatwo odgadniesz tę zagadkę.

Powiedziawszy to, skinął głową, uśmiechnął się przyjaźnie i wyszedł. Abuś został sam, w jakimś nieprzyjemnym chłodzie i ciemności.

— Rób co chcesz!

Abuś splunął i zaczął zastanawiać się nad swem położeniem. Jest ono w samej rzeczy ze złych najgorsze, z brzydkich najbrzydsze, z paskudnych najpaskudniejsze.

Trudno sobie wyobrazić coś nieprzyjemniejszego; w podobnem położeniu może być ktoś zamknięty w skrzyni żelaznej, zalutowanej, zakutej na nity i objętej jeszcze po wierzchu obręczami. Niema ani jednej szczeliny, ani jednej szparki, żadnego wyjścia, ani na prawo, ani na lewo, ani w tył, ani naprzód, ani do góry, ani na dół!

Zdaje się Abusiowi jednak, że dochodzą go zdaleka jakieś przytłumione głosy, w których jest trocha żalu, trocha prośby, trocha czegoś takiego, co chwyta za serce.

Co dziwnego! To nie były byle jakie wo-

łania, nie byle jakie głosy. Abuś je zna: to głosy jego żony i dzieci. Słyszy wyraźnie wysoki sopran swej małżonki, wołający z z najwyższej nuty:

-- Abuś! Abuś! Ja cię proszę, ty zgadnij. Nie zostawiaj mnie w osamotnieniu, nie opuszczaj dzieci.

Słyszy lament córek, synów i najmłodszego z nich; beniaminka rodu, małego Sru-
lika.

Wszystkie one wołają w niebogłosy, unis-
sono:

— Tate! tate! dla czego tate nie zgadnie?! Niech tate zgadnie, bo my jeszcze mali jesteśmy, nie umiemy zgadywać Gwałtu! niech tate zgadnie... Tate, tate!

Abuś pragnąłby skruszyć mury, wybiegnąć do swoich, zatkać im usta, zakazać krzyczeć, ale zaledwie zdobywa tyle siły, żeby zawołać przez ścianę.

— Cicho, cicho! cierpliwości! wasz krzyk może zepsuć cały interes.

Czy doszedł ich głos męża i ojca, czy przeniknął przez grube mury? Może... może, bo cisza zaległa izbę, cisza grobowa, w której człowiek nie słyszy nic, prócz niespokojnych uderzeń własnego serca.

Zgadnij! Ładne zadanie. Pomysł, urodzony w piekle. Nie było takiego jeszcze w

procedurze, ale może być w przyszłości. Ładny interes!

Zgadnij! Jakim sposobem? Oczywiście przez rozpamiętywanie, przez przywoływanie na myśl obrazów niedawno minionej przeszłości, przez obliczenie zysków... przez najrozmaitsze sposoby. Abuś wie, że jest w gruncie rzeczy biały, jak migdał we środku; do wyrzucenia sobie niema nic. Ale te różnice ludzkich poglądów, te różnorodne sposoby zapatrywania się. Tu jest feler, tu niegodziwość główna.

Abuś zadaje sobie pytanie: czy jest porządnym i uczciwym obywatelem?—i wypada mu na to odpowiedź stanowczo twierdząca z wykrzyknikiem, z dwoma znakami zapytania:

— Dla czego nie mam być!??

W samej rzeczy: dla czego? Czy popełnił morderstwo, czy podpalił wieś, czy co ukradł? Nie, nie i jeszcze raz nie. Jest pod tym względem czysty, jak szkło; nie tylko człowiekowi, ale nawet kurze nie odebrałby życia, nie podłożyłby za nic w świecie własnoręcznie ognia pod cudzy budynek, nie wdarłby się nocną porą do chłopskiej stajenki, aby wyprowadzić z niej konia... Abuś Wajsfisz ma to zawsze na pamięci że jest Abuś Wajsfisz i ceni swój honor.

Powtórne Życie.

16

Jako mąż, jako ojciec rodziny, wolny jest także od zarzutów, bo rodzina odziana i nie głodna, ma dach nad głową, pomoc wszelką na wypadek choroby, bo Abuś daje synom przyzwoitą edukację w chederze, a dla córek zbiera zawczasu posagi Czy to nie kosztuje, czy to bagatela jest?

Czy tak obrócić, czy owak, z prawej, czy z lewej strony, od wierzchu, czy od podszewki, Abuś musi to sobie przyznać, że jest dobrym mężem, doskonałym ojcem, że nie zaniedbuje obowiązków względem rodziny.

A jakim jest człowiekiem? I na to odpowiedź wypada pochlebnie. Względem Boga niema nawet co mówić. Odmawia pacierze, chodzi regularnie do synagogi, bywa w mikwie, zachowuje wszelkie przepisy, obserwuje święta, w wolnym czasie czytuje książki nabożne i, o ile można najczęściej, puszcza się w dysputy religijnej treści. Ubranie na nim jest uszyte w sposób koszerne; jedzenie, które spożywa, jest koszerne; każdy nóż, widelec, łyżka, talerz, garnek, wszelkie naczynie kuchenne bezwarunkowo jest koszerne.

Względem ludzi Abuś jest też porządny obywatel. Dla czego nie ma tak mi być? Pełni obowiązki obywatelskie, jest członkiem kahału, wspiera go światłą swoją radą i do-

świadczaniem, daje wszelkie, przypadające na niego składki, wspiera ubogich, pilnuje, aby w miasteczku był duch dobry, aby idee nowatorstwa i zepsucia nie wdarły się do umysłów, aby szanowane były stare tradycje, stare obyczaje i stara moralność.

Co więcej może robić porządny obywatel względem swoich współobywateli?

Literalnie nic, i choćby przez tydzień czasu myślał, nie wymyśli ani jednego więcej punktu do programu, który z taką stanowczością wykonywa.

Abuś przebiega myślą swoje życie i rośnie we własnej wyobraźni, olbrzymieje, staje się wielkim, jak góra, czystym jak świeżo uprane prześcieradło, pełnym zasług, szanownym.

A jednak tam, z oddalenia, jak uprzykrzona mucha, jak złośliwa osa, uwijająca się około słodkiej gruszki, brzmi i brzęczy przykry, i złośliwy i szyderczy głos:

— Zgadnij pan nareszcie, kochany panie Wajsfisz.

To jest dopiero gatunek zapytania! to ekstrakt złośliwości wyrafinowanej.

Biedny Abuś z góry własnej wielkości, z niebotycznych szczytów przeświadczenia o swej powadze, rozumie i obywatelskich cnotach, nagle stacza się w dolinę drobiazgów w wąwóz przykrości, w przepaść pełną ga-

dzin, które kłębią się, zwijają, wyciągają głowy i syczą złośliwym pytaniem.

— Zgadnij, zgadnij, kochany panie Wajsfisz.

Czy może być co szkaradniejszego nad taki drobiazgowy interes?

Co zgadywać? Co mówić? Abuś nie popełnił nic złego, — karty jego życia czyste są; a że do niektórych czynów przyznać się nie chce, to nie dla tego bynajmniej, żeby czyny te miały być w jego pojęciu kary godne, lecz dla tego jedynie, że mogą się one niepodobać pewnym umysłom ciasnym, pewnym oczom, patrzącym nie przez porządne okulary, ale przez kawałek kodeksu.

Zgadnij.

Probować można, można domyślać się, że idzie o te dwa głupie srebrne lichtarze; ale, jeżeli nie idzie o nie, tylko o co innego, po co o lichtarzach wspominać.

Może wstążki są przyczyną złośliwego konceptu? może komuś zależy na tem, aby się dowiedział, w jaki sposób przechodziły one przez granicę, jakim cudem umiały odbyć podróż incognito, bez zwrócenia na siebie uwagi? Może...

Ale może być również, że chodzi o co innego, o te ładne konie karej maści, które sprzedane zostały na Pradze, a teraz są już

daleko, w innej gubernii, może nawet za granicą.

Znowuż niepewność, znowuż wątpliwość, znowuż ewentualność niepotrzebnego wygadania się! I żeby choć Abuś do tego interesu należał, żeby na nim grubo zarobił,— ale gdzie tam! on tylko, będąc wypadkiem na Pradze, widział, interesowani zaś wiedzieli, że Abuś widział, i dali mu pewne wynagrodzenie za to, żeby zapomniał o tem, co widział. Cóż w tem nadzwyczajnego? Czyż pamięć, przecie nie rzecz realna, nie przedmiot za pieniądze kupiony, ale dar Boży, zdolność utrwalania w mózgu obrazów widzianych w przeszłości, nie jest indywidualną własnością człowieka i czy ten człowiek nie może nią według swego upodobania rozporządzać.

Nie, nie! to jest rozbój w najgorszym gatunku; bo pamięć nie należy do przedmiotów, które można nabywać; ona jest niepochwytana, a skoro tak, kto ma prawo ją chwycić?

Wprawdzie można ją wynajmować, za opłatą umiarkowanego czynszu, a przykład takich transakcyj dają nauczyciele, kształcący młodzież; ale Abuś nauczycielstwem się nie trudni, a tamten ciekawy pan niema zamiaru studyowania ksiąg, których treść jest własnością pamięci Abusia.

A jeżeli idzie nie o lichtarze, nie o wstążki, nie kare konie, ale o adres Moška Ge-
liebtera... albo jeszcze o co innego, naprzy-
kład o najnowszy sposób ukrywania pro-
centu od weksli bankrutujących ludzi, albo
jeszcze o co innego?

Można dziesięć rzeczy niepotrzebnie wy-
papać, zanim na właściwą się natrafi.

Co za żądanie dziwaczne! co za loterya
bez sensu! Nie każdy ma szczęście do lo-
teryi, nie każdy chce ryzykować taką staw-
kę, a właściwie nie jedną, ale pięć, dziesięć
stawek dla bardzo niepewnej wygranej.

Uprzejmy głosik odzywa się znowuż, sza-
re oczka rzucają świderkowate wejrzenie,
pytanie powtarza się:

— I jakże to będzie, kochany panie Wajsfisz.

Człowiek w ogóle jest wytrzymały, a zwła-
szcza człowiek w dojrzałym wieku, doświad-
czony bojownik w walce z losem, wyprak-
tykowany łowiec małego grosza w szero-
kich przestrzeniach życiowych; ale i wytrzy-
małość ma swoje granice.

Jak zanadto wyprężona struna na skrzyp-
cach, może ona pod naciskiem upartego
smyczka zapytań pęknąć ze zgrzytem, ze
złością bólu.

Tak się stało z Abusiem. W jego piersi

zbudził się drzemiący bohater i napełnił ją wielką siłą.

Abuś uderzył pięścią o stół z całej mocy i zawołał:

— Nie chcę nie będę zgadywał!

Ból przywołał go do przytomności, przerwał bieg przykrych myśli, sprowadził Abuś na ziemię.

Pierwsze blaski dnia letniego wpadały do stancyi przez małe szybki zielone; wietrzyk przez niedomknięte okno wpadając, poruszał perkalową firankę; muchy przebudziły się i szukały pożywienia na stole; na nierównym bruku miasteczka turkotał wóz chłopski

— Ach! więc to tylko był sen przykry, zmora trapiąca zmęczony wczorajszymi pytaniami umysł!

Abuś odetchnął i doznał takiego wrażenie, jak gdyby wielki, a ciężki kamień stoczył się z jego grzbietu.

Miał słodkie poczucie swobody i lekkości; zerwał się na równe nogi, umył twarz i ręce, wyjął z szafy worek z przyborami do modlitwy i wyszedł na ulicę.

A właśnie w tej samej chwili od synagogi szedł szkolnik i trzykrotnie uderzał w okiennice zakrzywionym kijem, aby budzić ze snu obywateli i przypominać im zasadę, że dzień należy od modlitwy zaczynać.

W godzinę później Abuś dyskutował z nader myślącym człowiekiem, Dawidem Triedlandem, o snach, marach i nocnych widziadłach, a następnie opowiedział historię przykrego wieczoru i strasznej nocy, prosząc o radę, co myśleć w takich ciężkich przejściach.

Stary Triedland pogładził siwą brodę i rzekł:

— Abuś, wy spluńcie trzy razy, kaźcie sobie postawić dwie cięte bańki na karku i nie opowiadajcie nikomu o waszej przygodzie, aby wyraz «zgadnij» nie był wymówiony w złą godzinę.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 12
<http://rcin.org.pl>

F
1304